

TOM CCLXXI.

ROK 68.

SERYA 9.

ZESZYT 813.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

WRZESIEŃ.

1908.

TOM III.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1908.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. Z LUDEM—DŁA LUDU,—przez <i>Z. Dębickiego</i>	417
2. HANKA (powieść)—przez <i>Ory Jelską</i>	458
3. IDEE REWOLUCYJNE WE WSPÓŁCZESNEJ POWIEŚCI ROSYJ- SKIEJ,—przez <i>d-ra Stanisława Zdziarskiego</i>	487
4. OBECNY STAN NIEMIECKIEJ LITERATURY,—przez <i>d-ra J. Flacha</i>	519
5. Z DZIEJÓW AGRARNYCH POLSKI,—przez <i>d-ra Ign. T. Baranowskiego</i>	542
6. JÓZEF CONRAD,—przez <i>Maryę Rakowską</i>	558
7. GENEZA I ROZWÓJ HISTORYI SZTUKI,—przez <i>ks. Wł. Górzyńskiego</i>	580
8. PIŚMIENNICTWO: NAUKA I SZTUKA, t. II. Dante. Napisał Edward Porębowicz, — przez <i>H. R.</i>	588
ANTONI EUZEBIUSZ BALICKI: Dla ludzi. Powieść (luźne kartki współ- czesnego rękopisu),—przez <i>d-ra H. Reinholda</i>	592
9. KRONIKA MIESIĘCZNA: Dwudziestopięciolecie J. E. arcybiskupa warszawskiego, Chościak- Popiela.—Ton w polemikach dziennikarskich.—Z chwili obecnej.—Skarga na barbarzyństwo.—Historya i geo- grafia w szkołach początkowych.—Kasy Raiffeisena w Galicyi	594
10. WSPOMNIENIE POZGONNE: ś. p. Jadwiga Łuszczewska (Deotyma),—przez <i>Z. D.</i>	608
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	611



Do II 1.

Z LUDEM — DLA LUDU.

— A czy ty wiesz między odmienie

A wrogi,

Żeś tak ścieżyno w tarnie porosła

I w głogi?...

A czy ty wiesz do cudzej, obcej

Gdzieś ziemi,

Żeś tak porosła cierniem i chwasty

Dzikiemi?...

— Ani ja wiodę w obcą i cudzą

Krainę,

Ni między wrogi, za szumne morze,

Za sine;

Ani ja wiodę między odmienie

Do boru,

Jeno do onej zapadłej chaty —

Ze dworu!...

Lat blisko trzydzieści minęło od chwili, kiedy Marya Kono-
pnicka, poetka, idąca w przedniej straży swego pokolenia, w ten
gorzki i bolesny sposób odmalowała stosunek dworu wiejskiego
do chaty.

Rzeczywistość nie była wówczas daleka od tych „cierni
i głogów,” jakie rysowały się w jej młodej, gorącej wyobraźni.

Kraj po upadku powstania styczniowego przechodził ciężki
kryzys. Z początku przygnębienie panowało we wszystkich dzie-
dzinach myśli, a wszystkie niemal pola pracy leżały odłogiem.
Naród likwidował swoje aspiracye przedpowstaniowe i z rozpa-
czą patrzył ku jutru, które było beznadziejnie chmurne. Najlep-
szym w społeczeństwie ludziom opadały ręce. W klasach posia-
dających budził się egoizm i chęć ratowania resztek dobrobytu,

topniejącego szybko. Lud wiejski, który podczas powstania, z małymi wyjątkami, dał dowód zupełnej obojętności dla sprawy narodowej, stał na uboczu i, licząc swe dawne krzywdy pańszczyźniane, nieufnie spoglądał ku dworowi. Jednocześnie oficjalne czynniki pracowały gorliwie, aby nieufność tę pogłębić. Drzazga „serwitutów,“ umiejętnie wbita pomiędzy szlachcica a chłopą, jątrzyła obie strony i nie pozwalała im na zgodne załatwienie odwiecznych rachunków.

Wszystko to razem—na tle wywołanego przez uwłaszczenie przewrotu ekonomicznego w kraju, licznych bankructw, przechodzenia ziemi z rąk do rąk i konieczności oparcia gospodarstwa na kapitale nakładowym, którego wiele rodzin ziemiańskich nie posiadało wcale—stworzyło warunki, w których nie było miejsca na myśl o pracy z ludem i dla ludu.

Taki stan trwał przez lat kilkanaście. Przepaść pomiędzy dworem a chatą nie tylko nie zmniejszała się, ale rosła. Konopnicka widziała tę przepaść w swoich latach dziecięcych, odczuła ją w okresie młodości i całym sercem zaprotestowała przeciw temu rozdziałowi.

Równocześnie z nią protestowało jej pokolenie, podnoszące z rumowisk i gruzów sztandary, opuszczone przez ojców, którzy bądź polegli w ich obronie, bądź opuścili je pod przymusem, bądź wyrzekli się ich dobrowolnie w trwodze i niepokoju o przyszłość.

Polska idea demokratyczna, poczęta w jutrzennym blasku Sejmu czteroletniego i od tej pory idąca, jak słup Mojżesza, przed narodem, weszła w nową swoją fazę.

Nie przebrzmiały jeszcze hasła pracy organicznej, które były pierwszym objawem życia w okresie popowstaniowym i przyczyniły się w znacznym stopniu do wyrwania społeczeństwa z apaty i odrętwienia, gdy już odezwały się rogi sygnałowe, zwołujące naród do pracy czynnej nad uobywateleniem ludu.

Smutne rozpamiętywania nad przeszłością Polski, która purpurę dumy możnowładczej przyplącała utratą samodzielności politycznej; ciężkie doświadczenia ostatniego powstania; budząca się reakcja przeciw romantyzmowi; wreszcie rozumne i trzeźwe liczenie się z układem stosunków realnych w społeczeństwie, które rozpoczęło przekształcać się na modłę nowożytną pod wpływem nowych czynników, normujących życie gospodarcze kraju—zwróciły umysły ku zagadnieniom, związanym z rolą, jaką odgrywał w danej chwili, a jaką odegrać może w przyszłości lud wiejski.

Rozejrzano się dokoła i zobaczono olbrzymi ugor, leżący odłogiem: milionową masę włościństwa polskiego, pograżonego

w ciemności i w nędzy, niezdolnego ani do postępu ekonomicznego, ani do obywatelskiego odczucia potrzeb kraju, wydanego na łup zniszczeniu, cofającego się w swoim rozwoju i spadającego w swej kulturze poniżej poziomu krajów cywilizowanych.

Ludziom, którzy mieli wrażliwe sumienie narodowe, a wzrok wybiegający po za granice szarego dnia ówczesnego, musiało to nasunąć poważne refleksje.

Jakoż pod wpływem tych refleksyj zaczął się budzić w Królestwie Polskiem ruch ludowy.

Płynąc początkowo nurtem podziemnym, niewidocznym dla oczu niewtajemniczonych, w przedostatnim dziesięcioleciu zeszłego wieku wydobył się on już na jaw i dał znać o sobie społeczeństwu, jako wyraźnie i jasno sformułowany kierunek odrodzonej myśli narodowej.

Po za ekspozyturą jawną, która za pomocą druku propagowała swoje idee i pracowała nad tem, aby przedostały się one do społeczeństwa i zjednały sobie liczniejszych wyznawców, oczywiście, prowadzona była robota, wynykająca się z pod kontroli władz, a zmierzająca najkrótszemi drogami do oświecenia i politycznego uświadomienia ludności wiejskiej.

Nie piszemy historii tego ruchu. Nie przytaczamy więc ani programów, ani też nie zamierzamy zatrzymywać się na poszczególnych jego etapach. W danej chwili obchodzą nas jedynie wyniki, do jakich doprowadziła trzydziestoletnia praca tych, co postawili sobie za cel budowanie przyszłości „przez lud i dla ludu.“

Niewątpliwą jest rzeczą, że przez te lat trzydzieści na wsi polskiej wiele zmieniło się na lepsze.

„Ciernie i głogi“ Konopnickiej, zarastające ścieżkę, prowadzącą z dworu do chaty, zostały znacznie przerzedzone. Wyrwały je dobre i ofiarne ręce, krwawiąc się niejednokrotnie same przy tej robocie. W wielu okolicach kraju stosunki między szlachtą a włościąństwem zmieniły się do tego stopnia, iż miejsce dawnej nieufności, a często nawet nienawiści, zastąpił stosunek sąsiedzki, możliwy o tyle, o ile poziom umysłowy i moralny włościćianina podniósł się i pozwolił mu zrozumieć istotny stan rzeczy.

A podniósł się on w niejednej wsi.

Nieznane w innych państwach cywilizowanych stosunki, coraz jawniej prowadzona i w coraz jaskrawszych formach występująca na zewnątrz polityka rusyfikacyjna, dotkliwy brak szkół początkowych, zupełne wypaczenie samorządu gminnego, który przy ścisłem interpretowaniu ustawy gminnej mógł przyczynić się chociaż w pewnym stopniu do obudzenia wśród ludu dążeń oby-

watelskich, samowola administracyi, traktującej kraj, jako podbi-ty i gospodarującej w niem szeroką ręką, nie liczącą się zupełnie z interesami ludności i krzywdzącą te interesy na każdym kroku—wszystko to otwierało powoli włościanom oczy i uczyło ich patrzeć krytycznie na wytwarzające się w kraju stosunki.

Naczelnik powiatu, naczelnik straży ziemskiej i komisarz włościński, czuwający nad tem, aby usposobienie chłopca dla dworu nie uległo żadnej zmianie, znajdowali coraz mniej posłuchu. Zdrowy rozum brał górę.

Jednocześnie krzewiona potajemnie oświata zaczynała przynosić owoce.

W licznych dworach wiejskich odbywało się tajne nauczanie dzieci. Uczono je czytać i pisać po polsku. Lud, który swoim prostym instynktem narodowym rozumiał, jaka mu się dzieje krzywda przez szkołę, gdzie uczono po rosyjsku, tym samym instynktem odezwał, że oświata, którą jego dzieciom dawał dwór wiejski, ma dla niego znaczenie realne, jest tem właśnie, czego mu potrzeba. Oceniając zaś bezpośrednią korzyść tej oświaty, nabierał ufności dla tych, którzy mu ją niesli nietylko bezinteresownie, ale z narażeniem się na wielką nawet odpowiedzialność.

W tej pracy cichej, w nieustannej obawie o bezpieczeństwo domu i osób uczących, ogromna rola przypadła w udziale kobiecie polskiej.

Bez zastrzeżeń powiedzieć można, że gdyby nie liczny zastęp kobiet ze sfer ziemiańskich, które wytrwale i z oddaniem się idei odrodzenia kraju przez oświatę, niosły światło pod strzechę chłopską, gdyby nie to poświęcenie, z jakim niejedna z nich oddawała wszystkie swoje wolne chwile, a czasem i wszystkie swoje siły ludowi—lud ten byłby do dziś dnia martwą bryłą, nie biorącą żadnego udziału w życiu narodowym.

Przeważnie z ust pierwszych swoich nauczycielek, z ust owych opatrnościowych, przesentymentyzowanych w powieści, a w życiu realnem niepospolitą odgrywających rolę „punierek ze dworu”—dzieci i wyrostki wiejskie dowiadywały się poraz pierwszy o terażniejszości i o przeszłości swojej ojczyzny.

Przez dwór wiejski szły na wieś pierwsze gazety ludowe ¹⁾ i pierwsze książki. Powstawała *literatura ludowa*, zjawiały się

¹⁾ W tym właśnie czasie rozpoczął wydawnictwo *Gazety Świątecznej* ś. p. Konrad Prószyński (Promyk), niezapomniany i niezastąpiony pracownik na niwie oświaty ludowej.

tanie, groszowe wydawnictwa, które początkowo wąskim strumieniem, potem coraz szerszym, zaczęły rozpyływać się z Warszawy po całym kraju. Do rąk ludu dostawały się też zwolna książki lepsze, książki poważniejsze, książkibrane bezpośrednio z wielkiego, bogatego skarbcza literatury ojczystej.

Dotarł na wieś „Pan Tadeusz.“ Za nim poszły utwory Kraszewskiego i Orzeszkowej. Wreszcie szeroko otworzyły się chaty wiejskie przed Sienkiewiczem.

I stał się fakt znamienity. *Trylogia* uderzyła w serca i w dusze ludu polskiego z niespodziewaną mocą. Uczyniła ona więcej, niż zazwyczaj o tem sądzą. Pod jej wpływem tysiące chłopów polskich po raz pierwszy zdawało sobie sprawę z tego bliskiego, nierozzerwalnego związku, jaki ich łączył z ziemią ojczystą, z jej dolą i niedolą. Epopeja szlachecka działała na lud, jakby dla niego była pisana „ku pokrzepieniu“ i ku obudzeniu. Jakoż krzepiły się dusze i budziły serca ku nowym, nieznanym dotąd umiłowaniom.

Chwila, w której się to stało, w której powieści historyczne Sienkiewicza „Ogniem i mieczem,“ „Potop“ i „Pan Wołodyjowski“ znalazły się w rękach chłopskich—była chwilą przełomową w naszym życiu popowstaniowem. Nad wsią polską zaczęło się rozżać niebo przebłyskami wschodzącej zorzy.

Lud, który zaczynał się już czuć ludem polskim, zapragnął *książek i pism polskich*, t. j. książek i pism takich, któreby mu o Polsce mówiły. Zażądał i wyciągnął po nie skwapliwie ręce. Coraz też częściej sami włościanie przewozili z za granicy ukradkiem wydawnictwa niecenzuralne.

Wówczas stosunki, panujące na wsi, zaczęły zmieniać się nadzwyczajnie szybko i ks. Imeretyński, pisząc w kilka lat potem swój słynny memoriał, nie mógł już podtrzymywać zdania swoich poprzedników i twierdzić, że lud wiejski jest warstwą, na której rząd może się w Polsce oprzeć bez zastrzeżeń. Przeciwnie, musiał poczynić zastrzeżenia i to bardzo poważne.

Zastrzeżenia te okazały się o tyle trafne, że wkrótce do szeregów t. zw. przestępców politycznych przybywać zaczęli włościanie. Procesy polityczne, w których do niedawna na liście oskarżonych znajdowali się niemal wyłącznie studenci uniwersytetu i robotnicy, rozpoczęto wytaczać także chłopom. Pociągano ich do odpowiedzialności administracyjnej, więziono i deportowano za działalność oświatową, za kolportowanie książek i pism nielegalnych, za sprowadzanie ich z Galicyi.

Fakty te podnosiły szybko uświadomienie polityczne ludu.

Oświata, wprawdzie jeszcze bardzo niedostateczna i będąca udziałem nie całych mas, ale jedynie wybitniejszych wśród włościanstwa jednostek, zrobiła swoje. Budziły się nowe dążenia, wstawały nowe siły, szukające dla siebie ujścia w coraz śmielszym proteście przeciw istniejącemu stanowi rzeczy.

Chłop był przez długie lata najlojalniejszym poddanym państwa. Płacił regularnie podatki, z punktualnością, nieznaną w Rosyi, nie miał żadnych „zaległości,“ służył w wojsku, idąc na tę służbę daleko, aż ku brzegom Oceanu Spokojnego, pełnił bez szemrania wszelkie powinności, ulegał we wszystkim naczelnikowi powiatu i strażnikowi ziemskiemu, znosząc po cichu upokorzenia i obelgi, jakie go spotykały nieraz ze strony przedstawicieli władz administracyjnych. Potrafił także opłacać się tym władzom, jeżeli zachodziła tego potrzeba.

Musiał jednak nadejść czas, kiedy ten bierny i posłuszny chłop spostrzegł, że pełni tylko *obowiązki*, nie otrzymuje natomiast wzamian żadnych *praw*. Nie jest gospodarzem w swojej gminie, bo jego uchwała może być w każdej chwili unieważniona, bo wybrany przez niego wójt może nie być zatwierdzonym, bo do szkoły gminnej nie może sprowadzić nauczyciela, któryby uczył jego dzieci po polsku. Nie może posługiwać się swoim językiem ani w urzędzie, ani w sądzie, bo go tam nie rozumieją lub rozumieć nie chcą. Dla stosunków z powiatem musi utrzymywać pisarza, który go nieraz rozmyślnie wprowadza w błąd i wyzyskuje, jak może, ściągając z niego dodatkowe pobory na swoją korzyść.

Rozważając te wszystkie, bezpośrednio go dotyczące sprawy i czując się upośledzonym w porównaniu z obywatelami innych krajów, o których przynosiły mu wieści pisma i książki „niecenzuralne,“¹⁾ chłop zaczął się oryentować w tem, że jednak urządzenie kraju nie odpowiada ani jego potrzebom, ani jego interesom. O tym nastroju umysłów wśród włościan powiedziały ogółowi polskiemu tu i owdzie wszczęte procesy „o opór władzy.“

Kto w tym okresie stykał się z ludem bezpośrednio, mógł stwierdzić, że **jednostki** oświecone, a co za tem idzie uświadomione narodowo i politycznie, zaczęły się szybko mnożyć we wsiach polskich. Dojrzewało i wchodziło w życie młode pokolenie, które nie pamiętało ani pańszczyzny, ani uwłaszczenia, miało nato-

¹⁾ W tym czasie kolportaż wydawanego w Krakowie miesięcznika ludowego p. t. *Polak* był tak rozpowszechniony, że pismo to można było spotkać w rękę każdego inteligentniejszego chłopu w Królestwie.

miast w duszach budzące się poczucie solidarności narodowej i niedość jeszcze skoordynowane, ale już istniejące aspiracje obywatelskie.

Taki stan umysłów zastał wśród ludu w Królestwie Polskiem ruch rewolucyjny 1905 i następnych lat, ruch, który po raz pierwszy zwrócił uwagę całego społeczeństwa polskiego na te głębokie przemiany, jakim uległa dusza chłopska w ciągu krótkiego stosunkowo czasu.

Dzięki tym przemianom wieś polska zajęła stanowisko odporne wobec agitacji demagogicznej i była jedynym czynnikiem ładu i porządku w dobie powszechnego rozstroju, rozprężenia i chorobliwego fermentowania umysłów.

Włościanin polski daleki był nie tylko od wszelkich wybryków w rodzaju rosyjskich „zaburzeń agrarnych,“ będących w istocie swojej bezwzględnie orgią zniszczenia, zamieniającą gromady chłopstwa w bandy podpalaczy i opryszków, ale potrafił nadto utrzymać się w karbach nawet wobec pełnych pokus obietnic socjalistów. Nie uniknęła wprawdzie w tej dobie wieś polska strejków, ale strejki te nie przybrały form jaskrawszych i przeprowadzeniem swoim różniły się wielce od miejskich.

Nie idąc na lep hasel przewrotowych, wieś polska nie korzystała podczas rewolucji ze sposobności załatwienia swoich rachunków ekonomicznych z dworem, nie myślała o wywłaszczeniu obszarników, nie śpiewała „Czerwonego sztandaru,“ ale żądała przede wszystkim języka polskiego w gminach ¹⁾ i szkoły polskiej, następnie zaś poparła jednolicie program autonomiczny, jako hasło, pod którym przeprowadzone zostały wybory do Izby rosyjskiej pierwszego, drugiego i trzeciego powołania.

Podczas tych wyborów lud wiejski zachował się z powagą i nigdzie nie dał się unieść namiętnościom partyjnym, a reprezentacja, jaką dał krajowi ze swojej strony, aczkolwiek nie liczna, zwróciła na siebie uwagę wszystkich. Po raz to pierwszy wówczas wystąpili na szerszą arenę i stanęli przed własnym społeczeństwem chłopcy-obywatele tej miary, co posłowie Manterys, Blyskosz, Ostrowski i Nakonieczny.

Wszystko to, razem wzięte, stanowi objawy niewątpliwie pocieszające, objawy, które świadczą o tem, że proces odrodzenia, jaki rozpoczął się w ostatnich latach we wszystkich dziedzinach życia polskiego, nie ominął także i wsi polskiej.

¹⁾ Za powzięte w tej mierze uchwały cały szereg gmin pociągnięty był później do odpowiedzialności, a kilkuset włościan odsiedziało karę więzienną.

Nie ominął—nie znaczy to jednak, że ją przeobraził i zmienił do gruntu. Podkreśliłiśmy już poprzednio i podkreślamy z całym naciskiem jeszcze raz, że głębszym przemianom uległy tylko **jednostki** zdolniejsze i wybitniejsze. Poza temi jednostkami stoją atoli w zwartej masie miliony, które dotąd nie wszędzie jeszcze stanowią *nawet* materyał na obywateli i w warunkach istniejących nigdy na obywateli nie wyrosną, jeżeli warstwy oświecone nie podadzą im rychlej ręki i nie dopomogą do podniesienia się na wyższy stopień rozwoju umysłowego, moralnego i ekonomicznego.

Wiemy o tem dobrze i oddawna, że jesteśmy krajem, zepchniętym z drogi normalnego postępu. Wszystko u nas jest opóźnione, wszystko jest zatanowane i nietylko, chcąc dogonić innych, ale chcąc znaleźć się na tym punkcie, na jakim już bylibyśmy, gdyby dane nam było rozwijać się normalnie w ciągu wieku XIX-go, powinniśmy przywdziać siedmiomilowe buty. W każdej dziedzinie naszego życia są braki krzyczące. Wśród ludów europejskich jesteśmy niemal najubożsi i najbardziej zaniedbani we wszystkim. Jeżeli jednak z całą słusnością można to mówić o całokształcie naszych stosunków, to ze słusnością podwójną należy to powiedzieć o wsi polskiej i jej poziomie kulturalnym.

Jest ona uboga i zaniedbana we wszystkim. Dość porównać ją ze wsią niemiecką, aby dojść do przekonania, że trzeba wysiłku ogromnego i to we wszystkich kierunkach, aby drobnemu rolnikowi naszemu dać takie warunki istnienia, jakie posiada drobny rolnik niemiecki.

Nie mamy w ramach niniejszego artykułu miejsca na omówienie szczegółowe różnolitych potrzeb włościanina polskiego. Zauważymy więc tylko ogólnikowo, że brak mu dwóch rzeczy zasadniczych—*oświaty* i *dobrobytu*—do tego, aby mógł wejść na drogę normalnego postępu i rozpocząć inne, lepsze życie.

W tych dwóch rzeczach atoli mieści się wszystko inne, gdyż dopóki w kraju naszym będzie przypadła jedna szkoła ludowa na 2,573 mieszkańców i na 55 wiorst kwadratowych obszaru, dopóki jedna taka szkoła przeznaczona będzie dla 606 dzieci, z których znaczna część mieszka w odległości 2—7 mil od budynku szkolnego, dopóki do tej szkoły uczęszczać będzie zaledwie 11,5% dzieci w wieku szkolnym, pozostałe zaś 88,5% normalnie będą się obchodziły bez nauki, dopóki dalej ubóstwo, graniczące niejednokrotnie z nędzą, będą stałymi towarzyszami doli włościanina polskiego, dopóty postęp kulturalny wsi polskiej będzie zawsze otumowany i nie da wyników pomyślnych.

Po zamknięciu Macierzy Szkolnej, sprawa oświaty ludowej, wchodząca już na tory rozwoju prawidłowego, uległa zawieszeniu. W warunkach chwili obecnej społeczeństwo musi w tej mierze zachować się wyczekująco, gdyż przywrócenie kar za „nauczanie tajne“ (3,000 rb.) odbiera mu możliwość szerszej inicjatywy w tym kierunku i zmusza je do cierpliwego czekania na zmianę usposobienia i zapatrywań rządu.

Tem pilniejszą jednak uwagę w takiej chwili musimy zwrócić na działalność ekonomiczną wśród ludu, działalność, zmierzającą do materialnego podniesienia stanu włościańskiego.

Jeden z najlepszych u nas znawców kwestyi agrarnej, poseł Wład. Grabski, stwierdza bez zastrzeżeń¹⁾, że w kraju naszym odbywa się obecnie groźny proces niwelowania ludności małorolnej do poziomu, przy którym musowa jest ciężka, nużąca walka z niedostatkiem.

Naturalny przyrost ludności wiejskiej zwiększa coraz bardziej liczbę proletaryatu. Plaga małorolności i bezrolności nie przestaje trapić ludności włościańskiej Królestwa, a przyszłość jest wprost zastraszająca. Powodem tego jest niezmiernie gęste zaludnienie Królestwa. Dość powiedzieć, że w Królestwie na jednostkę rolniczego zaludnienia przypadają zaledwie 2 morgi gruntu, podczas gdy we Francyi widzimy z górą 3¹/₂, w Niemczech tyleż, a w Rosyi około 6 morgów.

Przeciętny obszar posiadłości włościańskiej nie może u nas wyżywić rodziny, złożonej z kilku osób. Tymczasem, jeżeli idzie o postęp, ziemia, będąca w posiadaniu drobnego rolnika, powinna dostarczyć mu środków ponad normę żywnościową. Jeżeli ich nie dostarcza, w takim razie należy dać włościaninowi taki facha w rękę, któryby poza rolnictwem mógł mu ten nadmiar środków wytworzyć. Wówczas dopiero wieś będzie mogła dorównać temu prądowi kulturalnemu, jaki się odbywa w miastach.

„Jeżeli—mówi poseł Grabski—nie dopomożemy naszym włościanom do stanięcia na tej stopie, to *napróžno przyznawać im będziemy jakąkolwiek rolę w naszym organizmie narodowym.*“

Słowa te charakteryzują położenie rzeczy dokładnie i wskazują na całą doniosłość pracy ekonomicznej, jaka przy współudziale warstw oświeconych, zdolnych do działania *dla ludu i z ludem*, powinna być prowadzona na wsi z całym wysiłkiem i poświęceniem.

Jedną z najważniejszych gałęzi tej pracy jest zaś niewątpliwie:

1) Patrz: Władysław Grabski. „Materiały w sprawie włościańskiej.“ Cz. I.

I.

Przemysł ludowy.

Stan obecny przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem nikomu nie jest dokładnie znany. Nie mamy ścisłej statystyki, na której możnaby się w tej mierze oprzeć bezwzględnie. Jedyną próbą zgromadzenia bardziej wyczerpujących danych, dotyczących tego przemysłu, była przeprowadzona znacznym nakładem przez nieistniejącą już dziś Sekcyę przemysłu ludowego przy Warszawskim oddziale Towarzystwa popierania ros. przemysłu i handlu—*ankieta*, uwieńczona stosunkowo pomyślnym, jak na nasze stosunki, rezultatem.

Wiadomo, że wszelkie kwestyonaryusze, rozsyłane u nas do osób dobrej woli, tak z pośród inteligencji miejskiej, jak wiejskiej, pozostają zazwyczaj bez odpowiedzi, lub powracają w tak małej liczbie, że dane, których dostarczają, nie mogą służyć do żadnych wniosków.

Inaczej było z kwestyonaryuszami Sekcyi. Powróciła ich stosunkowo znaczna ilość i przyniosła z sobą materyał obfity. I tak przez cały czas trwania ankiety napłynęło: kwestyonaryuszy ogólnych 593, szczegółowych 727.

W rozkładzie na poszczególne gubernie wygląda to, jak następuje:

	<i>kwest. ogólnych</i>	<i>kwest. szczegółowych</i>
gub. radomska dała	92	67
„ kielecka „	85	66
„ lubelska „	89	136
„ siedlecka „	44	58
„ łomżyńska „	26	138
„ suwalska „	30	56
„ płocka „	43	37
„ warszawska „	66	38
„ kaliska „	68	97
„ piotrkowska „	50	34

Materyał, zebrany przez ankietę, niestety, dotychczas nie został ani odpowiednio opracowany, ani ogłoszony drukiem, mimo, że stanowi on jedyne u nas źródło do jakiego takiego zaznajomienia się z przemysłem ludowym. Są to przeważnie surowe da-

ty, wymagające bardzo umiejętnego i rozważnego zestawienia, aby mogły dać istotny obraz drobnego przemysłu wiejskiego.

Dzięki uprzejmości d-ra Karola Benni'ego, prezesa i troskliwego opiekuna założonego niedawno *Towarzystwa popierania przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem*,¹⁾ mieliśmy możność rozejrzenia się w zdobytych przez ankietę informacjach, które też rzuciły nam niemało światła na obchodzący nas przedmiot.

Wrażenie ogólne, jakie dają wyniki ankiety, nie jest dodatnie. Ze wszystkich niemal odpowiedzi, nadesłanych z rozmaitych stron kraju, w poważnej bądź co bądź ilości — bije skarga na niski stan przemysłu domowego, na jego upadek i zanik.

W wielu miejscowościach, do niedawna jeszcze ruchliwych pod względem przemysłowym, wyrabiających na własny użytek włóścian płótno, sukna, kozuchy, powrozy i t. d., w ostatnich latach kilkunastu rozpoczęło się powolne zamieranie inicjatywy przemysłowej. Pierwotność warsztatów, brak odpowiednich narzędzi i mała kultura pracy przemysłowej sprawiły, że wyroby fabryczne wypierają z łatwością wyroby przemysłu domowego i odbierają włóścianom ochotę do zastąpienia nimi taniej i łatwo dla każdego dostępnej tandety.

Z drugiej jednak strony, tam, gdzie dotarła kultura, gdzie z inicjatywy dworu lub z ramienia dawnej Sekcyi przemysłu ludowego zatroszczono się o podniesienie poziomu wytwórczości ludowej, gdzie sprowadzono ulepszone warsztaty i postawiono przy nich instruktorów, ludność wiejska okazała zupełną ochotę do pracy i przemysł się ożywił.

Daje to poniekąd wystarczającą rękojmię na przyszłość i wskazuje, że przemysł ludowy może być podźwignięty z upadku i może rozwijać się pomyślniej, trzeba tylko zaopiekować się nim poważnie i troskliwie.

¹⁾ Gorączka emigracyjna do Brazylii w r. 1893 zwróciła w Warszawskim oddziale Towarzystwa popierania ros. przemysłu i handlu uwagę na ubóstwo ludu i na potrzebę wyszukania środków w celu przysporzenia mu dochodów. Pod tym wpływem powstała przy oddziale „Delegacja przemysłu ludowego,” która trwała do r. 1898. W tym roku zawiązano oddzielną „Sekcyę przemysłu ludowego,” która pracowała do końca 1907 r., z początku pod przewodnictwem ś. p. Józefa Jeziorańskiego, a od r. 1899—d-ra K. Benni'ego. Kiedy dn. 20 grudnia tego roku rozwiązała się, przelała cały swój majątek nieruchomy i ruchomy wraz z remanentem kasowym do zarejestrowanego na mocy postanowienia Komisji gubernialnej warszawskiej dla stowarzyszeń i związków z dn. 7 września 1907 r. „Towarzystwa popierania przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem.”

Opieki tej i troskliwości wymagają przede wszystkim te działy, które potrafiły się dotychczas utrzymać, lub które z łatwością przyjmują się wśród ludu, mającego większą oświatę i samodzielniejsze dążenia ekonomiczne.

Do takich gałęzi przemysłu ludowego należą: *tkactwo lniane i wełniane, koszykarstwo, przemysł drzewny* ze specjalnym swoim odłamem, noszącym miano *zabawkarstwa i garncarstwo*.

Te cztery działy domagają się przede wszystkim opieki, gdyż one mogą stanowić najważniejszą dźwignię dobrobytu ludności wiejskiej. W innych działach praca wytwórcza naszego ludu jest tak nieznaczna, że narazie możemy je bez żadnej szkody dla całokształtu rzeczy zupełnie pominąć.

Zobaczmy teraz, jak o każdym z wymienionych działów informuje nas ankieta.

Tkactwo lniane istnieje niemal na całej przestrzeni kraju, jako najstarsza gałąź przemysłu domowego, pozostającego przeważnie w rękach kobiet.

Ludność włościańska zaspokaja tą drogą przede wszystkim własne potrzeby. Mało gdzie wyrób płótna przekracza granicę tych potrzeb i stanowi źródło dochodu ubocznego dla gospodyni wiejskiej.

W gub. radomskiej tkają płótno:

w powiecie radomskim w gminach: Przytyk, Zakrzew, Wieniawa, Gembarzew, Wolanów, Potworów, Zalesice, Wierzbin, Rogów, Kozłów, Białobrzegi, Stomice i Rodzanów;

w powiecie opoczyńskim w gminach: Janków, Owczary, Radonia, Rdzuchów, Niemamirowice, Drzewica, Chrzczonów, Skrzynisko, Gielniów, Opoczno, Stuzno, Kuniczki, Wielka Wola i Topolica. Mieszkańcy gmin Rdzuchów i Niemamirowice przodują w wyrobie płótna i tkają je nietylko na własne potrzeby, ale także na zamówienie i sprzedaż; gminy te stanowią jedyny wyjątek w całej gubernii;

w powiecie iłżeckim w gminach: Lipsko, Solec, Chodecza, Dziurków, Krzyżanowice, Ciszycza, Pętkosice, Pawłowice, Iłża, Miechów, Łaziska, Czepielów, Rzepin, Wierzbnik i Tarczek;

w pow. koneckim w gminach: Dobromierz (wieś Raczki), Stanowiska, Mrowina, Czermno, Pijanów, Borkowice, Gowarczów, Góry Mokre i Przedbórz;

w pow. kozienickim w gminach: Polieczna, Jedlnia, Tczów i Zwolen;

w pow. sandomierskim w gminach: Wilczyco, Lipnik, Łomów, Osiek i Połoniec;

w pow. opatowskim w gminach: Grzegorzowice, Sadowie, Opatów, Stara Słupia.

W gub. lubelskiej:

w pow. lubartowskim w gm.: Chudowola, Kamionka, Rudno, Samokłęski, Czemierniki, Dębica, Tarło, Łucka, Luszawa, Ludowin i Puchaczów;

w pow. janowskim w gm.: Zaklików, Kawenczyn, Urzędów, Potok, Trzydnik, Zakrzówek, Janów, Polichna, Dzierżkowice, Wilkołaz, Anopol, Modliborzyce, Brzozówka i Wierzechowiska;

w pow. puławskim w gm.: Szczekarków, Markuszew, Karcz-miska, Celejów, Zemborzyce, Kurów (miasto i gmina), Drzewce, Wąwolnica, Rybitwy.

Ciekawy do zanotowania i pouczający fakt dotyczy tkactwa w Drzewcach.

Znajdowało się ono tam w zupełnym upadku, z którego podniosła je inicjatywa Spółki rolniczej włościańskiej „Zgoda.“ Spółka ta sprowadziła na własną rękę 8 ulepszonych warsztatów, z których 5 jest we wsi Oblizniaku, 1 w Końskowoli, 1 w Zawadach i 1 w Kowali. Wyników wybitniejszych dotychczas nie osiągnięto, jest jednak nadzieja, że usiłowania Spółki oraz pomoc niedawno powstałego w Nałęczowie sklepu w domu ludowym przyczynią się do utrwalenia tkactwa w tej gminie;

w pow. tomaszowskim w gm.: Krynice, Tomaszów, Jarczów, Kotlicha, Komarów, Rachonie i Tyszowce;

w pow. lubelskim w gm.: Jabłonna, Krzczonów, Chmiel, Biskupice i Bełżyce.

Ośrodkiem głównym tkactwa jest tu parafia Krzczonowska, którą zamieszkuje około 300 tkaczy. Do parafii należą wsi: Krzczonów, Łuków, Olszanka, Piotrków, Chmiel, kilka Majdanów, oraz Sobieska Wola z pow. Krasnostawskiego.

W powiecie zamojskim jest do 200 tkaczy. Masę płótna zużytkowują tam włościanie na t. zw. *parcianki*, które uważają za ubiór świąteczny. Parciankę taką posiada każdy włościanin i naciąga ją na kozuch lub kapotę. W Krasnobrodzie i Frampolu Żydzi kupują motki przędzy w najgorszym gatunku, z których wyrabiają płótno t. zw. *wałowe* na wałtuchy, czyli płachty, używane do przenoszenia ściółki, kartofli, słomy i t. d. Handlarze skupują i wysyłają te wałtuchy do Zamościa, a nawet dalej. Prym w wytwórczości tego powiatu trzyma Frampol, gdzie jest do 280 warsztatów, w tej liczbie 30 w rękach żydowskich. Nadto pracują gminy: Zamość, Krasnobród, Wojślawice, Skierbieszów, Sokółka, Zwierzyniec i Szczebrze.

W powiecie biłgorajskim znajduje się 930 warsztatów tkackich podług obliczeń urzędowych, jest ich jednak bezwarunkowo więcej i śmiało można przyjąć dla nich liczbę z górą 1000. Oprócz zaspokajania potrzeb miejscowych, pow. biłgorajski produkuje znaczną ilość płócien na eksport do gub. kieleckiej i radomskiej, gdzie tkactwo upada.

Każdy warsztat produkuje *na wywóz* płócien przeciętnie za 50 rb., co w ogólnej sumie daje 50,000 rb.

Na potrzeby miejscowe liczyć trzeba mniej więcej 20 łokci na głowę, co przy cenie najmniej 11 kop. za łokieć da 2 rb. 20 kop. na osobę, a w ogólnej sumie wyniesie 241,909 rb.

Razem więc z sumą poprzednią wartość wyrobionego w biłgorajskim płótna przedstawia się w kwocie 291,909 rb.

Świadczy to o dużym rozwoju tkactwa w pow. biłgorajskim. Wbrew temu, co dzieje się gdzieindziej, nie upada tu ono, ale, przeciwnie, co rok się podnosi.

W powiecie hrubieszowskim tkają wogóle niewiele. Jedy-
nym, zasługującym na bliższą uwagę punktem jest tu wieś Dziekanów, gdzie, oprócz płótna, włóścianki wyrabiają obruski i ręczniki, t. j., wzorzyste lniane tkaniny, nie rozpowszechnione jednak szerzej.

Gubernia łomżyńska pod względem tkactwa lnianego nie przedstawia się zajmująco. Wyróżniają się jedynie dwa jej powiaty: ostrołęcki i ostrowski.

W powiecie ostrołęckim, stolica Kurpiów, Myszyniec, wyrabia sporo płótna, które ludność miejscowa sprzedaje na targach handlarzom, ci zaś rozwożą je po całym kraju, docierając do najodleglejszych jego kątów.

W pow. ostrowskim tkają gminy: Orłów (wieś Daniłów), Czyżewskie, Broniszczyk, Kulbosze-Koty, Zaręby, Jasienica i Ostrowiec.

W *gub. kieleckiej* przemysł tkacki, na ogół biorąc, upada. Młoda generacja niema zaufania do pracy na warsztatach domowych i chętnie ucieka do fabryk w Zawierciu i Częstochowie.

Najpoważniejszą próbą podźwignięcia tam przemysłu tkackiego są usiłowania hr. Dąbskiego. Sprowadził on do Kaliny Wielkiej 12 warsztatów ulepszonych. Przy każdym z tych warsztatów pracuje 6 — 8 ludzi. Nadto, oprócz pracujących na warsztatach, są jeszcze w Kalinie dziewczęta, używane do szpulania przędzy na osnowy i małe cewki.

Drugim punktem, zasługującym na wymienienie, jest wieś Senisławice w gminie Opatowiec. Na początku 1903 r. dwaj parobcy z Senisławic ukończyli praktykę tkacką i osiedli we wsi

rodzinnej, pragnąc poświęcić się wyłącznie tkactwu. Obecnie mają dwa małe warsztaty, na których wyrabiają ręczniki, obrusy, ścierki i t. d. Przędzę sprowadzają od hr. Dąbskiego z Kaliny pod Miechowem. Przy ograniczonych jednak środkach i małym, jak dotychczas, poparciu — produkcya ich wzrasta bardzo powoli.

W *gub. kaliskiej* centrem tkactwa jest Zduńska Wola. Tkactwem fabrycznym zajmuje się tam 2,470 osób. Tkactwo domowe dzieli się na dwa rodzaje: 1-o) *bawełniane*, które zatrudnia 450 warsztatów, z tego 50 chrześcijańskich, reszta żydowskich i 2-o) *ręczne wełniane*, zatrudniające 500 warsztatów, wyłącznie chrześcijańskich. Wśród pracujących $\frac{1}{4}$ część stanowią kobiety, ilość zaś dzieci zatrudnionych dochodzi do 50%.

Drugim w tej gubernii ośrodkiem tkactwa jest Władysławów. Warsztatów tkackich, wyrabiających towary bawełniane, jest około 200 w jednej tylko parafii Russocice. Tkacze otrzymują bawełnę od przedsiębiorców miejskich, przerabiają ją i towar gotowy odstawiają do Turka. Oprócz gospodyń wiejskich, wyrabiających płótna na użytek własny w sposób pierwotny, wszyscy posiadają już warsztaty ulepszone, z czółenkami, przerzucanymi mechanicznie, i mogą wyrabiać dziennie po 16 łokci bieżących.

W łączykiem — blizkie stosunki z miejscowościami fabrycznymi (Ozorków, Zgierz, Łódź) zasypują miasteczka resztkami płócien, bawełniaków i perkali. Taniość tych towarów, sprzedawanych za bezcen na jarmarkach, przyciąga lud wiejski, oduczając go jednocześnie od samodzielnej pracy wytwórczej.

Wyjątek stanowią Poddębice, gdzie tkacze, zajmujący się wyrobem płótna, robią też chodniki z odpadków krawieckich, które kupują od miejscowych krawców i szwaczek. Chodniki te, robione na postawie lnianym, znajdują chętnych nabywców po 10—15 kop. za łokieć.

Wogóle jednak w całym powiecie tkactwo upada z jednoczesnym zanikiem zamiłowania do dawnych, malowniczych strojów ludowych. Tandeta fabryczna idzie tu zwycięzko naprzód.

Jaskrawym przykładem upadku tkactwa w ziemi kaliskiej jest wieś Tłokinia w gminie Opatówek pow. kaliskiego. Do niedawna wyrabiano tam płótna przeciętnie za 50,000 rb. rocznie. Przemysł ten przynieśli z sobą Czesi i Niemcy austriacy, sprowadzeni w r. 1827. Początkowo przyjął się on i rozpowszechnił. Z biegiem czasu jednak, wobec powstających dookoła fabryk, tkactwo domowe zaczęło upadać. Potomkowie dawnych tkaczów wyprzedali swą ziemię miejscowym gospodarzom, a sami wynieśli

się do Pabianic i Zduńskiej Woli. Ci zaś nieliczni, którzy pozostali, narzekają na brak roboty.

Istnieje w kaliskiem jeszcze jedna forma przemysłu domowego, którą tu warto podkreślić. Oto tkacze w osadzie Brudzew, tudzież w Józefowie i w Dzierżni wyrabiają tkaniny na warsztatach, stanowiących wraz z przędzą własność handlarzy miejskich. Jest to już na wskroś kapitalistyczna postać niewoli ekonomicznej.

Gubernia piotrkowska, jako najbardziej przemysłowa i posiadająca kilka wielkich centrów fabrycznych, z natury rzeczy nie może się poszczycić rozwiniętym przemysłem domowym.

Ślady tego przemysłu pozostały jeszcze w powiecie łaskim, aczkolwiek przybrały już formę swoistą. Przemysł tkacki, czyli, jak go tam nazywają, *weberski*, jest w powiecie rozwinięty, ale tkacze, którzy robią dla fabrykantów i pośredników, są bardzo przez nich wyzyskiwani i bieda wielka wśród nich panuje. W ostatnich latach wskutek kryzysu łódzkiego bieda ta jeszcze się zwiększyła i tkactwo domowe zaczęło upadać na dobre.

Podobnie dzieje się w pow. częstochowskim, w Grabówce, gdzie przemysł znajdował się wyłącznie w rękach kolonistów niemieckich. Obecnie przemysł ten upada.

W Hucie (gm. Wrzosowa) zaprowadzili tkactwo Niemcy. Od nich nauczyła się pracy ludność miejscowa i obecnie około 25% tkaczów stanowią Polacy.

Szczęśliwą próbę pchnięcia przemysłu domowego na szersze tory podjął w częstochowskim p. Antoni Janowski z Brzezia, który zakupił kilka ulepszonych warsztatów i uczy na nich tkactwa włościan, sprzedając ich wyroby przy pomocy sklepu rolniczego w Częstochowie.

W Kamienicy Polskiej, w tymże pow. częstochowskim, zaprowadzili tkactwo Czesi. Obecnie pracuje już drugie i trzecie ich pokolenie, zupełnie spolszczone. Rdzenni natomiast Polacy nie zajmują się tkactwem zupełnie.

Podobnie w Czarnym lesie, w gm. Kamyk, pracują, jako tkacze, wyłącznie spolszczeni Niemcy.

W *gub. siedleckiej* najkorzystniej dla tkactwa przedstawia się powiat bialski. Przewodzą w nim: gmina Kobyłany Nadbużne, gdzie tkactwo rozpowszechnione jest ogólnie, oraz gm. Sitnik, dzięki temu, że w okolicy rozpowszechniony jest zwyczaj dawania służbie dworskiej po kilka prętów ziemi pod len, z którego wyrabiają następnie płótno.

W innych powiatach rozwój tkactwa lnianego jest o wiele słabszy, a w pow. sokołowskim upada ono zupełnie i żadnych niema widoków na przyszłość.

W *gub. płockiej* tkactwo jest bardzo zaniedbane. Typowy przykład tego zaniedbania daje powiat rypiński, gdzie wskutek bliskości granicy, ciągłych wędrówek małorolnych i bezrolnych do Prus i Ameryki, lud nie chce słuchać o zajęciu domowem i lekceważy sobie drobne, płynące stąd, zarobki.

Podobnie w pow. lipnowskim przemysł tkacki zaginął zupełnie.

Korzystniej nieco przedstawia się jedynie powiat płocki, a to dzięki inicjatywie i usiłowaniom p. Zdz. Jaroszewskiego z Brodów, który założył w Bodzanowie pracownię tkacką, gdzie przy 4 warsztatach obrót roczny wynosi około 2,000 rb.

W *gub. suwalskiej* tkactwo w jednych powiatach stoi bardzo dobrze, w innych upada.

Wyróżnia się gm. Kadaryszki, gdzie w każdej wiosce jest po kilka warsztatów, lepsze tkaczki są zawałone robotami na zamówienie i surowym materiałem. Warsztaty jednak są niedość udoskonalone i jedną z najpierwszych potrzeb tej gminy jest wprowadzenie lepszych warsztatów.

Również rozpowszechnione jest tkactwo w Zyplach, gdzie jednak ludność tka płótno na własne potrzeby.

W powiatach pogranicznych tkactwo upada, a w powiecie sejneńskim upadło już zupełnie.

W *gub. warszawskiej* upadek przemysłu tkackiego postępuje bardzo szybko i niema w niej ani jednego powiatu, któryby dawał jakiegokolwiek nadzieje na przyszłość.

Taki jest w kraju naszym stan tkactwa lnianego. Zobaczmy teraz, jak się przedstawia tkactwo wełniane.

Ogólnie biorąc, jako przemysł domowy, znajduje się ono w upadku jeszcze większym, niż tkactwo lniane. Gdziekolwiek tylko istnieją ogniska tkackie, które mogą przy odpowiedniej pomocy społeczeństwa nie tylko przetrwać dłużej, ale wywierać zarazem wpływ korzystny na odrodzenie tej ważnej gałęzi przemysłu na całym obszarze kraju.

Spróbujmy tych ognisk poszukać.

Zestawiając materiał, zebrany w tym kierunku przez ankietę, widzimy, iż stan rzeczy bynajmniej nie przedstawia się jednolicie. W jednych guberniach jest tak, w innych nieco inaczej.

W *gub. radomskiej* np. tkactwo wybitnie upada. Włóścianie tkają jeszcze wprawdzie na własną potrzebę, ale niewiele.

Przeważnie uciera się zwyczaj oddawania przędzy specjalistom za opłatą od łokcia, a to dlatego, iż fachowcy, tkając na lepszych warsztatach, wyrabiają tkaniny w deseń, bardziej przypadające do upodobań ludu.

Wyjątek w całej gubernii stanowią dwie gminy: Wierzbnik i Jedlnia. W Wierzbniku wyrabiają sukno na sukmany, zapaski, fartuchy i narzutki.

Ożywiony ruch tkacki w tej gminie tłómaczy się tem, że wsie, należące do gminy Wierzbnik, położone są między lasami rządowymi a lasami, należącymi do Towarzystwa fabryk Starachowickich. Wobec dogodnych warunków pastewnych włościanie tych okolic hodują dużo owiec i mają pod dostatkiem wełny.

Podobne warunki są w gminie Jedlnia. Pracuje tam 30 tkaczek, uważających tkactwo, jako swój główny zarobek.

Nadto zasługującym na uwagę ośrodkiem tkactwa w gub. radomskiej, jak zresztą świadczy sama nazwa, jest Teczów, gdzie ludność miejscowa wyrabia barwne kilimki i chodniki, znajdujące chętnych nabywców w dworach okolicznych i nawet w Radomiu.

Nie lepiej przedstawia się tkactwo wełniane w *gub. lubelskiej*.

W powiecie zamoyskim upada ono zupełnie wobec coraz większego rozpowszechnienia wyrobów fabrycznych.

W pow. tomaszowskim istnieje wprawdzie, ale rozwija się słabo. Możliwe jednak, że przez sprowadzenie warsztatów ulepszonych i dostarczenie włościanom odpowiednich wzorów udałoby się tam tkactwo podtrzymać.

Podobnie jest w innych powiatach, gdzie ludność tka mało i wyłącznie na własne potrzeby.

Najkorzystniej przedstawia się pow. lubartowski, a w nim wieś Dębica w gm. Czemierniki. Tkaniny własnej roboty cieszą się tam wielkiem zaufaniem i bardzo są przez włościan noszone. Wełniaki miejscowego wyrobu są jednak tylko w pasy, w pogoni zaś za urozmaiceniem deseni i tu sprowadzają skądinąd wyroby barwniejsze.

Ruchliwą pod względem wyrobów tkackich jest także gmina Szczekarków pod Puławami. Wyroby półwełniane służą tam za zwierzchnią odzież dla kobiet. Wełna, używana do tych wyrobów, jest albo *czarna* (ciemno-brunatna) i tę używają w barwie naturalnej, albo *biała*, którą barwią na ciemno-niebieską (indigo). Rzadziej używają nici innych barw i to tylko na szlaki.

W ostatnich latach, staraniem p. Maryi Kleniewskiej z Kluczkowic, powstały w tej gminie, ulepszone na sposób szwedzki, warsztaty, na których wyrabiają wyroby ozdobniejsze. Młodsze poko-

lenie uczy się już tkąć na tych warsztatach i jest nadzieja, że w ten sposób tkactwo w tej gminie rozwinie się w przyszłości i stanie na poziomie znacznie wyższym, niż gdzieindziej.

Przędę do wyrobów na nowych warsztatach sprowadza się z fabryk.

W *gub. łomżyńskiej*¹⁾ tkactwo przetrwało dotąd w Wiznie, gdzie jest 300 warsztatów starodawnych, produkujących jednak mało i bez powodzenia.

W Drozdowie u pp. Lutosławskich jest tkacz i warsztat mechaniczny, ludność miejscowa nie popiera jednak wyrobów drozdowskich.

Przyczyny tej obojętności szukać należy w tem, że fabryka ciechanowska wyrugowała wogóle tkactwo domowe z powiatów: łomżyńskiego, ostrowskiego i mazowieckiego. Fabryka ta otrzymuje od właścian tyle roboty „na zamówienie,“ że trzeba nieraz czekać po trzy miesiące na wyrobienie przez nią obstalunku.

W Myszyńcu, w pow. ostrołęckim, pracuje 50—80 tkaczy, ale emigracya do Ameryki stopniowo zmniejsza ich liczbę i—można przypuszczać— że wkrótce ulegnie ona znacznej redukcji.

W *gub. kieleckiej* tkactwo wełniane upada, nie wyłączając nawet słynnych niegdyś z wyrobu sukna na sukmany Filipowie w pow. pińczowskim.

Punktem, w którym tkactwo mogłoby się rozwinąć, jest Kromłów, gdzie pracuje dzisiaj 6-iu sukienników, wyrabiających sukno grube z wełny niepranej. Brak jednak instruktora nie pozwala tej produkcji podnieść się na poziom wyższy.

W *gub. piotrkowskiej* wyroby fabryczne wypierają zupełnie sukna i wełniaki wyrobu domowego. Wskutek coraz mniejszej ilości pastwisk, zmniejszyła się też tam w ostatnich czasach znacznie hodowla owiec, wobec czego właścianie mają coraz mniej wełny.

Ośrodkami tkactwa pół-fabrycznego są tu Bełchatów i Bujny.

W Bełchatowie mieszka 35 pośredników i 5 fabrykantów, którzy sprowadzają przędę bawełnianą i wełnianą z Łodzi i oddają tkaczom w Bełchatowie i wsiach okolicznych. Tym sposo-

¹⁾ Do szczęśliwych usiłowań, podjętych w tej gubernii w ostatnich czasach, należą warsztaty p. Apoznańskiej z Rusi, wyrabiające ozdobniejsze kilimki. W połączeniu z pracą p. Polmana w Lipnicy, p. Urbanowskiego z pod Warszawy, i pp. Plater z Borka, usiłowania te mogą pełnić kilimkarstwo na tory poważniejszego rozwoju.

hem zatrudniają do 3,000 warsztatów, na których pracuje 400 kobiet, reszta mężczyźni, w tem $\frac{2}{3}$ chrześcijan, $\frac{1}{3}$ żydów. Wyróbiony materiał (multany, caji, flanele, szewioty, kamgarny i korthy) idzie następnie do Łodzi — do apretury, farbiarni i magli.

W Bujnach, w promieniu mili kwadratowej, jest do 2,000 tkaczów.

Po za tem na całym obszarze gub. piotrkowskiej tkactwo po wsiach upada zupełnie. Wyroby fabryczne docierają z łatwością do najmniejszych nawet wiosek, a blizki stosunek ludności z wielkimi centrami życia fabrycznego narzuca tej ludności coraz bardziej ubiór miejski.

Stosunki w *gub. kaliskiej* poznaliśmy już przy omawianiu tkactwa lnianego. Wyroby fabryczne są tam również górą.

W *gub. siedleckiej* słaba hodowla owiec przyczyniła się także do upadku tkactwa. Wprawdzie tu i owdzie włościanie tkają samodzielnie na użytek domowy, ale materiały fabryczne konkurują z nimi zwycięzko i stopniowo wypierają je z użycia.

Wyrożniają się w pow. włodawskim wsie Horodyszczce i Dubica, gdzie włościanki miejscowe tkają barwne kilimki i spódnice na użytek własny.

W *gub. płockiej* stosunki układają się podobnie. Hodowla owiec upadła zupełnie, a ztąd i tkactwo znajduje się w stanie pozałowania godnym.

W miejscowościach takich, jak Łubki i Daniszew, gdzie do niedawna jeszcze ubierano się w wyroby własne, dziś kobiety tylko, i to starsze, noszą jeszcze wełniaki domowe, młodsze zaś już się tego stroju wstydzą i nie umieją nietylko tkać wełny, ale nawet robić płótna.

Charakterystyczne stosunki panują w powiecie mławskim. Blizkie sąsiedztwo granicy pruskiej zabiło tam zupełnie przemysł drobny, a tkactwo doprowadziło do zupełnego zaniku. Tandeta pruska jest niemal w powszechnem u ludu użyciu.

Zupełnie inaczej, pomimo podobnych warunków granicznych, stoi tkactwo w *gub. suwalskiej*. Ludność miejscowa produkuje stosunkowo dużo samodzielnie na użytek własny i chętnie się nim posługuje. Wyróżnia się pow. władysławowski, a w nim gmina Światorzynie, gdzie przechował się, podtrzymujący obecnie tkactwo, dawny zwyczaj odkładania dla córek, począwszy od 15-go roku ich życia, od każdej sztuki wyrobionego materiału po jedną spódnicy do wyprawy.

W *gub. warszawskiej* tkactwo wełniane stoi bardzo nisko, a szybkie rozpowszechnianie się wyrobów fabrycznych grozi mu

rychłym i zupełnym zanikiem. Wyjątek stanowi jedynie ks. Łowickie, słynne ze swoich, produkowanych jednak w znacznej większości na sposób fabryczny, wełniaków w Łowiczu.

Oto mamy obraz możliwie dokładny dzisiejszego stanu przemysłu tkackiego w Królestwie Polskiem. Zapewne, brak tu wielu szczegółów, niezbędnych dla ekonomisty. Niepodobna np. obliczyć, jaka jest wartość produkowanych przez włościan płócien i tkanin, jaką rolę produkcyja ta odgrywa w budżecie przeciętnej rodziny włościańskiej, w jakim stosunku przypada ona na głowę ludności i t. d. Z danych jednak, jakie zgromadziła ankieta, a jakie są jedynem, blizkiem prawdy źródłem do zaznajomienia się z przemysłem drobnym, nie można było nic więcej wydobyć.

Wstrzymując się z wyprowadzeniem wniosków i odkładając omówienie najpilniejszych potrzeb przemysłu tkackiego do innego rozdziału tej pracy, przechodzimy obecnie do drugiej, ważnej gałęzi przemysłu domowego, t. j. do *koszykarstwa*.

Znana nam już ankieta Sekcyi przemysłu ludowego stwierdziła istnienie przemysłu koszykarskiego we wszystkich guberniach Królestwa, aczkolwiek jest on bardzo rozmaicie uprawiany.

I tak, w *gub. radomskiej*, w pow. radomskim, odnaleziono w gm. Wolanów 9 koszykarzy, wyrabiających kosze do gospodarstwa, wasagi, kosze do kartofli i do chmielu. Zarobek ich dzienny nie przenosi 30—40 kop. W gminie rzeczniowskiej kilkudziesięciu koszykarzy wyrabia przedmioty z lyczka (korzenie sosnowe).

W pow. ilżeckim, w gm. Czysyca, Pętkosice, Pawłowice i Dziurków odnaleziono po kilkunastu koszykarzy, którzy zajmują się opłataniem wierzbą ścian śpichrzy. Ci zarabiają przeciętnie po 1 rb. dziennie.

W gminach Lipsko, Solec i Chodecza pracuje do 150 koszykarzy. Tutaj też istnieją obszerne plantacye łożyny.

W pow. kozienickim, w gm. Stromce 5 koszykarzy przerabia około 500 centnarów wierzby rocznie. Wyroby swoje zbywają ogrodnikom warszawskim.

W pow. sandomierskim, w gminach Obrazowo i Samborzec pracuje kilka rodzin koszykarzy. Wierzby dzikiej na brzegach Wisły posiadają dużo, tak, że zbywają ją nawet za granicę za pośrednictwem Żydów. Wyrabiają przeważnie kosze gospodarskie.

W pow. koneckim w 3-ch gminach jest 32 koszykarzy, którzy wyrabiają wyłącznie kosze na potrzeby gospodarstw wiejskich.

W *gub. lubelskiej*, w pow. lubartowskim, koszykarstwem zajmuje się 350 ludzi, a mianowicie: w gm. Luszawa 300, w gm. Tarło 50, w gm. zaś Czemierniki literalnie każdy włościanin umie

pleść kosze. Przy wyrobie koszy z okorowanej wikliny zarabiają po 22 — 30 kop. dziennie; przyczyny tak małego zarobku należy szukać w pośrednictwie Żydów, którzy zarówno dostarczają materiału, jak i zajmują się sprzedażą wyrobów gotowych.

Pod Puławami, w gm. Szczekarków jest 100 — 130 koszykarzy. Mają oni obszerne plantacje dziko rosnących gatunków wierzby i wyrabiają kufry, walizy i kosze do gospodarstwa. Rocznie zarabiają 100 — 150 rb. na głowę.

Na Charzu, w Nałęczowie, istnieje warsztat wzorowy, założony przez Sekcyę ludową i rozwijający się pomyślnie. Podobny warsztat założyli pp. Kleniewscy w Kluczkowicach.

W pow. janowskim 30 kobiet i dziewcząt wyrabia drobne przedmioty z łyeczka.

W pow. zamoyskim w każdej wsi jest koszykarz domorosty, zaspokajający potrzeby miejscowe.

W pow. tomaszowskim, w gm. Majdan górny, istnieje 15 koszykarzy, ale z braku przygotowania wyrabiają tylko kosze do gospodarstwa. Zarabiają lichy.

W *gub. kieleckiej*, w pow. miechowskim, w gm. Zagórze Wielkie, mieszka 13 koszykarzy. W gm. Miechów pracuje około 70 koszykarzy, którzy wysyłają swój towar do Łodzi, Częstochowy i Piotrkowa. Około 60 z nich wyrabia t. zw. półkoszki i wasągi. W gm. Wawrzeniec pod granicą galicyjską rozwinął się specjalny przemysł bielenia wierzby, przywożonej z Galicyi i po wybieleniu napowrót tam odsyłanej. Zajmuje się tem zgórą 100 ludzi.

W pow. pińczowskim, w gm. opatowskiej, do 30 koszykarzy wyrabia rocznie towaru za 3,000 rb. Pośrednikami są tu Żydzi, którzy zbywają wyroby miejscowe do Radomia i Warszawy.

Dwie wsie, Przejałyków i Piotrowice, wyrabiają na obstaunek dla Żydów rocznie około 20,000 sztuk plecionek na butle do kwasów.

W innych gminach tego powiatu pracuje po 20 — 30 koszykarzy, zarabiających + 50 kop. dziennie. Wyroby ich idą na potrzeby miejscowe. Praca trwa około 3 miesięcy w roku.

W pow. olkuskim na ogół znajduje się 30 — 40 koszykarzy, którzy wyrabiają przeważnie na potrzeby gospodarskie.

W pow. stopnickim w 5-iu gminach znajduje się 104 koszykarzy. Są tu już *majstrowie* i *czeladź*. Wyrabiają kosze i walizy. Wyroby te stoją jeszcze na bardzo niskim poziomie technicznym.

W gminie pawłowskiej jest 60 koszykarzy. Majstrowie zarabiają po 60 kop., czeladnicy po 30 kop. dziennie. Towar sprzedają Żydom.

W pow. kieleckim trudni się koszykarstwem zaledwie 10—15 ludzi.

W *gub. płockiej* koszykarze wyrabiają tylko na sprzedaż. Koszykarstwo skupia się tam przeważnie w pow. lipnowskim.

W gminie Szpetal w chwili zbierania wiadomości przez Sekcyę było 7 majstrów i 14 czeladników. Wierzby jest obfitość nad Wisłą. Cena jej sprzedażna waha się w granicach 5—6 rb. za centnar. Organizacya pracy jest dobra. Majster zarabia 1 rb. dziennie, czeladnik 75 kop. Wyrabiają walizy, kufry, kosze do bielizny i t. d. Pośrednikami w sprzedaży towarów są Żydzi, którzy zbywają go następnie do Włocławka i Warszawy. Na pośrednictwie tem koszykarze tracą do 30% zarobków. Brak związku zawodowego, kasy zaliczkowej, ułatwiającej kredyt i wogóle organizacyi przemysłowo-handlowej ogromnie dają się we znaki.

W gminie Chalin tegoż powiatu pracuje do 50 koszykarzy. Handel prowadzą z Żydami.

W gm. Brudzyn, w pobliżu Płocka, 20 rodzin zajętych jest koszykarstwem. Zarabiają do 150 rb. rocznie na głowę.

W powiecie przasnyskim, w gminach Zareby, Jednorozec, Janów i Dzierżgowo wyrabiają wasagi, półkoszki i kosze na potrzeby gospodarstwa miejscowego.

W pow. rypińskim prawie niema koszykarstwa. Wyjątek stanowi gmina Monkolin.

W *gub. piotrkowskiej* ludność nie zajmuje się koszykarstwem z powodu obfitości fabryk, które odciągają włościan do miast. I tu jednak jest kilka wyjątków. I tak, w gm. Konopiska pod Częstochową jest 12 koszykarzy, a w gm. popowskiej 8. Wyrabiają oni kosze do handlu na użytek własny.

Dosadną ilustracyą panujących w *gub. piotrkowskiej* stosunków jest gmina Złoty Potok. Zarząd tego majątku urządził plantacyę wierzby i sprowadził instruktora, chcąc zachęcić ludność do koszykarstwa. Usiłowania te jednak spełzyły na niczem. Próba nie udała się, pomimo biedy, trapiącej ludność. Okazało się, że przekłada ona niepewne zarobki w fabrykach.

W pow. rawskim, *gub. piotrkowskiej*, w gm. Rzeczyca, znajduje się 10 koszykarzy, którzy pracują przez pół roku, wyrabiając towaru za 50 rb. na osobę.

W *gub. łomżyńskiej* koszykarstwo jest w stanie bardzo pierwotnym.

W pow. łomżyńskim znajduje się zaledwie kilku rzemieślników koszykarzy. Najczęściej zajmują się koszykarstwem pastuchowie, którzy, chodząc za bydłem, wyrabiają z wierzby i łyka

niezbyt udolne kosze gospodarskie. W gm. Szczepankowskiej jest zwyczaj, że w każdej chałupie pastuchowie wyrabiają kosze dla swoich gospodarzy.

W pow. Mazowieckim, gdzie tylko są lasy, tam z łyeczka wyrabiają kosze do kartofli, wasągi do wozów i płaskie kosze do karmienia bydła. Prawie każda chałupa ma takiego koszykarza. Ci zaś robią na zamówienie, zarabiając przeciętnie po 20 kopiejek dziennie.

W *gub. kaliskiej* koszykarstwo rozwinięte jest również słabo. Wyrabiają przeważnie kosze do gospodarstwa na potrzeby własne. Wyjątek stanowią pow. słupecki i kolneński. W pierwszym pracuje 4-ch koszykarzy. Zarabiają oni na czysto po 150—170 rb. rocznie. Wyrabiają półkoszki i wasągi do wozów. W pow. kolneńskim, w gm. Brudzewo, znaleziono 8-iu koszykarzy, którzy wyroby swoje sprzedają Żydom w m. Kole. W gm. Lubotyń są tylko koszykarze, wyrabiający na potrzeby miejscowe. W innych miejscowościach *gub. kaliskiej*, mimo że wybrzeża Proсны bardzo nadają się na plantacye wierzby, koszykarstwa o charakterze przemysłowym niema wcale.

Wiadomości o koszykarstwie w *gub. warszawskiej* i *suwalskiej* nie posiadamy.

Zobrazowany powyżej stan przemysłu koszykarskiego, w okresie, który nas dzieli od chwili przeprowadzenia ankiety, uległ niewątpliwie pewnym zmianom na lepsze. Stało się to za sprawą wzorowej Koszykarni w Serocku, która jednocześnie była szkołą, wychowującą instruktorów dla tej gałęzi przemysłu. Bliższe, a niezmiernie ciekawe szczegóły o tej szkole zawiera obszerna, przygotowana już do druku, broszura d-ra A. Kędzińskiego.

Broszura ta jest wyczerpującem sprawozdaniem z 7-ioletniej działalności szkoły, założonej w r. 1900, a spalonej w dn. 25 czerwca 1907 r.

Przechodząc z kolei do *przemysłu drzewnego*, musimy przede wszystkim dobrze uświadomić sobie szeroki zakres pracy, jaki przemysł ten obejmuje. Należą tu równie dobrze ciesielstwo i stolarstwo, jak kołodziejstwo i stelmachowstwo, bednarstwo i obręczarstwo, gonciarstwo, trepkarstwo i łyżkarstwo, wreszcie wyrób rozmaitych warsztatów i narzędzi, jak: grabie, widły, drzewca do kos, rękojeście do łopat i t. d., a w końcu rozwijające się u nas dopiero zabawkarstwo.

Zajmować się szczegółowo wszystkimi gałęziami tego przemysłu i rozpatrywać je kolejno—niepodobna, mimo, że ankieta Sekcyi zgromadziła w tej mierze nietyłe bogaty, ile ciekawy materiał.

Rozglądając się w tym materyale, możemy jednak stwierdzić bez zastrzeżeń, że i tu ogólny stan rzeczy wiele pozostawia do życzenia. Produkcyja jest stosunkowo mała, zarobki bardzo niedostateczne, materyał drogi, pośrednictwo w zbywaniu wyrobów kosztowne, pochłaniające przeważną część zarobków.

Na poparcie tego pozwolimy sobie przytoczyć kilka bardziej charakterystycznych przykładów.

I tak, w *gub. radomskiej*, w pow. kozienickim, Jedlnia ma kilkunastu stelmachów, którzy fach ten traktują, jako dodatek do gospodarstwa. Zarabiają rocznie zaledwie po *kilkadziesiąt* rubli. Nie posiadając gruntu, nie mogliby się utrzymać z rzemiosła. Przeszkadzają im nadto kowale, którzy łączą swoją profesyę ze stelmachowstwem. Przy tem każdy gospodarz mniej więcej zna się na tej robocie i zinnową porą ją uprawia.

W pow. opoczyńskim Gielniów ma 16 stelmachów, których wyroby znane są w Łowiczu, Skaryszewie, Radomiu i Rawie. Przemysł eksploatują tu bogatsi spekulanci, którzy skupują te wyroby i wywożą je następnie na jarmarki, gdzie je sprzedają ze znacznym dla siebie zyskiem.

W pow. iłżeckim—Krzyżanowice, Iłża i Rzecznów mają kilkunastu stelmachów, wyrabiających koła, wozy, pługi, brony i zwykłe wasągi na sprzedaż jarmarczną. Wyroby swoje sprzedają chłopom, handlarzom i większym właścicielom ziemskim, choć dwory przeważnie mają stelmachów własnych. Drzewo, jak stwierdza ankieta, *głównie* kradną z lasów starachowickich, rzadziej kupują, a wobec trudności zdobycia materyału, w okolicy wogóle rozwój przemysłu stelmachowskiego słaby.

W *gub. łomżyńskiej* w Zambrowie pracuje 7 samodzielnych stelmachów i kołodziei. Pierwsi zarabiają 50—60 kop., drudzy zaledwie 30—40 kop. dziennie. Nie mają odpowiednich narzędzi i wogóle żadnej organizacyi przemysłowo-handlowej. Wyzyskani są przez Żydów pośredników, którzy za dzwono wyginane biorą 3 razy drożej, niż sami płacą kołodziejom. Podobny wyzysk panuje również i w zakresie dostarczania materyału surowego. Najpilniejszą potrzebą byłoby tu założenie składu spółkowego materyałów i wyrobów gotowych.

To samo *mutatis mutandis* dotyczy innych miejscowości.

Nieco lepiej jest w *gub. kaliskiej*, gdzie w pow. konińskim, we Władysławowie mieszka 10 samodzielnych stelmachów, zarabiających od 250—300 rb. na czysto. Są majstrowie, którzy utrzymują i czeladź. Czeladnik pobiera tygodniowo zapłaty od 2—3 rb. i stół.

Co do *ciesielstwa*, to w każdej niemal wsi jest jeden lub kilku włościan „zdolnych do siekiery.“ Po folwarkach t. zw. „porządkowi“ wykonywają roboty ciesielskie prostsze w budynkach i w domach włościańskich. Tego rodzaju cieśli w kraju jest sporo, materiał jednak, zdobyty w tym zakresie przez ankietę, przedstawia się tak ubogo, że niepodobna z niego żadnych wysnuwać wniosków.

Gonciarstwo wogóle rozwinięte jest słabo wobec powszechnego jeszcze niemal zwyczaju krycia dachów słomą.

Wyjątek stanowi wieś Łobzów pod Wolbromiem w pow. olkuskim gub. kieleckiej, gdzie około 40 gospodarzy rolnych trudni się wyrobem gontów z jodłowych i świerkowych desek, kupowanych w miejscowych lasach donacyjnych. Gonty te wyrabiają oni na własne ryzyko i sprzedają bądź na miejscu okolicznym mieszkańcom, bądź handlarzom-Żydom, którzy je wywożą dalej, docierając aż do Zawiercia i Zagłębia Dąbrowskiego, sprzedając po 75 kop. za kopę. Gonciarze pracują w wolnych chwilach od zajęć i zarabiają wszystkiego 40—50 rb. rocznie na jednostkę.

Podobne warunki są w Cisowie w pow. kieleckim, gdzie pracuje 60 gonciarzy, przeważnie bezrolnych.

W gub. lubelskiej w pow. biłgorajskim trudnią się wyrobem gontów we wsiach: Księżpolu—8 gospodarzy, Kocudze 8, Hucie Krzeszowskiej 10 i Majdanie Sopockim 25-iu. Produkcya ostatniej wsi zaspokaja potrzeby powiatów tomaszowskiego i hrubieszowskiego, nadto nadwyżkę wywozi do Galicyi przez komorę tomaszowską.

W gub. *piotrkowskiej* w pow. częstochowskim gonty wyrabiają we wsiach Miedźno (10) i Mykanów (15). Wyroby zbywają na jarmarkach.

W gub. *kaliskiej* produkcya gontów ześrodkowała się w pow. sieradzkim, gdzie w Złoczewie pracuje 65 gonciarzy; są to przeważnie gospodarze rolni, posiadający mało ziemi (3 morgi); są także i bezrolni i ci wyrabiają gonty z dostarczonego przez zamożniejszych majstrów drzewa, za opłatą 10 kop. od kopy. Wyrób z materiału własnego przynosi o 5—10 kop. na kopie więcej. Jeżeli drzewo łupie się dobrze, zręczny robotnik wyrabia 5—6 kóp dziennie.

Obręczarstwo, wedle danych, zdobytych przez ankietę, ma w kraju naszym tylko dwa punkty ważniejsze. Jednym z punktów jest powiat konstantynowski w gub. siedleckiej, drugim — osada Kazimierz w pow. puławskim gub. lubelskiej.

W pow. konstantynowskim w gminach Rokitno i Zakanale wyrób obręczy upada wobec braku leszczyny. Produkcya jednak

wynosi jeszcze kilkadziesiąt tysięcy obręczy rocznie. Zakupuje ją przedsiębiorca-katolik z Kazimierza po cenie 25 — 30 kop. za kopę i odstawia do Olkusza, Sosnowca etc. Zarobek roczny obręczarzy wynosi 100 — 120 rb. na głowę. Materiał surowy kupują za gotówkę, a o ile jej niema—pożyczają od sąsiadów na 8%.

W Kazimierzu w pow. puławskim, zajmuje się wyrobem obręczy około 50 osób. Oprócz tego około 200 osób rocznie wyjeżdża na t. zw. „fabrykę“ obręczy na Wołyń i Litwę, a spędziwszy tam 8—10 miesięcy, wraca na żniwa do domu.

Cały zapas wyrobionych w Kazimierzu obręczy rozchodzi się do fabryk krajowych cementu, najwięcej w okolice Częstochowy. Zarobki skromne. Za wyrobienie kopy otrzymuje się 4 kop., dziennie zaś można wyrobić 8—12 kóp.

Cały wyrób szedł dawniej Wisłą do Gdańska, obecnie, wskutek podniesienia cła z 5 pf. na 25 pf. od kopy, handel z Gdańskiem upadł, co też odbiło się i na produkcji. Jeszcze przed laty 20 wyrabiano w Kazimierzu około 100,000 kóp obręczy, obecnie wyrób ten spadł znacznie. Przyczynił się do tego i brak materiału, wskutek niszczenia lasów i zarośli w wąwozach miejscowych. Szkodę przemysłowi obręczarskiemu wyrządza także zbyt wysoka taryfa przewozowa (kl. IV).

Drobny przemysł drzewny, jak zaznaczyliśmy wyżej, jest ogromnie rozmaity. Uprawia go ludność włościańska na całym obszarze kraju, przeważnie jednak dla zaspokojenia potrzeb własnych i—jak to stwierdza ankieta—zbyt często używając do swych wyrobów materiału kradzionego.

Punktami, w których wyrób narzędzi gospodarskich ma charakter bardziej przemysłowy, są:

W gub. *radomskiej*, w pow. koziennickim: Tczew, Jedlnia i Zwolen. W Tczewie wyrabiają (zwykle komornicy bezrolni) z topolowego i olszowego drzewa, za które płacą po 6 rb. za odzimek do gałęzi — szufle, grabie, radła staroświeckie i brony plecione, które nawet w gospodarstwach kulturalnych mogą znaleźć zastosowanie w przykrywaniu drobnych nasion i niszczeniu chwastów w zasiwach jarych.

W Jedlni jest małorolny gospodarz, mieszkający wśród lasów, który wraz z synami wyrabia w znaczniejszej ilości łyżki i wszelkie naczynia z drzewa, sprzedając je następnie na jarmarkach w Głowaczewie, Kozienicach, Skaryszewie, Zwoleniu i Radomiu. Zarabia od 100—200 rb. rocznie. Naśladowców nie znalazł, gdyż ludność okoliczna twierdzi, że do takich wyrobów trzeba mieć nie tylko chęć wrodzoną, ale i „wymiar w oku.“

W Zwoleniu gospodarze rolni, bezrolni i Żydzi miejscowi trudnią się wyrobem posadzek dla Warszawy, Radomia i innych większych miast (na zamówienie). Wyrabiają posadzki dębowe (także z dębu czarnego), klonowe i jesionowe. Wyrób ma ustaloną dobrą markę. Zarobek wynosi średnio 15 kop. od kopy. Produkcya opłacałaby się przy większym kapitale nakładowym.

W gub. *kieleckiej* w pow. stopnickim, we wsi Korczyn trzech gospodarzy rolnych wyrabia z drzewa wierzbowego, które skupują w całej okolicy, drażone miary. Komplet takich miar składa się z 9 sztuk, od półkwatka do ćwierci. Wyroby te kupują w niewielkiej ilości okoliczni Żydzi. Zarobek wynosi dla wszystkich trzech około 200 rb. rocznie.

W pow. olkuskim w Zabagninie 15 drobnych gospodarzy i wyrobników trudni się wyrobem drabin, wideł i sąsieków. Wyroby te sprzedają na jarmarkach w Wolbromiu i Pilicy. Zarabiają od 60—80 rb. rocznie każdy.

W pow. kieleckim w Bodzentynie 12 ludzi wyrabia szufle, szpadle i chodaki. Jest to przedsiębiorstwo, utrzymywane przez jednego majstra, który płaci robotnikom po 50—60 kop. dziennie, sam zaś zarabia na tem do 800 rb. rocznie na czysto. Wyroby swe wysyła koleją do miast gubernialnych.

W pow. miechowskim, w Kozłowie, jeden człowiek trudni się wyrobem grzechotek dzieciennych.

W gub. *lubelskiej* w powiecie tomaszowskim wyrabiają łyżki z dębowego, gruszkowego, jodłowego i jaworowego drzewa. Wyroby te Żydzi rozwożą po jarmarkach.

W pow. janowskim w Brzozówce wyrabiają niecki i międllice, przeważnie na potrzeby miejscowe.

W pow. puławskim w Szczekarkowie 5-ciu ludzi trudni się wyrobem łodzi i kryp. W ciągu miesiąca wyrabiają 4—8 łodzi małych i jedną krypę. Za robotę małej łodzi otrzymują 3—4 rb., za robotę krypy w stosunku 2 rb. dziennie.

W gub. *kaliskiej* w pow. słupeckim, w Zagórowie, 8-iu ludzi trudni się wyrobem trep z olszowego i topolowego drzewa. Robią przeważnie na jarmarki. Zarobek wynosi 10—15 kop. na parze trepów. Wyrób roczny sięga 1500—2000 sztuk. Rzemieni dostarczają im Żydzi.

W Kleczewie jeden włościanin zaopatruje całą wieś w chodaki z drzewa. Zarabia zimą 30—40 kop. dziennie.

W pow. wieluńskim, w Kiełczygłowie, 50 osób trudni się wyrobem łyżek, szufli, niecek i koryt. Roczny obrót każdej wynosi do 150 rb.

W pow. sieradzkim, w Unikowie, 2-ch Niemców-kolonistów wyrabia szpadliska i stołki dla szewców. Sprzedają po sąsiednich jarmarkach za 700 rb. rocznie.

W Złoczewie 4-ch małorolnych gospodarzy wyrabia z drzewa bukowego cierlice i łomki do obrabiania lnu. Zarabiają w ciągu roku po 80—100 rb. Nadto z wiórów mają opał.

W gub. *suwalskiej* w pow. maryampolskim, w gm. Michaliszki, kilku gospodarzy wyrabia zimą z lipy, olchy i osiny niecki, faski i wiadra.

W tymże powiecie w gm. Wejwery, we wsi Giwy, jest trzech specjalistów od wyrobu kołowroteków. Każdy wyrabia rocznie do 150 sztuk, które sprzedaje po 1 rb. 20 kop. za sztukę. Na czysto zarabiają po 100 rb.

W pow. kalwaryjskim, we wsi Podawnie, cała ludność trudni się wyrobem grabi, łyżek i chodaków. Sprzedają, gdzie się da. Zarobki minimalne.

W gub. *łomżyńskiej* w pow. ostrowskim, w Jasienicy, 8-iu gospodarzy małorolnych wyrabia krzesła kuchenne z leszczyny w ilości do 200 sztuk rocznie.

W Zasekach 4-ch wyrabia trepy i kołki do przedzenia.

W gm. Szulborze-Koty 28-iu gospodarzy robi brony drewniane, które sprzedają na jarmarkach w promieniu 5-io milowym.

W gub. *warszawskiej* w pow. kutnowskim, w gm. Sójki, jeden bezrolny zajmuje się wyrobem chodaków z drzewa. Robi dwie pary dziennie, sprzedając je po 30—40 kop. za parę. Pracuje przez cały rok, wyłącznie tej pracy się oddając.

W pow. radzywińskim, w Radzyminie, w zakładzie p. Kamińskiego 6-iu ludzi wyrabia laski, obsadki, noże do papierów, pudełka, cukiernice w stylu zakopiańskim. Należy to już właściwie do przemysłu galanteryjnego.

Oto wszystko, co można powiedzieć na podstawie ankiety o drobnym przemyśle drzewnym. Podźwignąć i rozwinąć mogłaby go jedynie specjalna szkoła przemysłu drzewnego, powołana do takiego działania, jak szkoła im. Jana Blocha w Nałęczowie, w zakresie zabawkarstwa.

Olbrzymie sumy, które Królestwo wydaje rocznie na zabawki z drzewa, sprowadzane bądź z zagranicy, bądź z odległych gubernij cesarstwa, mogłyby w znacznej swojej części pozostać w kraju i przyczynić się do podniesienia dobrobytu ludności włościańskiej, gdyby usiłowania, podjęte w kierunku przyswojenia tej gałęzi przemysłu naszemu ludowi, uwieńczył skutek pomyślny.

Pozostają nam do rozpatrzenia jeszcze dwie gałęzie przemysłu drzewnego: *bednarstwo* i *stolarstwo*.

Bednarstwo przechodzi obecnie okres ostrego przesilenia. Jest ono gałęzią przemysłu, który ześrodkowuje się coraz bardziej w miastach, w rękach fachowych rzemieślników. Stąd bednarz wiejski, mniej w zawodzie swoim wykształcony, nie może skutecznie współzawodniczyć z wyrobami miejskimi. Obok tego drożyzna materiału wywołuje coraz większy spadek zarobków, wobec czego uprawianie bednarstwa coraz mniej się opłaca. Nadto naczynia blaszane wchodzą w coraz szersze użycie (wiadra do wody, konewki i t. p.) i wypierają dawne wyroby bednarskie.

Naogół też bednarstwo upada. Z ważniejszych jego ośrodków należy wymienić:

W gub. *radomskiej*, w pow. radomskim, gminę Wolanów, gdzie pracuje 10 bednarzy, gospodarzy małorolnych, posiadających po 3 morgi gruntu. W gm. Kozłów tegoż powiatu pracuje ich do 30. Wyrabiają beczki i kubły, które sprzedają na jarmarkach w Radomiu, Przytyku i Skrzynnie. Zarobki ich spadły w ostatnich czasach znacznie wskutek podniesienia się cen drzewa.

W pow. koneckim, w gm. Borkowice mieszka 6 bednarzy, wyrabiających kadzie, kufy, cebry, konewki, skopki, szafliki, wanienki, faski do masła, stągwie, kubły i t. p. Wyroby te sprzedają na miejscu i na jarmarkach w promieniu 2½ milowym. Zarabiają od 75 kop.—2 rb. dziennie. Poziom rzemiosła niewysoki i tylko jeden bednarz w całej gminie zna swój fach dokładnie.

Włościanie okoliczni uprawiają bednarstwo z wolnej ręki i sami potrzeby swoje w tym zakresie zaspokajają.

W pow. kozienickim w Jedlni jest 2 bednarzy, wyrabiających specjalnie balje, w Zwoleniu 4. Rozwój rzemiosła dość słaby.

W pow. iłżeckim pracuje 5 bednarzy na potrzeby najbliższej okolicy.

W gub. *lubelskiej* w Kurowie pow. puławskiego jest 20 bednarzy. Wyrabiają wszelkie naczynia w zakres rzemiosła wchodzące. Zarobki ich wynoszą po 180—200 rb. rocznie na głowę. Mają zamówienia od fabryk.

W tymże powiecie w gm. Drzewce, we wsi Wąwolnica mieszka 3 bednarzy. Przemysł powstał tu niedawno, dzięki lasom w okolicy i tańszemu, niż gdzieindziej, drzewu. Warunki te sprzyjają rozwojowi na przyszłość.

W pow. biłgorajskim bednarstwo rozpowszechnione jest dość szeroko, zaspokaja jednak tylko potrzeby miejscowe. Biłgoraj ma 2 bednarzy, Sól 6, Księżpol 3, Wola Różaniecka 2, Biszcza 3, Potok Górny 2, Huta Krzeszowska 8, Krzeszów 5, Majdan Sopoczek 5, Babice 4, Łukowa 4, Aleksandrów 8, Puszcza Solska 2.

W pow. janowskim pracuje w Urzędowie 4, w Zaklikowie 7 bednarzy. Od lat kilku bednarze podnieśli tu bardzo ceny towaru, znacznie wyżej, niż to usprawiedliwiało podrożenie drzewa. Polując na grube zyski, stracili w ten sposób zbyt i dziś zarabiają za ledwie po 4—7 rb. tygodniowo.

Centrem przemysłu bednarskiego dla całej gubernii są Bełżyce w powiecie lubelskim. Mieszka tam 86 majstrów samodzielnych, nie licząc pomocników. Wyrabiają najwięcej beczek do kapusty, cebrów, konwi, balii i t. p. Przemysł jednak stopniowo upada. Ilość bednarzy zmniejsza się z roku na rok, a zarobek przeciętny nie przenosi 150 rb. rocznie na jednostkę. Drożyzna drzewa, bezradność ekonomiczna, brak oświaty i rujnujące pośrednictwo Żydów wpływają bardzo ujemnie na stan rzemiosła. Wartość produkcji rocznej sięga jednak poważnej kwoty kilkudziesięciu tysięcy rubli.

W pow. tomaszowskim w Majdanie jest kilkunastu bednarzy, w Krynicy 15, w Tyszowcach 5, w Komarowie 20. Wszędzie pracują przeważnie gospodarze małorolni, zadowolając się małym zarobkiem. Rozwój bednarstwa jest tu jednak słaby z powodu utrudnionego zbytu.

W pow. zamoyskim bednarze zaspokajają tylko potrzeby miejscowe.

W pow. hrubieszowskim, w gm. Magistrat jest 36 bednarzy, w tem 22 chrześcijan i 14 Żydów. Bednarstwo rozwija się tu pomyślnie. Zbyt stale wzrasta. Wyrabiają beczki do kapusty, balje, kubły etc. Zarobki sięgają do 400 rb. rocznie na warsztat.

W gub. *kieleckiej*, w pow. olkuskim pracują bednarze w Woli Kalinowskiej (18), w Wielmoży (10), w Sułoszowej (28). Zaspokajają tylko potrzeby miejscowe.

Punktem najruchliwszym dla całej gubernii są historyczne Szczekociny. Pracuje tam 50 bednarzy, którzy wyroby swoje sprzedają na jarmarkach w Wolbromiu, Zarnowcu, Pilicy, Wodzisławiu i Koniecpolu.

W pow. miechowskim bednarstwo ma swoje gniazdo główne w Proszowicach, skąd towar rozchodzi się szeroko. Na wsiach natomiast przemysł ten reprezentowany jest bardzo słabo.

W gub. *łomżyńskiej*, w pow. łomżyńskim, bednarstwo rozwijało się niegdyś pomyślnie w Zambrowie. Obecnie całą produkcję objęli tu Żydzi. Katolik jest tylko jeden i ten zwija powoli warsztat, a zajmuje się głównie pobijaniem dachów, zarabiając w ten sposób od 1—3 rb. dziennie.

W pow. mazowieckim bednarstwo upada z powodu wysokich cen drzewa. Jednocześnie z podrożeniem materiału zmniejszyły się znacznie zarobki. Wynoszą one przeciętnie od 30 kop. do 1 rb. dziennie.

W pow. ostrowskim w Orłach jest 30 bednarzy, w Broku 3. Drzewo drożeje, wskutek czego zarobki coraz mniejsze. Rzemiosło upada.

W gub. *piotrkowskiej* bednarstwo rozwinięte jest słabo. W Mstowie, w pow. częstochowskim, pracuje 7 bednarzy. Zarabiają od 3—4 rb. tygodniowo. Gdzieindziej jest jeszcze gorzej.

W gub. *kaliskiej*, w pow. słupeckim, Zagórów ma 4 bednarzy, Kazimierz 12. Zarabiają mało. Przemysł zagrożony upadkiem.

W pow. konińskim we Władysławowie pracuje 17 bednarzy, w Tuliszkowie 14. Wyroby blaszane, sprowadzane z zagranicy, stanowią tu niebezpieczne dla bednarstwa współzawodnictwo. Produkcya się zmniejsza. Zarobki spadły znacznie.

Najruchliwszym punktem w gubernii jest gm. Kiełczygłów w pow. wieluńskim. Mieszka w jej obrębie 180 bednarzy, wyrabiających beczki, balje, wiadra i t. d. Wyroby te sprzedają na jarmarkach. Zarabiają od 100—150 rb. rocznie każdy. Produkcya jednak stopniowo się zmniejsza i niema widoków na polepszenie.

W gub. *płockiej* bednarstwo zanika.

W gub. *siedleckiej* — rozwinięte jest słabo.

Szczegółów, dotyczących gub. warszawskiej i suwalskiej ankieta nie zdobyła.

Co do *stolarstwa*, to trudno o niem mówić, mając na uwadze drobny przemysł ludowy.

Wobec wysokich wymagań tego rzemiosła, staje się ono coraz mniej dostępne dla ludu, gdyż wymaga zupełnie wykwalifikowanej pracy. Nie ma też stolarstwo widoków na rozwój po wsiach. Ześrodkowuje się ono coraz bardziej w miastach i to większych.

Tu i owdzie wyrabiają wprawdzie stolarze wiejscy drzwi, okna, szalowania i podłogi, ale nie zmienia to postaci rzeczy. W zakresie meblowym nie mogą oni współzawodniczyć nawet z partaczami małomiejskimi.

Uwalnia nas to od bliższego rozpatrywania plonu, jaki w tej mierze przyniosła ankieta.

Ostatnim działem przemysłu drobnego, o którym można mówić szerzej, jest *garncarstwo*. I ono znajduje się w stanie upadku. Podobnie, jak wyroby fabryczne wypierają powoli z użycia płótno domowe i samodziały, tak i dawne garunki gliniane nie mogą

się utrzymać wobec zwycięskiego pochodu saganów żelaznych i naczyń blaszanych, które dotarły już na wieś i skutecznie współzawodniczą ze staroświeckim światem skorup.

A jednak garncarstwo nie przestało być do dziś dnia przemysłem, któremu warto przyjrzeć się bliżej, choćby dla tego, że tkwi w niem pierwiastek artystyczny, że lud przy jego pomocy może wypowiadać swoje pojęcia o pięknie, zawartem w linii i w barwie.

Może też, nie bez pewnego zainteresowania przedmiotem, czytelnik zechce się dowiedzieć, gdzie i w jakim stanie zachowało się jeszcze dawne garncarstwo.

W gub. *radomskiej* ośrodkiem jego jest powiat iżdecki. Pracuje tam 23 garncarzy. Nie wszyscy posiadają piece do wypalania wyrobów. Ci, którzy ich nie mają, wynajmują je od innych za opłatą po 30 kop. dziennie. Wyroby swoje sami rozwożą po jarmarkach. Zarobek czysty sięga 33% wartości towaru. Wypalają średnio po 14 pieców rocznie.

W tejże gubernii w pow. koneckim w gminie Nieklań pracuje 9 rodzin garncarskich. Jedni sprzedają wyroby swe na miejscu Żydom przyjezdnym z Kielc, Końskich i Radoszyc; inni rozwożą swój towar do miasteczek pobliskich na jarmarki i odpusty. Wyroby mają opinię ustaloną, jako bardzo dobre, gdyż w rodzinach wspomnianych przemysł garncarski jest dziedzicznym i uprawia go już trzecie pokolenie. Słyną zwłaszcza garncarze z Rędocina (wieś pod Nieklaniem). Wyrabiają oni gustowne wazy, urny polewane, barany z wełną, niedźwiedzie na łapach, lichtarze i t. p. Jeden z nich robił nawet próby wypalania piszczałek do organów.

W gub. *kieleckiej* przemysł garncarski upada wskutek wyniszczenia lasów (drożyzna drzewa), trudności dogodnego kredytu i podrożenia gliny.

Punktem głównym są Szczekociny w pow. włoszczowskim, gdzie pracuje około 30 garncarzy. Towar ich zakupują Żydzi. Ekonomiczna od nich zależność jest przyczyną ubóstwa garncarzy.

W pow. stopnickim w Pierzchnicy jest również około 30 garncarzy. Garncarstwo sięga tam lat odległych. Kunszt ich przechodzi dziedzicznie z ojca na syna. Glinę mają dobrą, ale wyroby ich są prymitywne, a wskutek tego mają powodzenie małe.

Tak samo jest w Opatowcu, w pow. pinczowskim, gdzie pracuje 12 garncarzy, wyroby ich jednak nie mogą wytrzymać współzawodnictwa z naczyniami żelaznymi i blaszanymi.

W gub. *lubelskiej* w pow. tomaszowskim garncarstwo przedstawia się słabo. Garncarzy wyzyskują Żydzi, zakupując za bezcen cały ich wyrób, który sprzedają następnie na jarmarkach.

W pow. lubartowskim w Firleju jest 13 garncarzy, którzy traktują przemysł ten nie jako samodzielny środek do życia, ale jako pomoc przy małych gospodarstwach. W sprzedaży pośredniczą Żydzi.

W pow. janowskim w Urzędowie pracuje 41 garncarzy i 12 pomocników, którzy ekonomicznie zależą od Żydów i dla nich robią na zaliczki. Stąd zarobki małe i zniechęcenie do przemysłu. Wielu twierdzi, że praca na roli opłaca się lepiej.

Tak samo jest w pow. zamoyskim w Krasnobrodzie, Szczepieszynie, Hutkowie, Franpolu i Terespolu, gdzie pracuje ogółem 34 garncarzy.

Nieco lepiej jest w pow. chełmskim w Pawłowie (42 majstrów garncarskich i z górą drugie tyle pomocników), ale i tam przemysł upada.

W gub. *łomżyńskiej* w Sokołach z każdym rokiem ilość garncarzy się zmniejsza, a poziom wyrobów obniża.

W Zambrowie jest jeden tylko garncarz, który wyrabia ozdobięjsze garnki i wazony i ten zarabia lepiej od innych.

W innych powiatach garncarstwo wybitnie upada.

W gub. *płockiej* dochodzi już do zaniku.

W gub. *piotrkowskiej* najwięcej garncarzy jest w pow. łaskim (gm. Dzbanki) i częstochowskim (gm. Kamyk, os. Kłobuck).

Współzawodnictwo wytwarzają tu wyroby śląskie o wiele lepsze i — prawdopodobnie — fabryczne.

W gub. *siedleckiej* garncarstwo upada, nie wyłączając Białej, która niegdyś słynęła ze swoich wyrobów i ma po dziś dzień ulicę *Garncarską*.

W gub. *łomżyńskiej*, w pow. garwolińskim, w Łaskarzewie, pracuje 14 garncarzy, którzy przeważnie sami rozwożą swoje wyroby po okolicy, osiągając w ten sposób większe zyski, niż ze sprzedaży hurtowej.

W gub. *suwalskiej* garncarstwo upada. Pewnem ożywieniem produkcji odznaczają się jedynie Wigry w pow. suwalskim (8 garncarzy) i Sejny (4 garncarzy).

W gub. *kaliskiej*, w pow. sieradzkim, w osadzie Burzenin jest 22 garncarzy, pracujących na zaliczki u Żydów.

W pow. tureckim, w Uniejowie — 9.

W pow. kolskim w Sompólnie—19. Garncarstwo przechodzi tu stopniowo w kaflarstwo.

W gub. *warszawskiej* przemysł garncarski zanika. Trzyma się jeszcze w Łowiczu i w Bolimowie, ale szans rozwoju niema.

Nieco lepiej jest w Radzyminie, gdzie pracuje 10 rodzin, ale poziom wyrobów bardzo niski.

Ostateczną klęskę garncarstwu krajowemu zadają naczynia blaszane, wchodzące w powszechnie użycie w gospodarstwie mlecznem i wypierające dawne dzbany, miski i gładyszki.

Utrzymać i rozwinąć mogłoby się tylko garncarstwo ozdobniejsze, połączone z rozwojem sztuki ludowej.

*

*

*

Jeżelibyśmy usiłowali teraz na podstawie przytoczonych powyżej danych¹⁾ stworzyć sobie ogólny pogląd na stan przemysłu ludowego w kraju, to bez wielkiego trudu dojdziemy do wniosku, że ten stan jest mniej niż zadowalający. Nigdzie przemysł drobny nie stoi tak, aby miejscowa ludność włościańska mogła na nim budować swoją przyszłość ekonomiczną. Wszędzie, z małymi zaledwie wyjątkami, jest powolny upadek, jeżeli nie zupełna ruina. Dawne ogniska tego przemysłu wygasają, nowych nie tworzy ani życie, ani inicjatywa ludu, ani inicjatywa warstw oświeconych w narodzie. Brak oświaty, a wskutek tego brak umiejętnej organizacji przemysłowej, niezdolność do zrzeszania się, czy to w celu nabywania na dogodniejszych warunkach materiałów surowych, czy w celu zapewnienia zbytu wyrobom gotowym i znalezienia dla nich nowych dróg handlowych, brak taniego kredytu wytwórczego, kosztowne pośrednictwo Żydów, świadomie wyzyskujących pracę wiejskich i małomiejskich robotników, wreszcie współzawodnictwo wyrobów fabrycznych, które w miarę większego uprzemysłowienia kraju stale będzie wzrastało — oto najgłówniejsze przyczyny upadku przemysłu drobnego.

Upadek ten widzieliśmy w czterech najważniejszych jego działach. Nie lepiej jest i w tych, które pominęliśmy rozmyślnie

¹⁾ Dane te odnoszą się do okresu już minionego, mogą przeto wywołać szereg sprostowań i dopełnień, bardzo zresztą w tej sprawie pożądaných.

z uwagi na to, że w życiu wsi polskiej nie mogą one wybitniejszej roli odegrać. Należą tu: kapelusznictwo, słomkarstwo i słomiankarstwo, sitarstwo, kowalstwo, ślusarstwo, szewctwo, kamieniarstwo, mularstwo, krawiectwo i kuśnierstwo, powroźnictwo, wreszcie początkujące dopiero guzkarstwo. Ostatnie, szczepione wśród dzieci wiejskich za pomocą ochron, ma raczej charakter pedagogiczny, przyzwyczajają bowiem do pracy zawczasu, wyrabia zręczność, i daje niewielki, ale zachęcający zarobek. Kto wie zatem, czy przemysł ten nie przyjmie się wśród naszych dzieci wiejskich tak, jak przyjął się w Czechach. Do tego jednak, aby się to stało, potrzeba odpowiednich wysiłków ze strony społeczeństwa. Zobaczmyż teraz, kto, jak i gdzie wysiłki takie podejmuje. Przyjrzyjmy się, co dla przemysłu ludowego już u nas zrobiono i co należy zrobić w najbliższej przyszłości.

W krajach, które mają moc stanowienia o samych sobie i prawo urządzania życia swojego, zgodnie z wolą własną, sprawami przemysłu drobnego opiekują się organy samorządu. U nas organów takich niema. Z konieczności więc cała troska i cały ciężar obowiązków w tym kierunku spada na społeczeństwo, które własną inicjatywą musi ratować walący się dom i wspierać go na najbardziej zagrożonych węglach.

Jedynym, jak dotąd, wspornikiem przemysłu ludowego u nas, jest Towarzystwo popierania tego przemysłu. Prowadzi ono w dalszym ciągu działalność rozwiązanej w roku zeszłym Sekcyi przemysłu ludowego, chcąc więc mówić o niem, musimy zaznajomić się przedewszystkiem z działalnością Sekcyi VIII. Przekazała ona Towarzystwu rzecz wielkiej wagi — materiał statystyczny, zdobyty przez znaną nam już dobrze ankietę. Poza tem praca jej, acz niewolna od błędów i niedopatrzeń, była także owocna i w innych kierunkach.

Teren tej pracy i jej rozmiary najlepiej określi nam przegląd instytucyi, któremi Sekcyja opiekowała się w ostatnim roku swego istnienia.

Widząc upadek tkactwa i orientując się w przyczynach, które ten upadek wywołują, Sekcyja zajęła się przedewszystkiem szkołą tkacką w Stanisławowie i postawiła ją na wysokości zadania. Ze szkoły tej wyszedł już poważny zastęp instruktorów, wykwalifikowanych gruntownie w swoim zawodzie.

Jednocześnie opiekowała się Sekcyja drugą szkołą tkacką — we Frampolu. Głównem zadaniem tej szkoły było wprowadzenie między tkaczy miejscowych, od setek lat zajmujących się tam rzemiosłem, przyrządów nowych i ulepszonych, zamiast starych,

niedogodnych i nieodpowiednich warsztatów. Osiągnąwszy w znacznej mierze ten cel, szkoła została zwinięta, wynikiem zaś jej działalności było zawiązanie przez tkaczy miejscowych spółki wytwórczej, która, jak to stwierdzają najświeższe dane, rozwija się pomyślnie.

Wreszcie założyła Sekcyja *warsztaty tkackie* w Liskowie, w gub. kaliskiej i *Szkołę tkactwa oraz gospodarstwa wiejskiego dla włościanek* w Kruszynku, przy ofiarnym współudziale pp. Haack z Dębic. Szkoła ta jest już w trzecim roku swego istnienia i liczy 53 uczenic we wzorowo prowadzonym internacie.

W dziale koszykarstwa wypada wymienić na pierwszym miejscu znaną nam już koszykarnię wzorową w Serocku, która również wykształciła szereg instruktorów, podnosząc przez to znacznie poziom tego rzemiosła i wprowadzając je na tory szerszego rozwoju.

Pracę tę, po spaleniu szkoły Serockiej, prowadzi obecnie w dalszym ciągu, również przez Sekcyję założoną, szkoła koszykarska w Nałęczowie. Kierownikiem jej jest były wychowaniec Serocka. Szkoła ta odznacza się smakiem i starannem wykonaniem swoich wyrobów.

Również pod kierunkiem wychowawca Serocka pozostawała szkoła koszykarska w Biłgoraju, przeniesiona obecnie do Zwierzynca, jako wzorowe warsztaty.

Trzecim wreszcie posterunkiem, obsadzonym także przez wychowawca szkoły Serockiej, są warsztaty koszykarskie w Neplach nad Bugiem.

Dawnej Sekcyi przypada też w udziale zasługa założenia i zorganizowania pierwszej w kraju naszym *Szkoły zabawkarskiej* im. Jana Blocha w Nałęczowie. Część byłych uczniów tej szkoły już pracuje w warsztatach okolicznych producentów.

W dziale zbytu towarów przemysłu ludowego Sekcyja zapisała się również dobrze, dając inicjatywę do założenia w Warszawie sklepu z wyrobami tego przemysłu. Sklep ten powstał przed trzema laty, naprzód przy ul. Mokotowskiej № 58, następnie przy ul. Brackiej № 18. Od czasu tej zmiany lokalu obrót handlowy podwoił się i w r. 1907 doszedł do 18,000 rb., dając jednocześnie pomyślne widoki na przyszłość.

Oto jednak cały spadek, jaki po Sekcyi VIII-ej otrzymało Towarzystwo popierania przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem. Stanęło ono wobec zadań szerokich i wielkich i przedwczesną rzeczą byłoby dziś zastanawiać się nad tem, czy i w jakim zakresie zadania te zostaną spełnione. To pewna tylko, że

Towarzystwo zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, co najpierwszy jego obowiązek stanowi i potrafiło jasno wytknąć sobie drogę działania.

O kierunku tej drogi dowiadujemy się dokładnie z przemówienia prezesa Towarzystwa i niezmordowanego sternika jego spraw, d-ra K. Benniego.

Dn. 18 stycznia r. b., otwierając pierwsze posiedzenie Towarzystwa, mówił d-r Benni, co następuje:

„Celem Towarzystwa nie jest bynajmniej bezpośrednio zakładanie i utrzymywanie warsztatów lub nawet szkół przemysłu ludowego w najodpowiedniejszych do tego punktach kraju. Powinno ono tylko do zakładania takiego zachęcać i odpowiednimi służącymi wskazywać.

„Bezpośrednim zaś jego obowiązkiem jest przede wszystkim *przygotowanie i dostarczanie takim szkołom i warszatom odpowiednio wykształconych i wykwalifikowanych instruktorów, czy to dla warsztatów i szkół, czy też instruktorów wędrownych dla tych lub owych. coraz to innych okolic kraju.*

„Z tego więc powodu głównem zadaniem Towarzystwa musi być *zakładanie szkół dla instruktorów* przemysłu ludowego. Szkoły takie bez internatów istnieć nie mogą i nie powinny. Nie mogą, bo sprowadzając uczniów z rozmaitych stron kraju, muszą im zapewnić dach i pożywienie, muszą im dać obok tego opiekę i ułatwić nie tylko wykształcenie zawodowe, ale i wychowanie pedagogiczne. Nadto młodzież miejscowa nie dostarczy takim szkołom dostatecznego kontyngensu uczniów. Będąc odrywaną około 6-iu miesięcy w roku od szkoły dla zajęć na roli, całego czasu swego pracy zawodowej poświęcić nie może. Tylko internaty dla młodzieży przyjezdnej tę trudność usuwają.“

Drugim—według słów d-ra Benniego—zadaniem Towarzystwa jest *organizowanie swojej działalności po gminach i okręgach całego kraju*, a zatem: wybór najodpowiedniejszych i najchętniejszych delegatów i delegatek, którzy pracować będą nad zakładaniem warsztatów i szkół rozmaitych gałęzi przemysłu ludowego w najodpowiedniejszych dla tego punktach; nad ożywieniem i wskrzeszeniem gałęzi usychających i zanikających; nad ułatwieniem technicznym, doskonaleniem i uszlachetnieniem przemysłów istniejących, a nawet, choć bardzo wyjątkowo, bo to zadanie nader trudno—nad wytworzeniem nowych działów przemysłu.

Na trzecim miejscu stawia sobie Towarzystwo za cel utworzenie miejsc zbytu dla wyrobów przemysłu ludowego, nie dlatego wszakże, żeby koniecznie wszystko, co lud wyrabia, miało być

sprzedawane, wyroby ludowe powinny bowiem przedewszystkiem zaspokajać domowe potrzeby ludu i dopiero to, co się nie zużyje w domu, może być sprzedawane na jarmarkach w sąsiednich miasteczkach, wreszcie w miastach gubernialnych, gdzie powinny powstać odpowiednie sklepy. Jeden zaś sklep centralny w Warszawie wystarczy zupełnie dla ześrodkowania towaru albo wybredniejszego, jak np. kilimy, hafty i t. p., albo dla zbytu, przewyższającego potrzeby miejscowości pomniejszych, ewentualnie nawet dla zorganizowania wywozu.

Czwarta strona działalności Towarzystwa—to wszechstronne wyzyskanie § 2-iego jego ustawy. Paragraf ten bowiem nietylko upoważnia Towarzystwo do zakładania szkół przemysłu ludowego, sal rysunkowych, zbiorów okazów, warsztatów zbiorowych, do przygotowywania wykwalifikowanych instruktorów w różnych gałęziach przemysłu, do otwierania sklepów dla zbytu wyrobów tego przemysłu, ale i do urządzania wystaw stałych, ruchomych i czasowych, do organizowania oddziałów Towarzystwa dla poszczególnych gałęzi przemysłu ludowego i dalej do organizowania i legalizowania spółek, mających na celu tworzenie wspólnych warsztatów ręcznych lub motorowych, wspólnej sprzedaży towarów gotowych lub nabywania materiałów nowych, wreszcie do ogłaszania konkursów, potrzebnych do osiągnięcia celów Towarzystwa.

Z takiego przedtawienia i postawienia rzeczy przez prezesa instytucyi, mającej opiekować się przemysłem ludowym, widać, że przewidziane i właściwie ocenione zostało tu wszystko, co może się przyczynić do zachowania istniejących gałęzi przemysłu, podtrzymania ich i wskazania im nowych dróg rozwoju. Niepodobna różnorodnych potrzeb tego przemysłu treściwiej ująć i sformułować jaśniej. Możnaby do tego dodać jedynie kilka słów, wyjętych z mowy sejmowej niezapomianego pracownika na polu ekonomicznego odrodzenia Galicyi i pierwszego zwiastuna renesansu polskiego, ś. p. Stanisława Szczepanowskiego.

Słowa te brzmią, jak następuje:

„Szukajmy dalszego rozwoju naszego przemysłu rękodzielniczego nie w nędzy materialnej, pracującej za bezcen, lub w małpiarstwie chińskim wzorów zagranicznych, lecz w wykształceniu tych zarodków oryginalności i twórczości, któremi natura nasz lud hojnie uposażyła. Bądźmy przekonani, że każda robota tuzinkowa, hurtowa, z konieczności musi prędzej czy później zamienić się na maszynową i szablonową. Starajmy się więc conajprędzej przygotować trwały rozwój przemysłu rękodzielniczego przez jak najwyższy rozwój *indywidualności i oryginalności.*“

Łącząc to z programem działalności Towarzystwa, mamy przed sobą cały zakres pracy, jakiej dokonać należy dla podźwignięcia wsi polskiej z obecnego jej stanu ekonomicznego.

Praca to olbrzymia i rozłożona na całe lata. Nie dokona jej żadna, choćby najlepiej zorganizowana i najsprawniej działająca instytucja. Może ona tylko tą pracą sterować, może kreślić plan gmachu, pod którego budowę pojedyncze cegły znosić musi cały naród. Umilowania wszystkich serc i wysiłku wszystkich ramion potrzeba do tego, aby cały ciężar obowiązków, związanych z tą pracą, unieść i podolać mu.

Dwór wiejski i plebania, najbliżej ludu stojące, mają tu najszersze pole do działania i najlepszy moment do udowodnienia, że pojmując interes *narodu*, jako całości, chcą i potrafią *dla ludu z ludem* pracować.

Widzieliśmy z przytoczonych kilku przykładów, że inicjatywa prywatna, jednostkowa, rychle i piękne przynosi owoce. Dodamy do tego jeszcze, że usiłowania obywatelskie pań: Apoznańskiej (kilimki w Rusi), Platerówien, Mohlówny, Minejkowej, Wodzickiej, Komarowej, Krasickiej, oraz państwa: Dąbskich, Kleniewskich, rodziny Blochów i Haack'ów mają już swoją własną kartę w dziejach przemysłu ludowego.

Przemysł ten potrzebuje jednak dla swego odrodzenia i utrwalenia nieskończenie większych i nieskończenie liczniejszych ofiar. Muszą mu pośpieszyć z pomocą literalnie wszyscy i to nietylko w interesie ludu, ale w interesie, jak powiedzieliśmy wyżej — całego *narodu*.

Wiemy już, jak szybko wieś polska się proletaryzuje. Według obliczeń p. Grabskiego, ludność bezrolna w r. 1904 stanowiła w Królestwie około 592,378 rodzin. Liczba ta szybko wzrasta. Obok tego zaś, drogą dzielenia ojcowizny rośnie również szybko ilość małorolnych, posiadających mniej ziemi, niż jej trzeba do ich wyżywienia. Prowadzi to kraj do nieuniknionej katastrofy, zwłaszcza, że w obecnym położeniu politycznym nie można mieć nadziei na rychle i poważne reformy agrarne. Jeżeli przeto nie ocenimy sytuacji należycie i nie stworzymy dla ludu nowych źródeł zarobku—to ścieżka, prowadząca z dworu do chaty, nowymi zarośnie głogami i cierniami, boleśniejszemi może od poprzednich, bo zatrutemi jadem nieznanej przedtem nienawiści klasowej.

Agitacja socjalistyczna znajdzie wówczas na wsi podatny dla siebie materyał i poprowadzić może, gdzie zechce, lud, pogrą-

żony w ciemnocie i nędzy, nie mający „nic do stracenia, prócz swoich kajdan,“ jak mówi manifest komunistyczny...

Kto więc patrzy nietylko na dziś, ale i ku niedalekiemu jutru spogląda, a pojmuje demokrację, nie jako demagogię, ale jako pracę sumienną *dla ludu* — *z ludem*, ten — niezależnie od tego, czy jest mieszkańcem wsi, czy miasta — nie może uchylać się od pracy nad szczepieniem kultury przemysłowej wśród ludu. A pracy tej jest pod dostatkiem i dla ziemiaństwa, i dla duchowieństwa, i dla inteligencji miejskiej.

Dwór, plebania i miasto mogą tu sobie podać ręce i pójść *społem* ku jednemu celowi, którym jest odrodzenie kraju i narodu.

Z. DĘBICKI.

HANKA.

Szary łachman, z chmur utkany, zasunął niebiosa swoją opończą, zaczął się sypać śnieg, rozwiewać się, kłębić w powietrzu i słać się wolno na brudnych płytach kamiennych, jak kwiecie przekwitłej czereśni.

Coraz gęściej i gęściej, pada bezustanku, monotownie, niezmordowanie. Jeszcze chwila, a nogi przechodnia przestają odiskać ciemne, błotne ślady na trotuarach i cały Kreszczatik tonie już w tej sino-białej zadymce.

Ale ruch nie ginie, wysypują się roje malutkich saneczek, rysaki wichrem prują powietrze, brzęczą dzwonekami, prychają radośnie, a z nozdrzy ich śnieg przyska. Grube płaty lepkiego śniegu wyrrywają się z pod kopyt końskich, przebijają się przez oka siatek i uderzają o twarze jadących.

To przelatuje złota młodzież kijowska!...

Z sanek do sanek lecą ukłony, wrzawa, śniech pusty... Co chwil kilka mignie powóz z poważnym jegomością w dochach i strojną żoną jego: siedzą rozparci oboje...

To kontraktowicze!...

A bokiem ulicy skromnie ciągnie się sznur dorożek, chude koniki z wysiłkiem postępują po nierównym bruku wśród rozwianego miejscami jeszcze śniegu.

To szary tłum!...

Na trotuarach pełno. W tę stronę, w przeciwną, biegną ludzie, potracają się, zatrzymują, biegną znowu na tym deptaku, trawieni gorączką, wracają uśmiechnięci, rozbawieni...

Bo to kontrakty!

Kijów wre życiem, Kijów się bawi.

A srebrne gwiazdki się sypią...

Zwartą gromadką idą trzy dziewczynki z Francuzką. Szykowne w swych krótkich, granatowych kostiumach, lustrowych czapczkach, ze srebrzącami się śniegiem włosami.

— Ot, i ślizgawka nasza przepadła! — wdycha najstarsza złotowłosa o dużych, czarnych oczach, pełnych iskier złotych.

— Przepadła! — jak ciche echo powtarza smagła dziewczyna, a rysy jej, rysy delikatnej kamei, wioną głębokim smutkiem. Jest to jedna z tych twarzy, co nigdy się głośno nie śmieje, uśmiecha się tylko.

— Jakaś ty, Hanko, tragicznie to powiedziała!

— Bo mi żal.

— *Voyous mes enfants*, wracajmy, czas już do domu.

— O, choć raz jeszcze! — paniątkom nie chce się wracać, one tak lubią ruch, gwar ludzi.

— *Mademoiselle chérie*, Linka zapomniała jeszcze wstążki do włosów!

— Jutro może kupić.

— Na dziś koniecznie potrzebna, koniecznie, idziemy do teatru — woła błagalnie mała osóbką o kasztanowatych lokach i dziecinnie zakrzywionej buzi.

Mademoiselle rozumie doskonale, że ją oszukują haniebnie, lecz cóż robić *Ainsi va le monde*. Zgadza się, tylko zapowiada, iż to już po raz ostatni.

— Odtąd starajcie się odrazu paniętać, czego wam potrzeba.

— Ależ, naturalnie!

— Więc chodźmy do Szulca.

— Och! tam takie brzydkie kolory! *Fi donc!* Jeden tylko jedyny Konoplin.

Umyślnie wskazują przeciwny koniec Kreszczatiku, byle spacer przedłużyć.

— *Eh bien allons!* — wdycha zawojowana Francuzka.

— Czarniutki przejechał — zawiadania cicho Linka towarzyszki.

— Gdzie? gdzie?

— Staął przed Idzikowskim, nie gapcie się, bo *mademoiselle* zobaczy i — awantura.

— Nie! nie! ja tylko tak — niby w witrynę. Prawda! jest! Hanko, zobaczno, jaki on śliczny!

Ale Hanka wydyma pogardliwie swe wążutkie usta.

— Za pewny siebie! chodźmy prędzej, co on o nas pomyśli?

Wysuwa się naprzód.

— *Mes voyons donc mes petites, marchez comme il faut.*

Więc małe kobietki kroczą dalej poważnie niby, ale spojrzania ich z przymrużonych od śniegu oczu lecą wprost w twarze przechodniom.

Młodzież staje zachwycona, ogląda się za niemi, one słyszą szmer podziwu i idą dalej zwinne, lekkie, małemi nóżkami w wązkich bucikach o wysokich obcasach ledwie dotykając ziemi. A srebrne gwiazdki z nieba się sypią, migoczą i ścielają im drogę...

*

*

*

— Zajdziemy do Georges'a na czekoladę—proponuje Paula, której perspektywa powrotu do domu, a zatem do książki, niebardzo się uśmiecha.

— Wyborny pomysł! do Georges'a, do Georges'a, tak nam się jeść chce!—popierają Lineczka i Hanka.

Mademoiselle dla zasady lekko oponuje, ale one wiedzą, że właściwie zawsze na swoim postawią i po chwili wchodzą do modnej cukierni.

Pokój, jak wązka szufladka, biała ze złotem, zastawiona białemi stolikami, pełen. Wszystkich oczy zwracają się na dziewczynki. Moc znajomych.

— Zanieckie, Zanieckie—rozlega się szept wokoło.

Podchodzi śliczna młoda kobieta, zgrabna i ogromnie szykowna. Ruchy ma trochę ostre, lecz zwinne, wiewiórcze.

— Dzień dobry, miłe moje — mówi niskim, trochę nosowym głosem.

— Rena!

Jest to żona ich kuzyna.

— Renuś, ty w Kijowie? Kiedyś przyjechała?

— Czemuś u nas jeszcze nie była?

— Właśnie od was wracam — zwraca się Rena do Hanki — lecz nikogo nie zastałam.

— Ach, mamusia z Oleńką z wizytami pojechały, miały o szóstej dopiero powrócić.

— Renuś, będziesz na *pique-nique'u*?

— A jakże! Przyjechałam specjalnie robić sobie tualetę. Chodźcie ze mną, pomożecie mi wybrać cośkolwiek, zasiedziałam się na wsi, już nie wiem nawet, co noszą.

Hanka wymawia się, ma lekcye.

— Ech! co tam—woła Paula—napiszę do panny Jadwigi, że mnie głowa boli, żeby jutro nie przychodziła i ty zrób tak samo.

— Nie mogę!

— Chodź, Hanko, nie bądź upartą.

— Nie, nie!

— Hm, szkoda! my obie z Linką pójdziemy, ale będziesz nas musiała wcześniej do domu odprowadzić, wybieramy się do teatru.

— Ach, cóż dają?

— „Cyrulika sewilskiego!“ Gra Kameński, jesteśmy w nim zakochane wszystkie, szalenie!

— Ładny?

— Cudowny! zachwycający! a jaki głos!

— Jeśli tak, to może i ja pójdę. A wy, Hanko?

— Nie wiem, mamusia nic nie mówiła.

Hanka się spieszy, jednym łykiem kończy swą czekoladę, pragnie już wracać, odrobić jaknajprędzej zadane lekcye, być może, iż i jej matka z Oleńką się wybierają, może i ją wezmą, ona tak śpiew kocha! co to za radość dla niejby była! może, może...

Żegna się z Leną, kuzynkami, biegnie tak, że *mademoiselle* ledwie nadążyć może za nią.

Mademoiselle jest to osoba od spacerów, tak zwana przez pańienki „tyczka chmielowa,“ albo częściej „żyrafa.“

— *Anne vous irez toute seule déjà, n'est ce pas?*—pyta „żyrafa“ na rogu ulicy.

— *Bien! bien!*

Bardzo często zdarza się, iż Hanka wraca spory kawał sama, choć matka tego nie lubi, ale nie śmie nic powiedzieć Francuzce.

W domu ciemno, pani Zanieckiej, ani Oleńki niema jeszcze. Hanka więc zapala lampę, siada przy biurku i gorliwie zaczyna się uczyć.

— ...Triasowy, 3 piętra, u dołu piaskowiec pstry... z odciskami łap gadów chirotherium... ciekawam, czy pójdą, pewno tak, bo Oleńka kazała tę nową suknię sobie przygotować, naturalnie, że pójdą, Kameński śpiewa... ach, jak prześlicznie! Chciałabym i ja pójść... Mój Boże, jeszcze nic nie umiem!... Wyżej wapień muszlowy z lilij morskich, wreszcie kenper czyli piaskowiec... czyli piaskowiec... a może mnie nie wezmą? Piaskowiec i glina, i glina...—powtarza bezmyślnie.

Dzwonek

Hanka zrywa się, lecz wnet siada napowrót, zatyka uszy palcami i powtarza uważnie:

— Epoka mezozoiczna, drugorzędowa, należy trias, jura, kreda...

— Hanko moja złota, zakarbuy mi włosy!— woła Oleńka ze swego pokoju.

— Idę.

Oleńka w szlafroku już siedzi przed wielkim lustrem, włosy jej jedwabiste płyną po ramionach aż do ziemi prawie. Wygląda, jak te postacie madonny ze złoczonego bizantyjskiego obrazu, ze swą delikatną cerą i siatką niebieskich żyłek na skroniach.

— Gdzie idziesz?—pyta Hanka.

— Na „Cyrulika,“ mamusia zaprosić musiała Bolków... aj, parzy!

— Przepraszam!

— Nie wezmą mię — przelatuje przez myśl Hanki, ma oczy pełne łez, ale prędko przechyla w tył głowę, by wlać je napowrót pod powieki, pomaga siostrze ubrać się, zapina jej rękawiczki, nakłada futro.

— Musimy jeszcze po Bolków zajechać.

Wchodzi pani Zaniecka, niemłoda osoba ze śladami wielkiej piękności.

— Hanko, wrócimy z Bolkami na kolację, przygotuj porządnie wszystko. Każ Janowi włożyć czyste rękawiczki, taki brudas, że mi wstyd.

— Dobrze, mamusiu—szepce Hanka cichutko.

Odjeżdżają, a ona zasiada napowrót do książki.

— Epoka kenozoiczna...—naraż chowa twarz w dłonie, wybucha głośnem łkaniem.

— Głupstwo! mażę się, jak dzieciak—stara się uspokoić—naturalnie, mama ma rację, że mnie nie bierze, zawsze tak jest wszędzie w moim wieku, tylko o nauce trzeba jeszcze myśleć, naturalnie...

Wypija szklanekę zimnej wody, przygotowuje wszystko do kolacyi, układa owoce i ciasta na kłoszach i już zrezygnowana, powraca do pracy.

*

*

*

Przez salę kontraktową przelewa się fala.

Fala różnorodna, niesforna, hałaśliwa. Ludzie cisną się, rozpychają, torują sobie drogę łokciami i pięściami. Słychać łajania, sypią się niezupełnie estetyczne wyrażenia, bo też i publiczność niebardzo wyborowa, większość przyszła tu, jak na bezpłatne widowisko, tak tylko „na gapia“ i ci właśnie najbutniej się rozbijają, wrzeszczą najgłośniej.

Już na schodach i w pierwszym przedsionku, gdzie Tatar mydełka sprzedaje, panuje tłok nieopisany, przez drzwi, do pierwszej sali wiodące, wjeżdża się najczęściej, jak serek wzięty w prasę a zawieszony w powietrzu, jednak w samej sali już odrobinę przestronniej, z trudem wprawdzie, lecz kto ma ostro-kanciaste łokcie, kursować może nawet we wszystkie strony. Panuje tu za to upał szalony i dziegciem pachną buty szanownych panów „gapiów,“ a czasem w twarz otrzymać można całą garść łupin wilgotnych jeszcze ze słonecznika, które ten rodzaj publiki bez przestanku żuje. Z boków sali ciągną się „sklepy“ poprzedzielane od siebie drewnianymi lub tekturowymi zaporami. Wszystkiego tam można dostać, od igieł i nici, szklanek, srebrnych i złotych wyrobów (zupełnie, jak w Luwrze paryskim), aż do dywanów snyrneńskich, lecz jest to *par excellence* królestwo jedwabi i kaukaskich materyałów. Przed magazynami tymi największy tłum nie tylko już widzów, ale i kupujących.

Trzy młodsze Zanieckie skorzystały z niedzieli, by przyjechać tu z Francuzką, niby sobie nabrać czegoś lekkiego na sukienki, a właściwie, aby zabawić się trochę.

Rozpromienione, uśmiechnięte spacerują po sali, co chwila gubią się, szukają, znajdują, rozśmieszzone zapomniaty o celu wycieczki, nie nie pomaga głos *mademoiselle* i jej pełne zgrozy okrzyki: *Mais c'est affreux, marchez donc comme il faut! oh là là quelle foule!*

Czerkiesi krążą koło nich, na wyścigi zapraszają, ukazują swe najprzedniejsze towary, darzą komplementami.

One są zachwycone. Paula sypie złote skry swych złotych oczu, Linka ukazuje dwa prześliczne dołeczki na dziecinnej buzi, nawet Hanka, ta poważna zawsze Hanka, rumieni się lekko, podnosi frendzlę długich rzęs, ukazując nadmiernie rozszerzone źrenice. Nakoniec wpadły w wir wychodzących, wir ten zakreślił niemi i porwał przemocą do drugiej sali. Teraz dopiero zobaczyły, że Francuzka gdzieś znikła.

Są naprawdę przestraszone.

— Co to będzie!—biada Hanka.

— Ot, ślamazara z tej „żyrafy“—indyczy się Paula — głowę daje, że nas nie znajdzie!

— Zamiast ona nas, to my jej musimy pilnować.

— Wracajmy!—radzi Hanka.

— Ciekawam jak, chyba po głowach, bo nie myślę przeciskać się raz jeszcze przez ten tłok.

— Co tu zrobić?

— Dzień dobry paniom.

Przed niemi dwaj studenci, jeden bardzo wysoki i chudy, przewzany „Podbipiętą,“ drugi maleńki, tłuściutki toczy się i dlatego nosi miano „beczki od śledzi.“

— A, panowie tu?—udaje bezczelne zdziwienie Paula, bo już od samego Kreszczatiku widziała, że wloką się za niemi krok w krok.

— Pan taki duży, panie Marcinie—wdzięczy się Linka—pan naszej *mademoiselle* nam poszuka, panu ją łatwo przyjdzie odnaleźć.

— Z przyjemnością—odpowiada chłopak, choć właściwie owa przyjemność trochę problematyczna, lecz posłusznie idzie na poszukiwanie zguby.

Tymczasem Paula zawzięcie flirtuje z „baryłką.“

— Idziemy na *pique-nique* — oznajmia tryumfalnie, zupełnie tak, jakby mówiła: zdobywamy świat cały — wprawdzie tylko na galerję, lecz będziemy tam tańczyć, urządzimy sobie drugi bal, ubawimy się idealnie—zapewnia.—Panowie przyjdą?

— Gdzie panie, tam i my!

— To dobrze! Proszę tylko dużo, dużo kolegów sprowadzić.

— Naprzykład?

— Czy ja wiem! choćby cały uniwersytet.

— Niema co, skromniutkie żądanie. Po co pani tyle tego tałałajstwa?

— Fi, panie, kto tak mówi! Niechno pan przyprowadzi najładniejszych, zobaczy pan, jak mu ślicznie podziękuję—śmieje się dalej dzieweczyna.

Hanka jest niespokojna, *mademoiselle* gotowa, nie znalazłszy nas, wrócić do domu.

— Oto bura będzie od mamy—nachyla się do ucha Lince.

— Idzie, idzie „żyrafa!“ tam z p. Marcinem.

Wszystkie trzy rzucają się ku niej, ale Francuzka jest zła.

— Wracajmy, dosyć mam już tych kontraktów—*on vous boussule, on vous marche sur les pieds sans crier gare! Je n'en peux plus. Là c'est fini.*

— Musimy ugłaskać „żyrafę“—odzywa się cichutko Paula—bo gotowa zawziąć się i wrócić naprawdę. Wiecie co, kupmy jej ten pasek ze skówkami.

Ogólna zgoda.

No i ugłaskana „żyrafa“ siada sobie w małej salce dywanów, dokąd wpuszczają tylko wyborową publiczność, a gdzie, jak wytłómaczyły panienki, będzie jej doskonale, zaś one same ze studentami dalej wszędzie się kręcą.

Na dole gra gramofon i pokazują ostatnich z rodu Azteków, naturalnie, muszą to obejrzeć. Właściwie, nic ciekawego, raz już nawet widziały w tym roku: ludzie z czaszki w tył cofniętej ogromnie podobni do małp, przytem mają po jednym tylko stawie u palców, gramofon zaś bardzo prymitywnej konstrukcyi, jęczy raczej, niż śpiewa, a już trele „Sołowieja“ głos u Baronate są jakimś zgrzytem żelaza po szkłe: lecz cóż to szkodzi, właśnie zabawne, można się uśmiać.

A przytem flirt! jest przecie pan Marcin i Franciszek, grzech nie korzystać ze sposobności.

Lecz obu studentów Paula wyłącznie zagarnia.

— Co za bałamutka—gniewa się Linka.

— Może i ty będziesz taka sama.

— Ja nigdy, jeżeli mi się ktoś podoba, to co innego, ale do byle małpy zęby szczyrzy i oczy przewracać, fi!

Hanka też tego nie lubi, lecz jest względniejszą, ona stara się każdego usprawiedliwić, bo co to komu szkodzi, niech sobie Paula flirtuje, kiedy flirt ją bawi.

A Paula daje sobie wybornie radę z obu chłopakami, każe jednemu nosić swoją sakiewkę, drugiemu żakiet, bo jej za gorąco. Ząbki szczyrzy w lewo, w prawo, przechyla w tył główkę, wybuchając wesołym śmiechem, a w antraktach przepala spojrzeniem uwijających się Czerkiesów.

— Może już dość?—pyta Hanka, której, jak widmo, jawi się niewykończone jeszcze wypracowanie.

— Tyś zawsze *gâte-fête*—oburza się Paula, ale Linka rozgniewana, iż ją za dziecko uważają i ignorują zupełnie, popiera Hankę.

— I my też musimy wracać, zapominasz, że od tygodnia codziennie dla rozmaitych powodów opuszczamy lekcye!

— Eh, co tam!

Jednak rada nierada musi uleść przemocy. Przed gmachem kontraktowym ciągną się długie drewniane budynki półotwarte, sprzedają tam pierniki, ciastka, hałwę, rahatłakum, pastylę i inne tureckie przysmaki. Kto z sali wychodzi nie przejdzie obojętnie

przez chodnik z zabłoconych desek ułożony na trzęsawisku błota, by sobie jakiegoś specyału wschodniego nie zafundować.

Każda z Zanieckich dźwiga po ogromnej paczce z szarego papieru, zdążając do dorożek, zajadają w najlepsze, ale spóźniły się—sobię jednej wolnej już niema, a noc zapada.

Stoją zafrasowane z przeciągniętymi minkami. Hanka niecierpliwi się.

— Mówiłam chodźmy, teraz co będzie? narazimy się tylko na gniew mamy.

— Niech panie wezmą naszego *lichacza*—proponują studenci.

— My *lichaczem*?

— Ech, wielkie co, jest już ciemno, nikt nie zobaczy, doprawdy, proszę się nie namyślać.

— Ależ nie zmieścimy się w cztery.

— I na to jest rada, my z *mademoiselle* zaczekamy na tramwaj.

— Doskonale, jedźmy więc.

— A mama?

— Ciocia nie potrzebuje wiedzieć—zawiadamia Paula—a przeleciemy się, jak wicher, za dziesięć minut będziemy już w domu.

Siadają w piramidkę tak uszczęśliwione, że Paula ze śmiechu gubi zarekawek, który leci w sam środek kałuży.

— Aj! aj!—woła.

Z błota laską swą Marcin wyciąga topielca tak fatalnie wyglądającego, że dziewczynkom aż łyzy ze śmiechu stają w oczach.

— Boże, mój Boże, przepadł mansonik, *horrendum* do czego podobny?—biada właścicielka.

— Panowie, licytacya — woła Marcin, podnosząc w górę i kręcąc nieszczęśliwą ofiarę wesołości.

— Dwa grosze i pół piernika, kto da więcej?

— No, no, proszę oddać, bo nie mamy czasu.

Studenci z poświęceniem wycierają zarekawek własnymi chustkami.

— Przejedźmy się choć raz przez Kreszczatik — proponuje zawsze pomysłowa Paula.

— Bóg wie co! żeby jeszcze kogo znajomego spotkać.

— Prawda, jaka szkoda! Głupi ten Kijów.

Mieszkają na Złotowrockiej.

— *Skoro, skoro!*—woła Linka dorożkarzowi.

Lecą, co koń wyskoczy, wiatr trzepocze piórami u kapeluszy, a przed nimi uciekają pędem światła elektrycznych latarni, drzewa, kamienice i ziemia.

— Cudowna jazda!—zachwyca się Paula.

Hanka nic nie mówi, lecz myśli.

— Jechałabym tak bez końca...

— Wiecie co, nie podjeżdżajmy do domu, bo jeszcze ciocia zobaczy i gotowa awantura—radzi Linka.

Zatrzymują więc dorożkę na rogu i dalej pieszo przechodzą.

— Oho, mama jest, w gabinecie światło się pali.

— Hanka ma stracha—żartuje Paula, ale i ona miną nadrabia, bo ciotki się boi.

— Chodźmy lepiej przez kuchnię cichutko.

— Nie, to gorzej jeszcze, mama pomyśli, że się kryjemy, no, raz, dwa, trzy, odwagi. Dzwonię.

— Siedziałyście długo—mówi pani Zaniecka, nie odrywając się od pisania.

One cichutko, jak myszki, w obawie dalszej indagacji, przesuwają się do Hanki pokoju.

— Pokażcie sprawunki—prosi Oleńka.

Zaczyna się oglądanie. Wzięły wszystkie trzy sarpinki białej w błyszczące blade-niebieskie pasy.

— Bardzo miłutka — mnie Oleńka w rękę i układa w fałdy pod światło.—Hanko, daj swoją Oldze, niech ci uszyje.

— Olga nie skończyła jeszcze twojej halki.

— Cóż ona tak marudzi, niech zresztą rzuci, mnie tymczasem halka nie potrzebna, a ty musisz mieć sukienkę na *pique-nique*.

— Dziękuję ci.

Oleńka jest zadowolona, ma ona bardzo dobre serce i lubi zrobić komuś przyjemność. Ma też szczęście do ludzi, wszyscy przepadają za nią, pieszczą, dogadzają, psują. Matka ją ubóstwia; ona z wdziękiem rządzi całym domem, siostrę uważa za dziecko, nieraz prawi jej morały, gdera, ale nie umie długo się gniewać, to przeciwne jej dobrej, choć prędkiej naturze. Hanka jest bardziej skrytą, przywykła od małości być na uboczu, rzadko dzieli się swymi myślami, dzika trochę, czasem robi wrażenie upartej.

— Niczem nie można ugłaskać tej dziewczyny, drewno—skarży się pani Zaniecka, ale nie zna córki, ona właśnie czuje bardzo głęboko, tylko nie umie tego okazać, zresztą pieszczot nie znosi, nie przywykła do nich, wszelkie sceny czułości patryarchalnych nużą ją niewymownie.

Kuzynki swe bardzo kocha.

Paula, to pustak, lecz dobra dziewczyna; Linka? kto wie, co z niej jeszcze wyrośnie? niby marzy o pielęgnowaniu chorej ludz-

kości. „Siostrą miłosierdzia zostanę, zobaczycie“—powtarza, tymczasem cieszy się szczerze perspektywą blizkiej zabawy.

*

*

*

— Jutro *pique-nique*—duma Hanka wsunięta w róg kanapki—jutro już!

Otwiera się przed nią świat nieznany jeszcze, zaczarowany sezam, dotąd zamknięty szczelnie, a zasłyszany jedynie z opowiadań Oleńki, opowiadań pełnych uniesień, zachwyty; i teraz zda się jej, że widzi go w blasku, gwarze, w dźwiękach orkiestry. Grupują się rozproszone obrazy, skrzydlate, tęczowe mary, snują się tony słodkiej melodyi.

Śni...

Młodości cudne sny!

O liliach białych,

Zorzach świetlanych,

Czarach kryształowych uczuć świętych.

Ofiarach całopalenia...

Oleńka siada do fortepianu, zaczyna jakąś kołysankę. Pod delikatnej ręki uderzeniem leci rzewność nieskończona, zawodzi, skarży się, płacze, pieśń nad pieśnię, cud-baśń i roztapia się w precudnem *pianissimo*.

Cisza.

Hanka, jak ze snu zbudzona, otwiera swe morskie oczy.

— Graj jeszcze—prosi.

Więc Oleńka gra huczną fantazyę południową. Słysząc niby pędzące naoslep chmury, piorunami grzmiące, widać gnące się drzewa wśród burzy, łamanie gałęzi, stada lecących ptaków, a potem niby morze szalejące bezcelowo w swych brzegach i znów jakieś pole samotne, na którym jeno trawy szumią głucho i monotennie.

Nagle dzwonek! jak uosobienie huraganu wpada Paula.

— Haneczko—woła już od progu, nie witając się z nikim—chodź, przynieśli mi białą sukienkę, mówię ci fiasko kompletne, spódnica fatalna, marszczy się cała, nie szyku, musisz zobaczyć, może coś poradzisz. O, mój Boże, cóż za nieszczęście—i Paula gotowa już płakać.

Hanka ubiera się co tchu i obie lecą do Pauli. Linka i Paula mieszkają niedaleko, na tej samej ulicy, na pierwszym piętrze zajmują wspaniały apartament. Matka ich niedawno po raz drugi wyszła za mąż za bardzo bogatego przemysłowca, na co cała rodzina niechętnie patrzyła.

Lecz stało się! Może i lepiej...

We drzwiach dziewczynki spotykają najstarszą z Zanieckich, Romę, rówieśnicę Oleńki. Ubrana w długą czarną spódnicę, lutrowe figarko i takiż o czarnych piórach kapelusz, wysoka z marmurowo rzeźbioną twarzą i głową wysoko podniesioną robi wrażenie żałobnego posągu o niezwykle subtelnym liniach.

— Jakaś ty piękna!—podziwia Hanka z zachwytem.

Na usta Romy wybiega uśmiech zadowolenia ledwo dostrzegalny i znowu lodowy spokój jej regularne rysy powleka.

— Cicha powierzchnia głębin—duma Hanka, gdy ona wolno schodzi po schodach i jeszcze ogląda się za nią, aż dopóki na skrócie nie niknie.

— Chodźże prędzej, szwaczka czeka—niecierpliwi się Paula—nigdyś Romy nie widziała! Chodźże!

Zaczyna się mierzenie, dysertacja długa o strojach. Paula ogląda się w potrójnym lustrze od stóp do głów.

— Nie, ta suknia fatalna, nic już z niej nie będzie, wolę nie iść na *pique-nique*—mówi zniechęcona.

— Grymasisz, wcale tak źle nie jest—tłómaczy Linka.

— Nie pójdę, nie chcę wyglądać, jak czupiradło, idźcie same—ma łzy w głosie.

Hance robi się żal kuzynki, klęka obok szwaczki na ziemi, obciąża spódnicę, podcina, wstaje, odchodzi, przygląda się, nakoniec wygłasza stanowczo:

— Zobaczysz, że będzie bardzo dobrze.

— Powiedz prawdę.

— Ależ seryo, przy szyi jeszcze trochę goło, wiesz, poproszę Oleńki, by ci pożyczyła gipiurowy kołnierz, zaraz on całą suknię ubierze.

Paula dziękuje uśmiechnięta. Zatrzymują Hankę na cały wieczór, są, jak zwykle, same, rodzice wiecznie poza domem, ojczym w klubie, matka z Romą z wizytami jeżdżą, do teatru, na koncerta, one robią, co im się podoba. Teraz wszystkie trzy siedzą wciśnięte w głąb otomany i gwarzą wesoło o przyszłej zabawie.

— Pomyśl, już jutro!—cieszy się Paula.

— Która będzie królową?—usiłuje zgadnąć Lineczka.

- Pewno Roma!
- Oleńka w balowej sukni śliczna, Roma bez życia—mumia!
- A może Rena?
- Zobaczymy jutro—już jutro.

*

*

*

Sala gmachu kupieckiego oświetlona *à giorno*, ubrana zielenią. Od góry galeryi wiszą wieńce, wśród kolumn przebiegają festony, posadzka się szkli, dwie orkiestry stroją swe instrumenta. Jeszcze pusto, kilka pań tylko, gospodyń, z bukietami zbiło się około drzwi gabinetu, jak cudne kwiaty na tle palm i fikusów. Galerya zato już zapełniona, kto nie tańczy, ten idzie choć spojrzeć na bal polski z góry. Zanieckie od kwadransa przybyły, zajęły najlepsze miejsca wprost głównych drzwi. One są zawsze uprzywilejowane, choć nie tańczą, dostały „na pamiątkę“ od studentów-gospodarzy najładniejsze karneciki ze złotemi żetonami, z wrytem na nich imieniem i datą *pique-nique*’u. Rój młodzieży je otacza. Paula ma minkę zasmuconą.

— Mama nam nie pozwoliła tańczyć—skarży się.

— Ależ to barbarzyństwo — oburza się studencik Zaremba cieniutkim kogucim głosem.

— Ach, naturalnie, okropność, właśnie taką miałyśmy ochotę.

— To być nie może, zbuntujemy panie, nie damy tyranizować—zapewnia Marcin „Podbipięta.“

— Kiedy podobno nie wypada na galeryi tańczyć?

— Głupstwo, kto teraz na takie drobnostki uważa!

— Ach! tak, tak!

Tymczasem do sali wchodzi pary; powiewne, blade sukienki panienek falują, marszczą się za każdym poruszeniem, jak wody powierzchnia, na głowach mężatek drżą rajskie piórka w gazowych *choux*, gospodarze z czerwonymi znaczkami co chwila przebiegają przez salę. Unosi się mocny zapach pudru i perfum. Muzyka zaczyna walc Louis XV.

Kilka par już wiruje. Prędkiej, prędkiej, łączą się tony światła, barwy, powiewy koronek, wachlarzy, krąży wokoło wszystko aż do zawrotu głowy, do zatracenia prawie świadomości. Osób ciągle przybywa.

Ani Oleńki, ani Romy jeszcze niema.

Okolo północy, przez głównego gospodarza prowadzona, wchodzi Rena. W czarnej aksaminowej sukni, pokryta kaskadą brylantów, łuską węża migoczą jej dżety. W sali szmer.

— Zaniecka, Zaniecka.

— Jaka ona piękna, ach, jaka piękna!

— Usmarowana — poddaje któraś z licznych pań, siedzących rzędem pod filarami.

Lecz panowie nie dbają o to, cisną się do Reny, zebrząc o taniec, ona z czarownym uśmiechem podaje karnecik.

— I ja taką będę—myśli Paula.

Prawie jednocześnie przybywają Oleńka z matką i Roma z rodzicami. Rząd studentów czekał już na nie przy wejściu. Jak iskra elektryczna przebiegają wśród młodzieży słowa:

— Już są!

Między szpalerem mundurów idą obie.

Roma kroczy dumnie, unosząc swą królewską głowę, najwyższa między wysokimi, w błyszczącej blado-zielonej sukni, srebrem oszytej, a greckie otwarte rękawy, równo ścięte u dołu, ziemi sięgają.

Oleńka cała biała, gaza i koronki, koronki i gaza, tylko włosy za delikatne prawie, za cienkie złocą się w świetle i oczy jej szare poza długimi rzęsami się żarzą. Piękność i wdzięk.

Muzyka gra *La Gitana*.

Do Oleńki podchodzi baron Artur Groger, student z czwartego kursu, „filozof“, niewielki, zręczny, a w jego cygańskich oczach, gdy na nią patrzy, kryje się bezbrzeżne uczucie, dławiąca siła niezwykła.

— Nie mogłem się pani doczekać—szepcze cichutko.

Oleńka z zajęciem coś poprawia przy wachlarzu i zda się, nie słyszy.

— O là là, jaki nieznośny!—gniewa się w duchu rozdrażniona—czego ten znów mię przesładuje.

Tańczą.

Oleńka z zajęciem rozgląda się po sali.

— Gdzie to pan Waclaw?

— Wyjechał dziś rano.

— A! Dlaczego?

— Wezwano go telegraficznie.

— Mógł po balu jechać—myśli Oleńka. Wiadomość ta przykrość jej sprawia. Waclaw jest to jej flirt najulubieńszy, sezonowy, nieodłączny cień, ładny chłopiec i ogromnie wesół. Włóczy

się za nią na wszystkie fixy, rauty, nawet wyszedzi zawsze jej obecność w teatrze i zjawia się ku utrapieniu Artura, zdecydowanego już konkurenta.

Niedalej, jak wczoraj, na klęczkach prawie prosił ją o kotyliona i ona byłaby się zgodziła, gdyby nie perswazyła matki, iż taniec ten Grogerowi już obiecała i musi słowa dotrzymać. Może obraził się na nią, zazdrosny o Artura? Pewno — i dlatego nie chciał być na *pique-nique'u*. Tak! tak! Tu Oleńce serce mocniej bije, nie kocha go, bo już zajęta młodym studentem Saszą, lecz miłość jej własna mile polectana tem przypuszczeniem.

— Jeszcze jeden! — uśmiecha się i różowa łuna zadowolenia delikatnie barwi policzki.

Roma i w tańcu zachowuje olimpijską powagę. Z Bożej łaski królowa piękna.

Na ustach panów zamierają banalne komplementa. Ona wodzi oczyma po tłumie.

— Patrzcie i podziwiajcie — mówi każdym ruchem — bijecie mi pokłony, lecz tam, w dole, u stóp moich z pokorą, boście wszyscy słudzy moi i niewolnicy.

Hanka, jak zawsze, nią się zachwyca, Paula wydyma pogardliwie usta.

— Marmur! wolę Oleńkę.

Jest to głos ogółu.

Oleńka królową! Oleńka królową!

Czują to wszyscy.

Matka Romy, pani Kuderyn, której Paula jest żywym portretem, siedzi na czerwonej aksamitnej kanapie i gryzie z bezsilnej złości róg koronkowej chusteczki. Wygląda bardzo młodo i jest stanowczo piękniejszą jeszcze od córek, twarz ma drobną, przepyszne oczy, włosy ciemne aż w granat wpadają, a na niskiem gładkiem czole, jak czarne skrzydła jaskółki, biegną cieniutkie sznurki brwi, usta drobne, dziecinne prawie, gdyby nie górna warga trochę wydatna, ciemnym puchem pokryta, co całej twarzy nadaje wyraz ostry trochę. Kuderynowa dużo widziała, dużo przeszła, lecz starała się zawsze z życia brać jedynie to, co jej przyjemność sprawiało. Bawiła się, śmiała, kochała...

Dzieci nudziły ją, trzymała je zdala od siebie i dopiero przed kilku laty, widząc piękność Romy, przez dumę zaczęła się nią zajmować. „Niedługo ja złożę berło, niech ona je podniesie“ — myślała, ale Roma za dumną była, zanadto ufna w swoją potęgę, nie chciała po nie się schylić, uważała, iż ono samo w jej ręce wejść powinno — i doczekała się, że tam, gdzie jest *ona*, Oleńkę

królową uznano. Kuderynowej wściekłość mowę tamuje. Przy niej kilku poważnych panów: komandor Kisielewski, szambelan Machnicki, hrabia Rerurk, śmietanka towarzystwa ukraińskiego, trochę z boku o filar oparty Groger ściga wzrokiem jasną postać Oleńki. Piękna pani zagryza usta.

— *Dites-donc monsieur*, do czego podobne, by sobie tak włosy ufarbować?

— Jakto?

— Czy pan nie widzi? dziś już zupełnie ruda, *vraiment*, nie jej się nawet dziwię, tylko matce!

— O ile mi się zdaje, panna Aleksandra zawsze złote miała?

— *Vous êtes trop bon cher baron*, te żółte kosmyki złotem nazywać, wyborne! Przykro mi otwierać panu oczy, być zmuszoną o siostrzenicy tak mówić, lecz mi pana żal, wpadł pan w ręce kokietki bez serca, fałszywej, obłudnej, tam niema nic szczerego, kłamstwo na każdym kroku, zwodzi was ciągle, oszukuje, gdzie może, a wy hymny pochwalne na jej cześć śpiewacie. O, męska łatwowierności!

— *Laissez-maman* — chłodno przerywa Roma, i ona ma żal do kuzynki, iż wydarła berło jej przynależne, ale gardzi takimi środkami zemsty. Ona nieznałaby litości, zdruzgotałaby jednym zamachem wroga, na konającym postawiłaby bez wahania nogę, by go minąć, lecz brzydzi się takim drobnym pastwieniem się, jak kłócie raz po razie maleńkimi szpileczkami złośliwości i to za plecami nieprzyjaciela.

Artur nie wierzy słowom Kuderynowej, lecz, jak zwykle bywa, oszczerstwo zostawia po sobie lekki pyłek zwątpienia.

— Kto wie, może ta jej pozorna szczerłość udana? — myśli smutnie. — Właściwie, czego ja chcę? — reflektuje się — przecie nie mam prawa nic od niej wymagać, zawsze okazywała mi li tylko przyjaźń, czy to jej wina, że ja więcej żądam? A może ona kocha już kogo? — krąży mu po głowie, gdy patrzy w jej rozmarzone i jakby zdala powracające oczy.

Smutek, jak cień, na duszę mu się kładzie, drażni go nieznośnie, przepaja go... skarży się... Artur wysuwa się z sali, niespokojnie błądzi po korytarzach i nakoniec dostaje się na galerję.

Paula tańczy walca z rąk do rąk przechodząc, zapomniała o zakazie matki, jedną tylko ma chęć obecnie — bawić się. Linka w rozpuszczonych kędziarach siedzi przechylona przez poręcz baryery, oczyma rozmawia z wysokim uczniem z przeciwka. On w dłoniach przepiękną żółtą różę trzyma.

Hanka słucha orkiestry, patrzy na pary tańczące, co pływają w świetle blasków, w dźwiękach i woni, na jasne sukienki pańienek, siedzących pod ścianą, nie widzi Artura, który przed nią stanął.

— O czym czy o kim? panno Hanko.

Ona podnosi na niego błyszczące źrenice, lubi go, zna oddawna i spostrzega dziś głęboką brózdę smutku pomiędzy brwiami.

— Bawią się tam—pokazuje salę—jednak czasami mam wrażenie, iż tylko jedna połowa ich duszy, ta wierzchnia, się bawi, gdzieś czytałam, że poza nią każdy nosi w sobie jakąś mniej lub więcej głęboką bliźnę po jakiejś mniej lub więcej interesującej w boju życia otrzymanej ranie, bliźnę, o której się nie mówi i uśmiechem się pokrywa, lecz którą się pamięta...

Artur o filar oparty nie przerywa, a Hanka, jakby do siebie, dalej mówi:

— Staram się śledzić i duchowa fizyognomia człowieka wydaje mi się tak ruchliwą, jak odbicie naszej własnej postaci w wodzie, poruszanej przez wiatr, gdy słońce złotymi plamy przyświeca. I czuję, że widzimy tylko powierzchnię, i żal mi, że nie umiemy patrzeć, że nie danem jest nam wniknąć w głąb każdej duszy ludzkiej, rozodrzeć się na milion atomów i każdym atomem wyczuwać najskrytsze jej tajniki?

— Dlaczego?

— Czy dojdziemy kiedy?—pyta z goryczą.

— Skąd pani to przyszło?

A Hanka żałuje już swej szczerości, cofa się, chciałaby sobie słowa swoje znowu w gardło wtłoczyć.

— Doskonały temat podczas balu—szydzi.

— Kobieca wrażliwość—mruży Artur i patrzy z góry na tłum u nóg swoich.—Wszystko to manekiny, którym się ani śnią myśli pani, szkoda uczuć. Miernota, tylko miernota.

Przesuwa nerwowo ręką po czole i znowu zapada w smętną zadumę.

— Co panu?

On milczy, tylko podnosi głowę i czarne swe źrenice zatapia w morskich oczach dziewczyny.

— Panno Hanko, pani mi szczerze odpowie?

— Zobaczę, to będzie zależało od pytania.

— Bawimy się frazeologią, a ja chciałbym wiedzieć... to jest pragnęłbym...—trudno mu wypowiedzieć widocznie—jak pani myśli, czy panna Oleńka kocha kogo? — kończy jednym tchem,

patrząc na piórko którejś z pań, jakby to tylko całą jego uwagę pochłaniało.

— Wątpię.

— Seryo?

— Najzupełniej.

— Niech pani spojrzy, jak zabawnie ta kitka drga. A Wa-
cława Garbowicza?

— Ech, nie, to tylko taki maleńki flircik.

— Aha! flircik!

Uderza go raptem fala radości, przypływ niezrozumiałej chęci wypowiedzenia swych uczuć.

— Dziękuję pani, sam nie śmiałem o nic pytać; niech pani pomyśli, co by było ze mną, gdyby mi „tak“ odpowiedziano. Nie, nie, lepiej stokroć choć nadzieją się łudzić—głos mu drży.

— Biedny pan Artur.

Hanka delikatnie kładzie paluszki swe na rękę jego.

— Pani jest dobra, ogromnie dobra — mówi student, chyląc głowę i całując końce podługnych paznokietków.

Słowa te brzmią w jej uszach, jak muzyka czarowna, zadowolenie ogromne wypełnia jej serce.

— Dobra? nie wiem, lecz chciałabym nią być—szepcze.

Muzyka cichnie. Przez podwyższenie przedziera się uczeń z żółtą różą. Przechodzi kilka razy, jakby wahając się, obok Zanieckich. Linka odwróciła się teraz od balustrady, oparta o nią, śledzi każdy ruch chłopca. On, jak zahypnotyzowany siłą spojrzenia, podnosi kwiat do ust swych, a potem szybkim rzutem ciska go do nóg jej, zawraca i ginie za filarami.

Linka chwilę stoi bezradna, przed nią na brudnej podłodze galeryi leży róża w pół rozwinięta, mocny zapach herbaty bije w górę, Linka wstrząsa kędziorami, nachyla się i kwiat do sukni przypina. Siada napowrót. Uczeń już wrócił na miejsce swoje i płynie ku niej od niego dziękczynne wejrzenie, zachwytu pełne.

Paula się bawi. Z wdziękiem przechyla główkę, kokietując trzech odrazu adoratorów.

— Powiedzcie mi coś miłego — uderza lekko wachlarzem po rękawie Kazia Lisockiego, ślicznego chłopca, zapatrzonego w profil Hanki, co ją drażni nieznośnie.

— Mało pani słodkich słówek prawią kolega Zaremba, kolega Podbipięta *et compagnie*?

— Zazdrosny jest—myśli dziewczyna i jak foksteryerka zaczyna się łaścić, wysuwając różowy buziak i sypiąc magnetyczne

skry złotawych swych oczu, aż oczarowany całkiem Kazik nachyliła się trochę do ucha jej i przyciszonym głosem zapewnia:

— Pani jest sama miła, śliczna i taka kochana.

Ona nie odpowiada. Student bierze z rąk jej wachlarz, przytem nieznacznie ściska jej paluszki.

— Cha! cha! cha! jaki pan zabawny!

Zmieszany Kazio cofa się i urazę swą topi w rozmowie z Hanką. A Hanka jest trochę rozczarowana. Bal piękny, nie można zaprzeczyć, ale ona w swych marzeniach inny świat jeszcze widziała. Czarowny świat z bajki, gdzie niema ani jednego półtonu fałszywego, ani jednego ruchu nieestetycznego, ani jednej twarzy nie przykuwającej swem pięknem spojrzenia, gdzie rząd kolumn marmurowych stoi cicho i poważnie, gdzie rysują się wszechpiękna posągi, a posadzkę kwieciami powódź zalewa, gdzie muzykę słyhać jeno z oddali, taką powiewną, taką rajską i cudną.

— Chciałabym tańczyć—wzdycha, bo czuje, iż taniec upoiłby ją i przenieść mógłby w tę dziwów krainę wysnioną.

— Służę pani—skwapliwie podejmuje Kazio.

— Nie, nie wolno!

Studenci otaczają ją kołem, próbują namawiać, daremne jednak wszystkie ich wysiłki, Hanka matce obiecała, słowa nie zapomni.

— Ależ pani stanoweza!

— Złudzenie! żeby oni wiedzieli—myśli—jak wewnątrz chwiejną jestem, jak bardzo chwiejną.

Podczas kotyliona góra kwiatów wjeżdża na galeryę.

— Ozdoby ozdobom balu naszego—wołają studenci, rozdając najładniejsze bukietki Zanieckim.

Lwią część otrzymuje Paula, nie stara się nawet ukryć uczucia tryumfu, z pobłażliwą litością przygląda się wszystkim innym dziewczętom, które ledwo po kilka kwiatków w rękę trzymają. Hanka sama wybrała sobie pęk maleńkich białych, pnących mezańskich różyczek.

— Ogromnie lubię ich zapach—tłómaczy Kaziowi, gdy ten ofiarowuje się wspanialszych jej dostarczyć.

Około ósmej gasną światła elektryczne, przez okna wdziera się błądy świt i sinym, zimnym blaskiem oświeca salę oraz zmęczone twarze niezlicznego już grona tancerzy. Przy blasku dziennym występują smutno nieświeże, zmięte tualety pań, powiędłe kwiaty u gorsów, posadzka, usłana kawałkami brudnej gazy i koronki, stratowaniami płatkami kwiatów... ogólne zniszczenie.

— Jedźmy już—nagli Hanka, którą razi ten obraz.

Prowadzone przez zastęp młodzieży, schodzą na dół, ubierają się z pośpiechem i w szary ranek po przez budzące się już ze snu miasto wracają do domu.

*

*

*

Dobrze już po południu budzi się Oleńka. Upojona świeżym tryumfem z zamkniętymi oczyma wywołuje wizję całej nocy ubiegłej, rój spojrzeń, uwielbienia, potok słów pięknych, a zawrotnych, głos jakiś miły, nie pomni już czyj, szepcze jej, jak w walcu owym: „Ty maju, ty raj, ty wiosno!“ Dziewczyna uśmiecha się, przeciąga leniwie i woła Hankę. Parzy ją chęć wylania swych wrażeń życzliwym uszom.

Hanka jawi się z potarganym jeszcze warkoczem, w czerwonym, niezapiętym nawet szlafroku, w rannych pantoflach na bosych stopach. Ziewa przeciągle i siada na brzegu łóżka Oleńki. Przez całą godzinę słucha opowiadań o Antkach, Franiach, Stasiach i nieprzebranej litanii innych jeszcze imion męskich. Nadchodzi pani Zaniecka również w stroju trochę, a nawet bardzo zaniedbanym, rozmowa zwraca się na ogólniejsze tory.

— Uważałyście, Stefania z Romą wyjechały zaraz po koty-lionie, były obie wściekle.

— Sliczną suknię miała Roma—zachwyca się Hanka.

— Nie powiem, spódnica zaciśnięta, te rękawy niewiedzieć co, uczesana przytem fatalnie—krzywi się pani Zaniecka—a głowę zadziera, jakby nas, zwykłych śmiertelników, nie spostrzegą.

— To tylko pozory, mamusiu.

— Nie broń, Haneczko, mama ma słuszość, wczoraj nie raczyła wcale podejść do mnie. A ciocia Stefa i głową nie kiwnęła na przywitanie.

— Strasznie zazdrosne o ciebie, nie mogą darować, że masz więcej powodzenia—uśmiecha się matka.

— Jednak pamiętasz, Oleńko, dawniej zawsze Roma cię ubierała, czesała, gdyście razem szły na jaki wieczorek, a jak się starała, by ci było do twarzy—usiłuje przypomnieć Hanka.

— Zmieniła się od tego czasu—mówi smutno Oleńka.

Hanka ma ochotę zaprotestować, lecz boi się wszczynać kłótni, ona tak nie lubi żadnych sporów, a pani Zaniecka dalej ciągnie:

— A jak one łapią Artura, aż wstręt mię bierze, tylko uważałam, iż on nie taki głupi, by się dał wziąć na plewy...

— Ech—rusza ramionami Oleńka—to mi obojętne.

— Moje dziecko, taki porządny człowiek, taki przywiązany do ciebie, grzech tak go traktować, jak ty czynisz.

— Ależ ja go nie kocham, nie chcę, dokuczyciło mi słuchać o nim bez przestanku, niech go mama wybije sobie z głowy, bo za niego nie pójdę—rzuca się Oleńka.

— Dziecinko, zastanów się, na co ty czekasz? Czy nie widzisz, jakąbyś mi radość sprawiła, spełniłabyś jedyne moje marzenie!

— Tyle razy prosiłam nie męczyć mnie—jęczy Oleńka—po co mama przyszła psuć mi miłe wczorajsze wspomnienia, niech mama da mi święty pokój—naciąga kołdrę na głowę i zanosi się płaczem.

— Oleńko, *chérie*, uspokój się, przecież cię gwałtem nikt do ołtarza nie ciągnie, pomyśl jeszcze, nie nie nagli, rozważ, ale wierz mi, jam stara, doświadczona, przez życie przeszłam, nie jedno widziałam, śmiało rzec mogę wszystko głupstwo, dziecinko, jedne przywiązanie coś znaczy, ty masz łatwą naturę, przywiążesz się prędko, a on zacny, poczciwy, serce matki to czuje...

— Niech mama idzie, niech mi mama nie dokucza—łka rozdrażniona dziewczyna.

Pani Zaniecka sama przeciera oczy i wychodzi posłusznie z pokoju, a Hanka stara się uspokoić siostrę. Gładzi jej włosy, mówi do niej, jak do małego rozkapryszonego dziecka, gdzie tylko widzi cierpienie, tam unie znaleźć łagodną pieśczętę i wkrótce Oleńka cichnie, chwilami tylko przebiega przez nią jeszcze dreszcz z krótkim nerwowym spazmem. Hanka przynosi jej szklanek zimnej wody, zmusza ją do wypicia.

— No, dobrze, już dobrze, wstawaj leniuszku.

Oleńka każe sobie podać lustro.

— *Mon Dieu*, jak ja wyglądam—rozpacza—oczy napuchnięte i czerwone, jak u królika, Rena o czwartej miała po mnie zajechać.

Znowu ma ochotę zapłakać, lecz Hanka czuwa, podaje waleryanę, jakieś krople do oczu jej wpuszcza, przemywa herbatą powieki i nakoniec Oleńka decyduje się ubierać.

Na ostatni tydzień kontraktów przyjeżdża brat HANKI i Oleńki, Witek. Opalony jak cygan, obrośnięty, nie ostrzyżony. Przywozi szczery zapas wesołości, podmuch wichru ze stepów, no i pełną sakiewkę grosza z buraków wyciśniętego, a którego przeznaczeniem iść w ruch na rozmaite rzeczy kijowskiej atmosfery. Z jego przybyciem ożywia się jeszcze dom pani Zanieckiej, Paula i Linka wyprosiły się znowu od lekcyj, od samego już rana przychodzą do ciotki, co chwila jawi się który z eks-kolegów Witka, urządzają się wspólne spacerowanie tramwajem aż do Wrót Mikołaja, wspólne ślizgawki bez tej „nudnej żyrafy.“ Dziewczynki bardzo by chciały choć raz pojechać na *tire-aux-pigeons*, lecz pani Zaniecka ani słuchać o tem nie chce.

— Cóż to mama moją opiekę za nic uważa—oburza się Witek.

— Mój drogi, ty mnie będziesz uczył, co wypada! Nie pozwalam i nie nudźcie mnie więcej.

Idzie do swego pokoju. Panienki buntują się.

— Oleńce wszystko wolno! nam najmniejszej nie chcą zrobić przyjemności—narzeka Paula.

— Możemy tak urządzić, że mama nic wiedzieć nie będzie—proponuje Witek.

— No?

— Każemy powozom czekać na rogu z tajemniczo spuszczo-nemi budami, my już tam będziemy, a wy sobie spokojnie wyjdziecie, niby na spacer i dobra nasza!

— Brawo! Witek! — klaszcze w ręce Linka. — Więc marsz, chłopcy po konie!

Hanka ma pewne skrupuły.

— I, nie bądź głupia, co tu złęgo?—tłómaczy Paula.

— Jednakże jabym wolała raz jeszcze mamy poprosić.

— Niepozwoili i co?

— A jak się dowie?

— Już będzie po mszy i po kazaniu, głowy ci nie urwie.

— Tak, ale zawsze...

— Nie dziwacz się! Chodźmy!

Ubierają się gorączkowo.

— A proszę zachowywać się porządnie—upomina jeszcze pani Zaniecka, zajęta pisaniem przy biurku.

— Ależ naturalnie, ciciu!

Biegną na Włodzimierską. Chłopców ani śladu.

— Marudy—irytuje się Paula.—Może nie znajdą powozów—niepokoi się.

Nakoniec jada.

— Hurra!—wydają stłumiony okrzyk. Towarzystwo się dzieli. Hanka i Paula nierozłącznie siadają z Kaziem Lisockim, a Lince dostaje się Witek i Marcin.

Na zakręcie ulicy ukazuje się Kuderynowa z Romą. Paula już je zobaczyła.

— Zawracajmy, mama!

— Stój!—woła Hanka przerażona, obie wyskakują i spiesźnie wpadają do bramy naprzeciw, zostawiając Kazia zdetonowanego niespodzianym wypadkiem.

— Jak myślisz, mama nas widziała?

— Skąd ja mogę wiedzieć, albo widziała, albo niewidziała.

— No, naturalnie! wiesz, mama to jeszcze nie, ale Roma!

— Bo czego jechałyśmy!

— Hanko, jakie my głupie—zastanawia się raptem Paula.

— Nie nowina—burczy Hanka w fatalnym humorze.

— Przecie, gdyby nam ciocia była pozwoliła?

— Cały sęk, że jest przeciwnie!

— Prawda, niema co, głupio się stało.

— Panienki, chodźcie—zjawia się Kazio z tajemniczą miną—niebezpieczeństwo minęło.

Otaczają go.

— No, co, jak?

— Panna Karolina przejechała tuż obok tych pań. Witek udawał, że coś w budzie poprawia i nic widać nie było, nawet nie spojrzały, teraz i na nas już czas.

— Wracajmy lepiej do domu—radzi Hanka.

— Dlaczego? już nas chyba nie więcej nie spotka? Spieszmy tylko, bo tamci czekać mają przy wejściu.

Paula się decyduje. Hanka głową trzęsie.

— Dosyć miałam strachu.

— Haneczko złociutka!

— Stanowczo nie.

— Chcesz mnie pozbawić takiej przyjemności—skarży się Paula żałośnie—przecie wiesz, że bez ciebie nie pojedę. Moja jedyna, zrób to dla mnie.

Hanka chciałaby kuzynce dogodzić, namyśla się, waha, nakoniec ustępuje.

— Ot, jaka moja stanowczość, źle robię—zdaje sobie sprawę, wie doskonale, iż gdyby tylko o zabawę dla niej samej chodziło, wyrzekłaby się jej z pewnością, ale Paula...

A Paula tak się cieszy, tak śmieje się wesolo, że powoli i ona otrząsa swe rozdrażnienie.

— No, teraz daj Boże, by szczęśliwie ekskursya nasza zaginęła w ciemnościach niepamięci—mówi Kaziowi. Kiedy wracając przechodzą przez Kreszczatik, spotykają Renę.

— Dobra nasza, widzi pani, wszystko furda w porównaniu z wiecznością; dla publiczności byliśmy sobie na niewinnym spacerku od Ratusza do straganów Bessarabki i z powrotem, czego oczywistym świadkiem pani Irena Zaniecka. Niech się znajdzie człek dość kłamliwy, by mi zaprzeczył—śmieje się Kazio.

Młodzież odprowadza panienki do domu i uważa za stosowne się żegnać.

— Dajcie pokój, zostańcie, poślę po Franka, zagramy jaką partyjkę—prosi Witek.

Zielony stolik, a bardziej jeszcze perspektywa spędzenia wieczoru w towarzystwie ładnych panien, zatrzymuje studentów. Naturalnie Paula i Linka również zostają, tymczasem nieznosny Witek zaciąga chłopców do swego pokoju, każe przynieść wina i drzwi zamyka.

Panienki sarkają niezadowolone.

— Egoista—oburza się Paula.

— Co zrobić, by ich stamtąd wydostać?

— Oni napewno woleliby nasze towarzystwo! Ach, ten Witek!

— Poczekajmy na Oleńkę—radzi Hanka—ona potrafi wziąć się do dzieła.

Lecz Oleńka wraca w złym humorze ze spaceru. Artur przyczepił się do nich i pani Zaniecka zaprosiła go na wieczór cały. *Quelle scie!*

— Chyba mama sama będzie go bawić—mruczy niechętnie dziewczyna—bom ja zmęczona i zaraz spać się kładę.

Jakoż zamierza wykonać pogrózkę, zaczyna się rozbierać.

— Oleńko *chérie de quoi cela à l'air*, wyjdźże proszę do salonu, co on sobie pomyśli?

— Niech myśli, co chce, obojętne mi—wzrusza Oleńka ramionami.

— Ciszej na miłość boską, tam wszystko słyhać—reflektuje matka.—Haneczko, namów ją—prosi zrozpaczona uporem ukochanej córki.

Hanki perswazye nic nie pomagają, dziewczyna zacięła się w swym oporze i położyła.

Pani Zaniecka usiłuje wytłómaczyć jej nieobecność Arturowi.

— Okropną ma migrenę, bardzo żałuje, przeprasza, takby rada...—jąka się.

Student spuszcza głowę.

— Co to jest? czy to prawda? Zapytam szczerze! Tak najlepiej!... Lecz co? jeśli... nie, lepiej się łudzić—i o nic nie pyta. Siedzi, jak na torturach, przez godzin kilka, myśląc w kółko o jednym, ale woli prawdy nie wiedzieć, jeśli ta prawda ma być nie taką, jak onby pragnął, odpycha od siebie wszelkie męczące przypuszczenia i śmieje się nerwowo, gdy raczej załkać miałby ochotę. Bawi matkę Oleńki, również nieswoją i zasmuconą. Chwilami w rozmowie przerwa i wtedy oboje gorączkowo szukają dalszego tematu, byle tylko nie pamiętać trapiących swych myśli.

Hanka nie odstępuje Oleńki. Ta jej się skarży.

— Mama gwałtem chce mnie za mąż wydać, używa do namowy wszystkich sposobów, dziś otrzymałam list od dziadków, bym nie odrzucała takiej partyi, lecz ja nie mogę... nie chcę... nigdy nie pójdę za niego...

— Dlaczego, Oleńko? on ciebie tak kocha, a to wielkie szczęście mieć takie serce wierne, oddane. Czy ci nie żal męczyć go tak bardzo! tyś przecie dobra... Zobaczysz, przywiążesz się do niego.

Jak papużka powtarza słowa matki, ale bez przekonania. Oleńka odczuwa to.

— Zostawcie mnie, chcę jeszcze użyć trochę swobody, dla czego pragniecie wszyscy wtłoczyć mnie w ramy obowiązków, kłopotów i niewoli. Dajcie mi jeszcze choć lat kilka, chcę się wybawić, wyszumieć i potem już sama podniosę okowy, dobrowolnie je sobie nałożę. Lecz nie teraz...

Z salonu dochodzi łoskot odsuwanych krzesel, widocznie Artur się żegna.

Oleńka się boi, wie, że matka za chwilę tu wejdzie, opowiadać jej będzie o Grogerze, a ona tak rozdrażniona, iż nie potrafi spokojnie wysłuchać.

— Haneczko, zamknij drzwi na klucz, powiedz, że śpię, nie chcę dziś widzieć nikogo, nikogo—szepcze z rozpaczliwym oporem. Hanka posłusznie spełnia życzenie.

*

*

*

Marzec i kwiecień!—brzydko, dżdżysto. Kijów tonie w błocie, ruch się zmniejsza, kontraktowicze znikają uwożąc do domu w kieszeniach wypróżnione portmonetki, a w sercu wiązkę świe-

zych wrażeń, więzkę wspomnień. Oleńka ma kilka prywatnych rautów, kilka koncertów, Hanka się uczy, Paula i Linka rozpoczęły lekcye, a w przerwach przyglądają się wafesającym pod ich oknami studentom. Codziennie między trzecią a piątą, nieraz dłużej pomimo nawet niepogody, spotkać można wszystkie Zanieckie jak kuropatwy na partye rozbite. Za Oleńką dyskretnie zdala wlecze się Sasza Mazin, ku zgorszeniu jej matki, która go raz wyłajała porządnie narzeczem przez siebie wymyślonym z mieszaniiny słów polskich i rosyjskich, co, mówiąc nawiasem, niewiele skutku odniosło. Trudno rozpoznać za Kuderynową czy za Romą rozbija się własnym, eleganckim powozikiem sławny aktor, ulubieniec publiczności, zasyła je obie równą dozą bukietów i fotografij o szumnych nadpisach jak „Najpiękniejszej wśród pięknych,“ „Arcydziełu natury“ i tym podobnych, przyjmowanych „jedynie ze względu na sławę taką,“ tłumaczy Roma siostrom. Młodsze dziewczynki też mają „swoją gwardyę.“ Kazik, Marcin, Czarniutki, kilku bezimiennych. Kreszczatik jest rodzajem sali, w której, chociaż bez poprzedniej umowy, lecz mimo to napewno, dają sobie wszyscy „randki.“

Linka przez kilka dni po balu daremnie szuka wśród tłumu owego wysokiego wielbiciela swego. Wypłynął z nicości, w nicosć zapadł, nikt go nie zna, nikt jej objaśnić nie umie.

— Zapewne ktoś z przejezdnych — myśli zniechęcona.

Hance wpada w oko studencik z przeciwwka. Pierwszy raz ktoś na nią głębsze czyni wrażenie, chłopak ma jakieś smutne oczy, co odzwierciadlają duszę niepospolitą, i one to właśnie ciągną Hanke. Student godzinami wysiaduje w oknie czekając, aż i ona również za szybą się ukaże. Hanka bierze książkę i niby czyta, ale gdy kartkę przewraca, szybko podnosi głowę i przez brudną, hałaśliwą ulicę spogląda na gmach gdzie czarnowłosy chłopak w nią wpatrzony, jak dziecko w świętych obrazki.

— Jakie dziwne źrenice. Co mu jest?—stara się przeniknąć. Gdy odchodzi od okna, źrenice te wyrażają smutek taki bezmierny, iż jej żal jakiś serce ściska.

Tak trwa kilka tygodni, aż któregoś pięknego poranku p. Zaniecka odkryła ich. Hanka naturalnie otrzymała porządną burę, matka wytłumaczyła jej, iż sama też kiedyś młodą była, lecz nigdy pomysły podobne do głowy jej nie przyszły nawet, no — i u okien zawiesiła firanczki ze srogim zakazem rozsuwania. Teraz Hanka spotyka go jedynie na spacerach i w kościele.

— Wiesz—zwierza się Pauli—jeżeli nie widzę go choć przez jeden dzień, tak mnie serce boli!

— Zakochałaś się — mówi Paula — ale to nic, to przejdzie, ja już tyłu kochałam i nic! Najlepsza rzecz to flirt!

— Niech żyje flirt! Paula jest ogromnie wesoła. Tańczy cake walk'a, matchkę, śpiewa z werwą wszystkie piosnki Olimpu, przytem przybiera ruchy wytrawnej aktorki. Witek zwykle obecny na tych amatorskich przedstawieniach, zachwycą się niemi.

— Idź na scenę — śmieje się — furorę zrobisz.

Paula rusza ramionami lekceważąco.

— Myślisz, że jabym nie poszła? ojej! tam przynajmniej się bawia, tam żyją, a my co? tego nie wolno, tamto niewypada. Eh wsio tryn trawa! — powtarza zasłyszane od studentów zdanie, które jej ogromnie do gustu przypada. Poczekajcie za parę lat przeczytacie jeszcze w gazetach: „*La bellissima e celebra Paulina* raczyła obecnością swoją zaszczyścić nasze miasto,“ tak! tak!

Rozbawiony Witek zanosi się śmiechem.

— Czemu nie? czekamy, obiecuję ci ofiarować najpiękniejszy bukiet na jaki mię stać będzie.

Ale Paula zupełnie seryo traktuje swój projekt.

— Niech mnie tylko puszcza — mówi.

I roją się jej jakieś upojenia, tryumfy, kinkiety sali, oklaski tysięcy, cały świat wrażeń... świat... Rozgorączkowana biega po pokoju, trawi ją nieprzewyciężona potrzeba ruchu.

— Oto życie! — woła z błyszczącemi oczyma, słuchając zakulisowych opowiadań Witka, — oto życie dopiero! Niech tylko mnie puszcza!

Hanka patrzy na nią i uśmiecha się pół-litośnie, pół-drwiąco. Słomiany ogień! Ona zna to, widziała Paulę zapalającą się już tyle razy do różnych nadzwyczajności, których koniec ginie zatopiony w najzwyczajniejszym flircie z pierwszą lepszą lalą o fryzowanym czubie i zadartych wąsikach. Hanka widzi to, jest ona widzem, który czeka, patrzy uważnie na życie, stara się je objąć i pojąć treść jego i czeka...

Czasem, czasem poczyna ją tłoczyć gnębiące uczucie niedostatku woli ludzkiej, niedostatku wzniosłych zamiarów, niedostatku sił do spełnienia ich, jeśli gdzie jak róże wśród pustyni zakwitną.

Paula, Linka, Roma, Oleńka, Witek, Kazio, Rena, stryjowie jej, Kuderyn, cały korowód innych jeszcze znanych jej osób, bawi się, uczy wystarczająco, by list umieć bez błędu napisać, zresztą nawet nieraz pracuje, ma dobra, rządców, przegląda księgi rachunków, wydaje moc pieniędzy i już... Czy to wystarcza? czy społeczeństwo od nich kiedyś ostatecznie nie zażąda rachunku,

a jeśli zażąda, czy zadowolni się okruchami z pańskiego stołu, rzucanemi jak kość głodnemu psu by nie warczał za głośno?

A przecie „Umysł i serce ludzkie stać się winny jakby wielkiem ogniskiem, z którego na wsze strony iść mają ciepła i światła promienie!“ Hanka słyszała o kilku postaciach, co jej się wydały ogniem takim ożywione, zdanie ogółu: „Maniak, Utopista! Kandydat na niedoszęłego bohatera“ i uśmiech politowania. Możeśmy jeszcze nie dorośli? lub ona się myli?—pyta siebie. I chciałaby z kim pomówić, kogoś zapytać, kogoś coby rozświetlił mroki zakrytych przed nią tajników i widzi ze smutkiem, iż ona nie ma takiego kogoś.

Nie rozumieją jej wcale, ona odbiegła duchem od nich wszystkich, może to skutkiem samotnego dzieciństwa, spędzonego pomiędzy dwojgiem staruszków jedynie, może skutkiem późniejszego czytania i długich godzin rozmyślań, a może poprostu—„wżę taką urodylaś“ — jak mówi lud ukraiński. I dlatego zamyka się w sobie i sama stara się borykać ze sprzecznościami, które w umyśle powstają. Nic nie uniem, nic nie rozumiem—powtarza smutno, — chcąc trafić do wszechpoznania łapię wszystko po drodze, jak tonący, który się czepia lada zdziebła słomy, unoszonej wartkim potokiem.

Lecz wierzy w szlachetność natury ludzkiej, w majestat jej zdolności, w świętość umiłowań. I chciałaby mieć moce tytanów, chciałaby być czynem samym.

Kłębią się myśli jak zwój komarów w cichy wieczór letni ponad wodą, krążą oderwane, niezwiązane węzłem żadnym, często wrogie. Chwilami kilka naraz się rwie, męczy dwoistością duszę, aż wreszcie silniejsza tamte zwycięża, opanowuje i sama wkrótce ginie w otchłani nicości, by nowym siostrzycom miejsca ustąpić.

— O czym dumasz Haneczko? — bada Paula.

Ona stara się określić myśli swoje, lecz Paula już się odwraca, zapomniiała pytania, przed lustrem mierzy ogromną kokardę i uśmiecha się rozkosznie do swego odbicia.

*

*

*

Wielkanoc przechodzi dość monotennie. Roma z matką wyjechały do dziadków, młodsze dziewczynki mają zatem jeszcze większą swobodę, używają jej w całej pełni, spędzając po pół dnia na spacerach. Wieczór gromadzi najczęściej towarzystwo u p. Zanieckiej, tylko ponieważ Witek wyjechał na Wołyń do stryja, koledzy jego nie znajdują pretekstu, aby w jego nieobecności na Złotowrocką zaglądać, wzdychają zatem żałośnie i ślą strapione wejrzenia ku mieszkaniom swoich bohdanek. Artur zapraszany uprzejmie przez panią Zaniecką, bywa prawie codziennie, pomimo, iż Oleńkę coraz częściej silny ból głowy zatrzymuje w jej pokoju.

W wielki czwartek panienki kwestują po dwie w kościele, złoto się sypie obficie, złota młodzież wystąpiła nie tyle z wrodzonej ofiarności, ile dla przypodobania się pięknym pannom. Uszczęśliwione zanoszą tace pełniutkie proboszczowi.

— Otóż to, otóż to! moje aniołeczki przyczynicie się do szybszego wybudowania drugiego kościoła, otóż to! co niewiasty mogą, hm, hm mój panie, a mnie tu ledwie z żółwim pośpiechem kapią składki.

Staruszek częstuje dziewczynki ciasteczkami z kremem i maliniakiem własnego wyrobu.

I znowu dnie szare, jednostajne, Hanka wielbiciel na wieś widocznie wyjechał na święta, przez czas dłuższy go nie widuje, pierwsze dnie schodzą smutno, Hanka jest trochę nieswoja, miejsca sobie znaleźć nie może, korci ją chęć, by na chwilę chociaż podejść do okna, uchylić firankę, przekonać się, czy naprawdę niast uśmiechniętej twarzy i wielkich oczu studenta ujrzy czarną czeluść pustki, ale wkrótce opanowuje się, przytem nauczycielka przynosi „Wieczory Florenckie“ z nadpisem na pierwszej stronie: „Jako pamiątka kilkoletniej wspólnej pracy“ i Hanka zagłębia się cała w czytaniu, zapomina o czasie, przestrzeni, studencie, wszystkim co stoi poza książką, godzinami czyta... czyta...

ORY JELSKA.

IDEE REWOLUCYJNE

we współczesnej powieści rosyjskiej.

Gdzież nie szukano przyczyn „rewolucyi,” co wstrząsnęła państwem rosyjskiem niemniej silnie, od straszliwych klęsk, których doznano na dalekich polach mandżurskich?!... W jakie czasy nie poszło się, żeby odnaleźć jej początki, jakich ludzi nie wspominało się przytem?... Bielinskij, Czernyszewskij, Dobrolubow, Gogol, Dostojewskij, Czechow... Litania nazwisk, dzieł, czynów — bez końca, bez miary.

Nie ulega wątpliwości, że wszyscy ci poszukiwacze mają — każdy z osobna — potrosze słuszności. Dzisiejsza bowiem rewolucya — to kulminacyjny punkt tego przewrotu umysłowego i społecznego, jaki zapoczątkowała nieliczna, lecz wielce utalentowana garstka pisarzy w połowie XIX wieku, kiedy to do Rosyi, odgrodzonej wybujałem „narodniczestwem,” jakby murem chińskim, od Europy, zaczęły przenikać hasła wolnościowe wraz z romantyzmem radykalistyczno-realistycznym francuskim — w czasach, w których „*Dorfgeschichten*“ Auerbacha rozgłośnem echem odbiły się w świecie umysłowym, a niemniej też silnie podziały na tęskniących za czemś upragnionem i z niecierpliwością z dnia na dzień oczekiwaniem. Rosyę ogarnęła trawiąca gorączka... Czekano cudu opatrznosciowego...

Na tronie zasiadał Mikołaj I, a pomiędzy polityką rządu i idealistycznymi dążnościami społeczeństwa zachodziły krańcowe różnice. Ultra-konserwatywna, patryarchalna niemal władza, nie-

dopuszczała chociażby promyka lepszej przyszłości. Starła się—co gorsza—przyćmić nawet teoretyczne marzenia myśli wolnościowej. Państwo było niejako symbolistycznym znakiem, jak smok apokaliptyczny.

I ten właśnie anormalny stosunek pomiędzy rządem a kulturalną warstwą ludności, nie pozostał bez znaczącego wpływu na kształtowanie się pojęć społecznych. Zaczęto uważać państwo za coś przeciwnego społeczeństwu. Antyteza państwa i społeczeństwa wywołała sceptyczno-anarchistyczny pogląd na ustrój państwowy, na formalną stronę państwowości. Taką postawiono zasadę...

A tymczasem żywioły anarchistycznie usposobione zdążyły wytworzyć idealizm wśród socjalistycznie usposobionej inteligencji. Celem socjalistów rosyjskich w piątym dziesiątku lat ubiegłego stulecia było, ni mniej ni więcej, jak zniszczenie państwa. Nie myślano o możliwych do przeprowadzenia reformach, lecz o całkowitem „przekształceniu“ życia w duchu wolności i prawdy takiej, któraby nie wchodziła w kompromisy z rzeczywistością. Szukano prawdy bezwzględnej. Krańcowe poglądy brały górę...

W kołach młodzieży, skupiającej się około Pietraszewskiego, chciano decydować o możliwych sposobach, któreby mogły doprowadzić do urzeczywistnienia ideałów „nowego życia.“ Ale naogół nie można było dojść do zgody. Zdania były podzielone...

Tymczasem dekabryści i „Pietraszewcy“ powrócili z wygnania do kraju. Słowianofile bratali się z „zapadnikami.“ Wszystko, co było w Rosji wybitniejszego, z Czernyszewskim, Aksakowym, Samarinem i Turgenjewem na czele, roiło świetne nadzieje, iż dojdzie do porozumienia rządu z narodem jest bliskie.

Nadzieje te tęczowe prysnęły, jak bańka mydlana, rychlej, niżli się tego spodziewano.

W r. 1857 Dobrolubow wspomina z gorzką ironią, jak to dwa lata temu „wszystko ożywało, wszystko pragnęło iść naprzód.“ A jednak w ciągu owych dwu lat „wiele nadziei okazało się pustą mrzonką, górny nastrój ducha zniknął, publiczność opuściła ręce i, bodaj, czy nie uważa swojej misji za skończoną, oddawszy się rozpróżnieniu i zabawom...“

Nie lepiej było z kierownikami opinii publicznej, o których powiada Dobrolubow, że „nie chcą wykroczyć poza teoretyczne pojęcie tego, co potrzeba...“

Z tego rozczarowania i utraty wszelkiej nadziei w reformy ustawodawcze, w pracę postępową władzy państwowej, zrodziła

się nieograniczona, choć nieuzasadniona zarazem wiara w „*narod*,“¹⁾ oraz w „młode pokolenie,“ w zbliżenie się, jeśli nie całkowite zlanie duchowe obydwu tych żywiołów, wreszcie w prawdziwość i możliwość wprowadzenia w czyn ideologii rewolucyjnej. Natomiast nie łudzono się co do nieposobności twórczej poszczególnych warstw społecznych ani przez chwilę małą.

Wiara w „*narod*,“ głoszona na każdej niemal stronie „*Sowriemiennika*“ przez Dobrolubowa, znajdowała silne poparcie w teoriach ekonomicznych Czernyszewskiego. Poddawszy surowej krytyce ekonomiczną politykę burżuazyi, przeciwstawiał jej Czernyszewskij teorię „pracujących“ warstw, domagającą się organizacji wytwórczości na zasadach wolności i samodzielności kooperacyj robotniczych. Plany jej zresztą widział Czernyszewskij za granicą. W polityce wogólności zakwitł kult Saint-Simona.

W literaturze przyszedł na pomoc Pisarew, człowiek o świetnym piórze, obdarzony śmiałą paradoksalnością myśli. On to zaczął głosić hasła indywidualizmu radykalnego, wysuwając na czoło swego programu ideały wolności osobistej. I od niego dowiedziano się w Rosyi, że cele literatury wogólności są zupełnie inne od tych, do jakich ona dotąd dążyła. Literatura zasadzała się — według Pisarewa — na usilnem dążeniu do uwolnienia każdego człowieka od tych kajdan, jakie nakładają ciężar gniołący na oryginalność myśli, od przesądów kastowych, autorytetu tradycyi i t. d.

A jednak! — jaśniejsze, pogodniejsze jutro nie zdawało się nadchodzić...

Przyszło owo zapowiadane „nowe pokolenie,“ na którem tyle budowano. Ale i ono żyło pogrążone w apatyi ogólnej, niezdolne do niczego pozytywnego. Pod ziemią jednakowoż wrzało...

Z tej właśnie krańcowej rozpacz, z tego gorączkowego wy-czekiwania chwili:—rychło-li świt się ukaże na firmamencie państwowym?—powstało pokolenie pisarzy, niepozabawionych w licznych wypadkach dużego talentu. Tylko, że talent ten zmarniał, bo z góry był na śmierć przeznaczony. Taki los zgotowały mu okoliczności, nastrój chwili, otoczenie i tradycya, odziedziczona po Pisarewie—a przede wszystkim owe fatalne warunki, w jakich przeznaczonem było—żyć, działać i tworzyć młodemu pokoleniu pisarzy rosyjskich. Że oddziaływały na taki stan rzeczy także właściwości plemienne umysłów—to nieulega najmniejszej wątpliwości.

¹⁾ Słowa tego niemożna mięszać z ideowem pojęciem odpowiedniego terminu polskiego.

Literatura rosyjska lat dwu ostatnich jest okazem psychopatologicznym, nadającym się raczej do badania lekarskiego, niżli literackiego. „Bohema“—to typ wcale nie nowy. Wytworzył się on w belletrystyce rosyjskiej na dobre jeszcze w siódmym dziesiątku lat z. w., że już przemilczę wcześniejsze objawy. I bodaj, czy nie najpierwszym i najwybitniejszym przedstawicielem cygany literackiej był Lewitow, który w niezapomnianych „*Stiepnich oczerkach*“ i w „*Gorie sioł, dorog i garodow*“ dał nietylko istną galerię proletaryuszów inteligentnych i pół-inteligentnych, ale bodaj czy nie przeczuł, w jakim kierunku typ ten będzie rozwijać się w przyszłości? A w ślad za Lewitowym, którego bez wahania można nazwać rosyjskim Dickensem, poszedł potężny talent Dostojewskiego, Leskow (choć tego zamroczyła tendencja) i inni.

Całą tę plejadę pisarzy, która dała wiele dzieł potężnych, godzi się uważać z punktu widzenia literackiego, psychologiczno-estetycznego i historycznego. Stawiali sobie trwałe pomniki sławy.

Z zupełnie innego stanowiska musimy patrzeć na ich spadkobierców ideowych. Bynajmniej nie z powodu, jakoby twórcy społecznej „bohemy“ byli jednostkami zwyrodniałemi, nienormalnemi, lecz jedynie z powodu kierunku, jaki w tej najmłodszej literaturze objawiał się stale.

Gorkij, Andrejew, Mereżkowskij i jak im tam na imię — to ludzie niewątpliwie niepośledniej miary, jako talenty pisarskie. Ale—jeśli im tak wysoką przyznajemy zaletę, godzi się wymagać, żeby odpowiedzieli zadaniu, jakiego zwykło się i musi nawet żądać od umysłów niecodziennych.

Czy warunkom tym odpowiedzieli? W całości, czy w części?

Na to pytanie można z góry odpowiedzieć bez wahania najmniejszego krótkim słowem: „Nie!“

A czyli nie zawinił rozpanoszeniu się kierunku, w jakim oni szli i tworzyli, autor „*Anny Kareniny*“, o tem możnaby bardzo wiele powiedzieć. Sądzę, że Tołstoj nie jest tu bez winy, choć nieświadomie popełnionej.

Umysł genialny, choć wypaczony mocno — nie należy zapominać—głosił w swoim czasie zasady, rzekomo na czystym Chryścjanizmie oparte, w rzeczy samej będące jego parafrazą.

Państwo społeczne jest złem, gdyż zasada się na przemoc, narzucającej społeczeństwu wolę jednostki lub kilkudziesięciu wybrańców. Wszak on to pierwszy zachęcał do biernego oporu przeciw rozporządzeniom władzy. Broń rządu stępi się nakoniec—głosił prorok z Jasnej Polany — a wówczas nieodzownie nastanie Królestwo Boże na ziemi...

Tylko nie takie Królestwo Boże, o jakim marzyli niegdyś: posepny autor „*Psalmów przyszłości*“ lub genialnym duchem wieszczyn natclniony twórca strof płomiennych „*Króla-Ducha*“...

Tołstoj nie bujał w obłokach, nie zabawiał się szerzeniem niedoścignionych nigdy ideałów. Jak dla każdego „*narodnika*“, tak też i dla niego—chłop, jego dobrobyt materyalny, zrównanie się z nim w życiu codziennem i związanych z niem potrzebach, stanowiło *alfę* i *omegę* głoszonej Rosyi całej nowej ewangelii. Tylko, że ewangelia ta nie była niczem innem, jeno kodeksem pojęć, będących pospolicie w użyciu u ludów pierwotnych, obdarzonych nieokielznaną, nieznaną granic naturą, oraz nieposiadających rzetelnej kultury.

Doktrynerstwo Tołstoja było zaraźliwe nietyle, żeby rozszerzało hasła, wysunięte na czoło ideowej strony utworów sędziwego pustelnika z Jasnej Polany, ile że napoiło sobą innych pisarzy, mniej utalentowanych i skonsolidowanych w sobie, w dodatku w chwili, w której krystalizacya pojęć i poglądów zaczynała się u nich dopiero. Stąd poszło—uznawanie ideałów w „bosiactwie“ przez Gorkiego, w szumowinach społeczeństwa i brudach rynsztokowych przez Andrejewa, stąd herezyja religijna Mereżkowskiego. Wszyscy oni uznali siebie za nieomylnych, za wyrocznie, od których sądu niemasz odwołania. Doktrynerstwo stało się grobem ich talentów. Poza nie wyjrzeć szerzej nie umieli, ani otrząsnąć się z niego bodaj na małą chwilkę.

To też, jeśli porównamy ostatnie utwory tej grupy pisarzy „młodej Rosyi“ z Tołstojowską „*Sonatą Kreuzera*“, powinowactwo ideowe okaże się niezaprzeczonem i bardzo bliskiem. Tołstoj, biorąc za punkt wyjścia w swoich rozumowaniach założenia etyczne, doszedł do ostatecznej negacyi bytu. Gorkij, Andrejew, Skitalec, Arcybaszew i inni z ich szkoły wyszli z założeń społecznych, które im duch czasu na myśl nasunął i doszli do tegoż samego wyniku końcowego, co ich mistrz.

Tylko, że podczas gdy Tołstoj głosił samobójstwo ludzkości dobrowolne i stadowe, uczniowie jego uznali społeczeństwo rosyjskie za żywiół, upoważniony do ferowania wyroków sprawiedliwości, do wykonywania morderstw masowych w imię ideałów anarchistycznych.

Ale mimo to—bohaterowie tak Tołstoja, jak młodego pokolenia pisarzy rosyjskich, mają jedną wspólną zasadę: powszechnego zniszczenia. Środki tylko, jakimi należałoby je wykonać, są różne.

I jakże to rozpaczliwie beznadziejne, jeśli za jedyny sposób uratowania społeczeństwa uznali — ogólne zniszczenie — stary Tołstoj narówni z „młodą Rosyą!“ Dwa światy różne, ale duch w nich jeden.

Doktrynerstwo, początkowo wyłącznie literackie, znalazło wnet podatny i urodzajny grunt w życiu politycznym narodu rosyjskiego, zwłaszcza lat ostatnich. Pędziły ku temu *fata*...

Naród, mający wrodzoną predylekcyę do wszelakiego doktrynerstwa, jak każdy naród pierwotny, do przyjmowania wszystkiego na wiarę, że jest tak, a nie może być bezwarunkowo inaczej, wydał cały szereg pisarzy jednego i tego samego kierunku, doktryna bowiem przyprawiła ich o ślepotę taką, że nie mogli wyjść poza ramy szablonu, w jaki popadli.

Szablon jest najwybitniejszą cechą współczesnej literatury rosyjskiej rewolucyjnej z natury rzeczy. O tem nie trudno przekonać się. Wystarczy wziąć do rąk którykolwiek tom „*Sbornika Znanija*“, „*Fakel*“ lub „*Mir Bożij*“ i przeczytać choćby parę stron pierwszej lepszej nowelki czy dramatu, a wszędzie słowa nasze znajda potwierdzenie. We wszystkich odnajdziemy wypadki niedawno przeżyte, choć wyniesione na piedestał bohaterstwa. Literatura ta, nastrojona na wspólny ton, głosi, iż zbawienie Rosyi leży w gwałtownem zburzeniu tego wszystkiego, co budowały wieki. Da się do niej zastosować łacińska maksyma: „*Quod ferum non sanat, ignis sanat!*“ lub jeszcze lepiej: „Ogniem i mieczem!“ Jeśli zniszczenie, to już takie, żeby nie pozostał kamień na kamieniu!...

*

*

*

Efemeryd, będących przytułkiem literatury „rewolucyjno-anarchistycznej“, powstało mnóstwo całe.

Przerzucam zeszyty „*Borby*.“ Jakżeby obeszło się tutaj bez nazwiska Gorkiego?

Ot szkic p. t. „*O Sierom*“, chociaż właściwszy, jak się przekonamy, byłby tytuł „O Czarnym, Czerwonym i Szarym“, bo o tych trzech usymbolizowanych postaciach tutaj mowa.

„Na ziemi toczą ze sobą spór Czerwony i Czarny — zaczyna się opowiadanie. Żądza nieugaszona władzy nad ludźmi — to siła

Czarnego.“ Gwałtowny, zły, rozpostarł nad światem swoje ciężkie skrzydła i rzucił na ziemię lęk przed sobą. Chce, żeby wszyscy ludzie stali się jego sługami. Spokój utrzymuje żelazem, złotem i kłamstwem, a imieniem Boga posługuje się tylko dlatego, żeby od Niego uzyskać potwierdzenie swojej władzy nad ludźmi. I z zimną krwią powiada: „We mnie siła, to jest—jam dusza i rozum życia, jam władcą wszystkich ludzi.“ Kto przeciw niemu, ten przeciw życiu—to zbrodniarz! Na hak z nim!...

Jakże inny jest drugi bohater opowieści Gorkiego!

Siła „Czerwonego“ — to pragnienie zobaczyć życie wolnem. Ona to oświeca ponurość życia społecznego groźnym blaskiem prawdy, cichem (!) światłem miłości, głosi zrównanie wszystkich takie, „*żeby nikt nie był podwładnym,*“ gdyż „władza dla władzy jest—występna.“

Krótko i węzłowato. Wiekowa kwestya została rozwiązana przez Gorkiego na oczekaniu.

Albo inny obrazek p. t. „*Sobaka,*“ zajmujący dwie stroniczki druku. W ostatnich czasach zaczął Gorkij wyrażać się lakonicznie, pozwalając czytać dowoli między wierszami. Istotnie, krótkość jest wielką zaletą, tem większą dla wielomównego Maksyma.

Rzeczywiście „*Sobaka*“—pies to pospolity, ale autor włożył w niego potężny symbol w swoim rozumieniu.

Raz autor szedł polem. Był wieczór wonny, cichy, księżycowy, rozkoszny. I spotkał psa ze spuszczonym ogonem, najeżoną sierścią na grzbiecie. Pies był wynędzniały, głodny. Po kilku dniach ujrzał go znowu. Pies leżał martwy, a nad cielskiem jego unosił się rój czarnych much. Z wyciągniętą szyją i wyszczerzonymi żółtymi zębami, spoglądał pies martwym, suchym okiem w stronę miasta. Autor rzucił psu parę słów pochwały, że jak mędrzec postąpił, uznawszy, iż czas mu zdechnąć i że „odszedł precz od życia“ we właściwej porze. „Jakżebyś chciał powiedzieć tę samą pochwałę — powiada na zakończenie obrazka — mnóstwu półumarłych ludzi, zatruwających nasze życie wonią swojej zgnilizny, jakżebyś chciał, żeby wzięli z ciebie, psie, przykład?!“

I któż to ci, którym Gorkij radzi postąpić za przykładem owego psa? Nie trudno się domyśleć. To ci, którzy nie chcą pójść na lep boskiackiej propagandy anarchizmu, pomni ideałów przeszłości, i dlatego „zatruwają“ życie rozmaitym apostołom wolności, o jakiej nawet w wolnej, republikańskiej Ameryce słuchać nie chciano. Burżuazjni Jankesi...

Nie znaleźli oni łaski w oczach pisarza, który chciałby chorobę społeczną Rosyi uleczyć morzem płomieni. Gorkiemu marzy się rozkoszna wizya w „*Królestwie nudów*.“ Nie może znieść powagi i sztywności Amerykanów, ich zabaw wesołych, parków przestronnych, zalanych światłem elektrycznem. „Chciałoby się—powiada szczerze—podpalić tę całą wspaniałość... Co się tyczy wesołych a przyzwoitych zabaw ludowych, to i w tem Gorkij ma odmienne gusta. I jak przystało na „*ruskawo czelowieka*,“ konkluduje:

„Chciałoby się zobaczyć człowieka pijanego, z wesołą twarzą, któryby szedł, potraçał przechodniów, śpiewał, wrzeszczał, szczęśliwy, że oto upił się i wszystkim dobrym ludziom szczerze tego życzy...“

Amerykanie budzą w nim wstręt nieopisany. Toż to pospolici zjadacze chleba.

„Chciałoby się, woła, *podpalić całą tę wspaniałość* i wściekle wesoło tańczyć, krzyczeć i śpiewać wśród bujnego igrzyska różnobarwnych języków żywych płomieni na upajającej słodko uczcie zniszczenia martwej wspaniałości ubóstwa duchowego...“

Najsilniej wyraziła się ta nienawiść do kultury światowej w „*Mieście Żółtego Dyabła*,“ gdzie Gorkij propaguje wprost, bez najmniejszych ogródek, anarchizm. Najprzód oburza się w tym utworze na pomnik wolności, potem na samo miasto i jego mieszkańców, na „drapacze nieba,“ na kolejkę powietrzną, na restauracye, słowem, na wszystko—nie wyłączając stójkowych, żujących tytoń. Czytając ten utwór, ma się wrażenie, jakoby mieszkańcy Nowego Jorku byli ludźmi bezdusznymi, jakoby w nich zamiast serca był kilogram złota... Miasto martwe... przekłęte!... miasto złota!...

Znamienity podróżnik znalazł w niem jednego tylko „człowieka.“ Cóż to był za człowiek?

„Pod latarnią stoi młodzieniec i co chwila potrząsa głową, zacisnąwszy silnie swoje mocne zęby. Zdaje mi się, że wiem, o czem myśli, czego pożąda. Pragnie mieć ręce olbrzyma o straszliwej sile i skrzydła u ramion. A to dlatego, żeby kiedyś wzniesić się ponad miastem, zapuścić w nie ręce, jak dwie olbrzymie dźwignie stalowe, i zmięszać w niem wszystko w kupę śmieci i pyłu: cegły i perły, złoto i mięso niewolników, szkło i milionerów, błoto, idyotów, świątynie, zatrute błotem drzewa i te głupie, wielopiętrowe „drapacze nieba,“ wszystko, całe miasto razem, w cieście z błota, z krwi ludzkiej—zamienić w ten pierwotny chaos, z którego powstało...“

I gniewa go jedno głównie. To złoto, złoto i jeszcze raz złoto, które przewala się tutaj bałwanami oceanowemi! Ono sprawia go o nienawiść dziką do tych wszystkich, którzy cokolwiek posiadają. Przekleci niech będą wszyscy oni co do jednego! Błogosławiony niechaj za to będzie ten, co nie zaznał dobrobytu, ten, co ciężko, w pocie czoła, pracuje na chleb powszedni. Jego bowiem jest, a przynajmniej będzie Królestwo... na ziemi. On pójdzie odważnie burzyć wszystko, niszczyć wszystko tak, jak to ongi czynił wódz Hunnów Atylla lub okrutni Rzymianie, co spełniając przepowiednie proroków, nie zostawili w nieszczęsnem Jeruzalem kamienia na kamieniu. Za takie Jeruzalem uważa dzisiejszą Rosyę.

Temu nędzarzowi przecież—powiada Gorkij—wrodzony jest popęd do niszczenia wszystkiego...

„Człowiekowi przysługuje prawo zemsty, prawo do tego dają mu ludzie...“ „Gdzie—kończy z emfazą—mówi się tylko o pracy niewolników, tam niema miejsca na pracę twórczą. *Niszczyć, grabić, palić i mordować!*“ Zemstą okrutną winni odplacić się ludzie-bydłeta.

Ciąg dalszy *Miasta Żółtego Dyabła*—trzy opowieści...

O jednej z nich, o „Królestwie nudów“ (*Carstwo skuki*), mówiłem wprzód.

Mow — to mroczna fantazyja, będąca wariantem wyrażonych już poprzednio myśli. Oto obrazek:

„Tłum rozwścieklonych wyrodków, uzbrojony w ogromne kleszcze, noże, piły i wszystko, co można sporządzić z żelaza, zbił się w kłęb chruszczu, w mroczny wichr szaleństwa nad ciałem kobiety, którą schwycił pożądliwemi rękoma, powalił na ziemię, w brud, w kurz, i rwie jej piersi, kraje ciało, pije krew, gwałci, i ślepo, zgłodniałe, bez ustanku, znęca się nad nią...

„Co to za kobieta — nie dojrzeć: ona przywalona, pokryta ogromnym, brudno-żółtym tłumem ludzi, którzy wpili się w nią ze wszystkich stron ciałami, przylgnęli wszędzie, gdzie tylko było miejsce dla żądnych gąb i ssą soki z każdej pory ciała. Zęby ich zgrzytają, dzwoni żelazo w ich rękach, jęki bólu, krzyki rozczarowania, rżenie głodnego gniewu — wszystko to zlewa się w hymn pogrzebowy nad trupem zabitej zdobywcy, rozszarpanej, zgwałconej tysiącami gwałtów, powalaniem całą różnobarwnością brudu ziemskiego...“ i t. d.

Pomimo całej swojej grozy, utwór powyższy nie jest w stanie wywołać na czytelniku wrażenia.

Ostatni wreszcie utwór—*„Czarli Men“*—to historia myśliwca amerykańskiego. Wywołuje jedynie nudę i nic nadto. Gorkiemu wogólności nie powiodło się uchwycenie typów amerykańskich tak, jak „bosiackich“ rosyjskich, w których odtwarzaniu doszedł do precyzyjnej wprawy.

*

*

*

Ileż to razy zwykło się słyszeć zdania, że literatura t. zw. „ruchu wolnościowego“ lat ostatnich jest pozbawiona wszelkiego artyzmu, co gorsza, że poszła na służbę pustych słów i frazesów?!

Powiada wielu, że dyalektyka i retoryka nowego, dotąd jeszcze nienarodzonego ustroju państwowego, jest plagiatem zachodnio-europejskiej ewangelii proletaryackiej, której tezy postanowiono wiernie i ściśle zastosować w Rosyi, nie zważając na to, czy zastosowanie takie przyniesie pożytek czy szkodę.

Powiadają nakoniec, że rosyjskie pojęcie proletaryatu jest, jak nici „babiego lata,“ lżejszem od puchu i różni się krańcowo od takichże pojęć zachodnio-europejskich, podług których rosyjski „bosiak“ lub „brodiaga“ bezdomny nie mógłby być zaliczony w szeregi paryasów społeczeństwa.

Czy jednak przez usta tych wszystkich sceptyków nie mówi uprzedzenie?

Czy w ten sposób nie zamykamy oczu przed skarbami nowej Golkondy, odkrytej w podziemnych kopalniach nowej prawdy, nowego rozsądku i rozumowania?

Bo przecież przywódcy owego „ruchu wolnościowego“ utrzymują z całą stanowczością, że zarówno w ich działalności społecznej, jak i literackiej, jest nietylko wiele oryginalnego—ale nawet—niema w niej nic starego. Wszystko tam nowe, gdyż i życie Rosyi zmieniło swoje dawne łożysko.

Niepodobna nie przyznać wielkiej oryginalności Gorkiemu zarówno wówczas, gdy będzie pisał apoteozę „bosiactwa“ w nowelach lub dramatach, jak wtedy, gdy będzie tworzył filozofię „bosiacką,“ kiedy napisze bądź artykuł o sędzi pokoju, czy też traktat, poruszający sprawę pokojowej polityki świata, czy jeśli wypowie mowę na mityngu... Zawsze pozostanie sobą, wiernym głoszonym przez siebie ideałom, doprowadzonym do absurdu.

Najlepiej wykaże się prawdziwość mojego twierdzenia na książce Gorkiego, która, jak sam powiada, ma być „wesołą i dla wszystkich przyjemną.“ Tytuł jej: „*Moje interview*.“

Zamiar—bardzo chwalebny!... Weselić serca w dzisiejszych wcale niewesołych czasach...

Czytajmy przedmowę do tego arcydzieła, drukowanego w „*Sbornikie Znanija*“ (tom XIII i nast.):

„Czuję — powiada Gorkij — że dotychczas niemało (!) przeskadzałem ludziom żyć spokojnie i szczęśliwie. Zwracając uwagę człowieka na ciemne strony życia, obrzuciłem czyste jego serce bryzgami błota życiowego, ale teraz uznaję swój błąd. I to przeświadczenie skłania mnie do podjęcia próby, czy jestem w stanie obmyć *zbrudzone serce czytelnika* w strudze nieszkodliwego śmiechu. Oto skromny cel mojej książki...“ kończy skromny autor.

A potem następują cztery wywiady (dwa nadto obiecał dać Gorkij później) zatytułowane: „Król, który wysoko dzierży swój sztandar,“ „Przepiękna Francya,“ „Car“ oraz „Jeden z królów republiki.“

Co to właściwie jest? jaki to rodzaj literatury pięknej?

To ani powieści, ani nowele, ani opowiadania, wogóle tego nie można podciągnąć pod żaden rodzaj belletrystyki. Tak samo nie można tych produktów zaliczyć do rzędu monografij, traktatów lub szkiców historycznych, ani do badań filozoficznych. To zupełnie nowy, dotąd niewidziany gatunek utworów literackich, dla którego nie umiem zdobyć się na odpowiednie a trafne określenie.

Ale najlepiej chyba postąpię, jeśli dam autorowi możność samookreślenia się:

— „Wielka Francyo, coś była wodzem cywilizacji świata, czyż pojmujesz hańbę swej działalności?”

— „Ukochana moja! Przyjmij też moje splunięcie krwią i żółcią w twoje oczy!“

Oto ideowa zawartość nowego utworu Gorkiego, na który tak niecierpliwie czekała Rosya cała.

„Splunięcie!“—jak to brzmi dumnie, hardo?!... „Splunięcie!“

I jakże musi być wielkim a sławnym ów hardy proletaryusz, który potrafi spluć tak dzielnie!

Pierwsze „interview“ z „*Królem, co dzierży wysoko swój sztandar*.“

To cesarz Wilhelm II...

Po przybyciu do pałacu, przeprowadzono Gorkiego do gabinetu cesarskiego. Nieprzywykły bywać w tak wysokich apartamentach, wziął Gorkij mistrza ceremonii za lokaja. Ale sytuacja wnet wyjaśniła się, a mistrz ceremonii nie tylko nie obraził się, ale nadto pouczył znakomitego gościa o ceremoniale dworskim oraz o tem, jak ma się zachować w chwili przybycia cesarza.

„Jego Wysokość—opowiada Gorkij—weszła silnym krokiem istoty, upewnionej, że pałac zbudowany mocno... Oczy ani drgną, są takie, jakimi powinny być oczy istoty, przywykłej patrzeć w przyszłość.“

Autor zapewne uklonił się monarsze, a Jego Cesarska Mość „miłościwie poruszył wąsami...“

Zaczęła się rozmowa:

— Czem mogę pana uszczęśliwić?

— Przyszedłem, żeby wypić parę kropel z oceanu Waszej mądrości!...

— Mam nadzieję, że nie ogłupięję potem...

— To niemożliwe dla Was, Wasza Cesarska Mość!...

I tak dalej ciągnie się dyalog „wesoly i przyjemny dla wszystkich,“—przez stron dziewięć:

— A co sądzi Wasza Cesarska Mość o sprawie pochodzenia boskiego władzy królewskiej?

— Wszystko, co można! Przedewszystkiem jest ona niewzruszona i tylko jedynie prawdziwa, gdyż jest cudowna! Następnie — miliony narodów uznawały przez lat tysiące nad sobą nieograniczoną władzę jednego człowieka — i tylko idyoci mogą ją odrzucać... Nie mogę wyobrazić sobie, żeby te wszystkie miliony składały się z idyotów. Byłbym złym władcą, gdybym tak mało cenil swoich poddanych. I jako że tylko Bóg może stwarzać cuda, jasnem staje się, że jest wybrańcem Jego dla okazania Jego siły i swoich zalet...

Lecz za co to znęca się tak rosyjski „król myśli“ nad niemieckim cesarzem?

— Czerwony błysk socjalizmu przyprawia o strach wszystkich porządných mieszkańców ziemi. Socjalizm chce pożreć duszę społeczeństwa kulturalnego — jego własność.

Ale co właściwie Gorkiemu do socjalizmu? Co jemu do Hekuby, a Hekubie do niego? Przecież dla niego niema miejsca w panteonie Marksa i Engelsa, boć on stworzył własną bożnicę socjalistyczną.

— Na jednej stronie—sam przecież powiada—było napisane czarnymi literami: „Anarchia,“ na drugiej „Ateizm,“ na trzeciej „Zniszczenie własności osobistej,“ a na czwartej—„Zwierzęcość...“

— Nieraz, po rozmowie z człowiekiem, tak gorąco pragnie się po przyjacielsku pogłaskać psa... z szacunkiem ukłonić się słoniowi...—kończy Gorkij swoją filozofię.

Myśl to bynajmniej nie nowa. Słyszymy ją tutaj nie poraz pierwszy. Powiedział ją nam jeszcze w parku New-Jorskim. Od bestyalizmu pospolitego, jaki tkwi w czołobitności przed zwierzętami, od własności prywatnej przechodzą zwyczajni socjaliści do anarchizmu. I doszedłszy do proletariatu—zatrzymują się. Ależ oni—według Gorkiego—są naturami połowicznymi, zdolnymi do kompromisów. Inaczej robi Gorkij, bo idzie od własności prywatnej znacznie dalej, niżli tamci, dalej, niż wszelki socjalizm, chociaż z litości uważa socjalistów za ludzi „rozumnych.“

Drugie splunięcie przeznaczył Gorkij republikańskiej Francji, dla rozweselenia serc czytelników.

Chodził długo po ulicach, zanim ją znalazł, zanim dowiedział się o jej adresie i mieszkaniu.

„Przepiękna Francya“ mieszkała w komisaryacie policyjnym, u którego drzwi stało dwu stójkowych „w spodniach, uszytych z czerwonego znaku wolności.“

— Czy pan mówi po francusku? — zapytała, obrzucając go „wzrokiem znawczyni mężczyzn“ i odpowiadając dygiem wyuczonej artystki na ukłon Gorkiego.

— Nie, pani — odrzekł jej znakomity podróżnik—mówię tylko prawdę...

Wypowiedziawszy jeszcze parę frazesów, ofiara Gorkiego usiadła obok niego, spojrzała mu zalotnie w oczy i zaczęła „pięknie mówić o miłości, o poezji, o wolności, o Niemczech i o Rosyi.“

— Jam kobieta, potrzebuję męża! — odpowiedziała na zarzuty wielkiego Maksyma „co do dania pieniędzy Rosyi.“ I jak żona biblijnego Putyfara starała się nakłonić go do popełnienia grzechu. Ale Gorkij okazał się „wyższym nad świat i namiętności“...

„I czyż to Francya? Ta bohaterka świata, której wizerunek rysował się w mojej wyobraźni spowitym w płomień (?) dzielnych myśli, wielkich słów — o równości, braterstwie i wolności?“

Koniec końców był taki, że Gorkij wstał, ukłonił się pięknie w milezeniu pani Francji:

— Pan już odchodzi? — zapytała zdziwiona niepomiernie i jakby zasmucona:

— Dla mnie tu niema roboty!— odpalił Gorkij bez namysłu, grzecznie.

Lokaje nie wyprowadzili natychmiast gościa z buduaru rzeczypospolitej. Byli zbyt dobrze wychowani wobec przybysza ze Wschodu. Ale kiedy Gorkij wyszedł na ulicę, pomyślał sobie:

— Nie zobaczyłem tej, którą pragnąłem ujrzeć. Widziałem tylko cyniczną kokotkę, która za pieniądze oddaje się z zimną krwią złodziejom i katom...

Dalsze trzy stronicie — to trzy ogromne kubły nieczystości, jakie Gorkij wylewa na Francję za to, że poważyła się dać pożyczkę rządowi rosyjskiemu—bez zgody Dumy państwowej.

Z kolei trzeci wywiad p. t. „*Car*.” Takich utworów można pisać codziennie tysiące. Bo pod tytułem nie widać niczego, oprócz trzech rzędów kropek. Lakonicznie i krótko...

Splunięcie ostatnie z rzędu w stronę demokracji amerykańskiej.

Gorkiego przyjął na posłuchaniu „*Jeden z królów rzeczypospolitej*.”

„Stalowi, naftowi i wszyscy inni królowie Stanów Zjednoczonych—powiada Gorkij—zawsze wprawiali w podziw moją wyobraźnię.“ Jak z dalszego ciągu okazuje się, Gorkij wyobrażał sobie tych, którzy „mają mnóstwo pieniędzy,” jako właścicieli trzech żołądków i „mniej więcej stu pięćdziesięciu zębów.“ Zdawało mu się, że miliarder nie robi nic innego od rana do nocy, tylko je gęsi, indyki, prosięta i wszystko, co tylko możliwe. A jeśli żuje tytoń — to naturalnie najlepszy i po dwa funty od razu. Jeśli zaś zażywa tabakę — to nie mniej niżli funt na jeden raz.

Jednakże—niestety—ani jedno z powyższych przypuszczeń Gorkiego nie sprawdziło się.

Bo oto okazało się, że amerykański miliarder je tylko dwa razy dziennie, i to wcale skromnie, jak każdy śmiertelnik przeciętny. Zadziwiająco!...

Natomiast wyszło na jaw coś zupełnie innego. Wielbłądowi amerykańskiemu trudno przeleżeć przez uszko igły do Królestwa niebieskiego. Oto jak rozumuje u Gorkiego miliarder:

— Pomrzemy wszyscy—bogaci i ubodzy, bankierzy i zmiatacze ulic. W ogrodach rajskich być może robotnicy z kopalni węgla zostaną cesarzami, a cesarz będzie zmiatał miotłą ze ścieżek ogrodu liście opadłe i papierki z cukierków, któremi będziecie raczyć się codziennie...

W końcu przeszła rozmowa na socjalizm. I oto, co oświadcza bankier Gorkiego:

— W głowie socjalisty—ateizm, w jego brzuchu—anarchizm. Dusza jego okryta skrzydłami dyabelskimi szaleństwa i złości... Dla walki z socjalizmem koniecznością jest posiadać więcej religii i żołnierzy. Religii—przeciw ateizmowi, żołnierzy—przeciw anarchii...

— A jaki sens w tem, żeby być milionerem?—zapytuje pod koniec audyencyi Gorkij.

Miliarder zaczął jąkać się i poruszać bezradnie nogami, zamiast odpowiedzi.

— To przyzwyczajenie—zawołał, oddychając silnie.

— Jakto, przyzwyczajenie?—zapytałem.

— Być milionerem... to przyzwyczajenie... Pomyślałem—opowiada Gorkij—i postawiłem mu ostatnie pytanie:

— Czy pan sądzi, że brodiagi, palacze opium i milionerzy—są jednakowem zjawiskiem?

Widocznie to obrazilo go. Wytrzeszczył oczy, zabarwił je żółcią na zielono i odrzekł sucho:

— Sądzę, że pan jest źle wychowany...

— Do widzenia!—powiedziałem.

Ostatnie powiedzenie bankiera mówi samo przez się bardzo wiele.

Bankier demokratycznej Ameryki nie mógł ani rusz pojąć, że ma przed sobą znakomitego twórcę rosyjskiego i założyciela nowej gałęzi belletrystyki ideowej, inicjatora nowej szkoły literackiej, której zadaniem oplwanie wszystkiego.

Gorkij idzie „ciągle naprzód“ i „ciągle wyżej“ bardzo szybkim krokiem i plwa na wsze strony obficie. Niebawem, w najbliższej przyszłości nie zostanie dla nowego pokolenia pisarzy rosyjskich wolnego miejsca, w które możnaby splunąć. Wszystko będzie oplwane...

... Albo „sławny“ Leonid Andrejew ze swoimi utworami!...

W początkach jego działalności pisarski j—zachwyciałem się nim i—niestety—pomyliłem się gru¹ w nadziejach. Niestety?—czy na szczęście?—to drugie pytania.

Bo i on, idąc śladem Gorkiego, choć może z większym talentem, brnie w błocie grząskiem i obrzuca niem całą naukę Chrystusa, która dlań wydaje się—faryzeuszowską aż nadto.

Dla przykładu postaram się streścić jeden drobny obrazek:

Na posiedzeniu izby sądowej rozpatrują sprawę pewnego indywiduum, które sprzeniewierzyło powierzone sobie cudze pieniądze w jakimś podejrzanym przybytku.

Na świadków do rozprawy powołano prostytutki. Jedna z nich odmawia złożenia przysięgi, powiadając, iż z natury prowadzonego przez się interesu, nie może uważać się za chrześcijankę. Sędziowie, przewodniczący, obrońca, prokurator, tak samo kilku sędziów przysięgłych i nakoniec duchowna osoba, wszyscy razem starają się upewnić prostytutkę, iż myli się w swoim mniemaniu. Ona jednak jest nieugięta i opowiadać zaczyna cały szereg faktów ze swego życia i swoich koleżanek zawodowych, mówi ze szczegółami, jak z nią obchodzili się „szanowni“ goście tych nieszanownych domów i t. p. Wszystko powiedziane jest poprostu, bez ogródek.

Inne dziewczęta nie odmawiają złożenia przysięgi i dodają tylko wiele drastycznych szczegółów do zeznań „nie-chrześcijan-ki,“ dotyczących się przeważnie „szanownych“ gości.

Personel sądowy znajduje się w siódmym niebie, smakując z lubością tak zdrowy pokarm duchowy, naturalnie—z chrześcijańskiego punktu widzenia. Uwag i dowcipów sypie się grad. A biedny w tem położeniu ojciec duchowny stara się z trudem upewnić „nie-chrześcijan-kę,“ że „to wszystko“ najzupełniej jest dopuszczalne i nie sprzeciwia się chrześcijaństwu.

Na całej sali—powiada Andrejew—niema ani jednej duszy, współczującej ofierze człowieka zwyrodniałego, przyznającej się bez ogródek do grzechu, popełnianego codzień. Oto są „chrześcijanie“—kończy Andrejew rozpaczliwie tragicznym gestem.

Ale to jeszcze nie—wobec rewolucyjno-astronomicznego dramatu p. t. „*K zwiędam*.“

Dochodzi skądś wiadomość o pogromie żydowskim...

„Nie trzeba nauki! *Dałoj nauku! K czortu nauku!* Prze-
kłęte gwiazdy! Ja, maleńki Żyd, a słyszę, jak oni tam krzyczą...
Kłóli, zabijali, rozrywali na kawałki... *Bili za to, że pośród nas*

urodził się Chrystus, że wśród nas byli prorocy i Marks... Przyzywam żydowskiego Boga: Boże zemsty, Panie Boże zemsty!... Sędzio ziemi... Zjaw się!...

— Zemsta oprawcom! — grzmi chór rewolucjonistów, siedzących na wierzchołku góry...

— Ja Żydek maleńki, który kochał naukę... Gwiazdy przekłete!...

Zasłona spada... Akt czwarty... Okazuje się, że syn profesora przez długie siedzenie w więzieniu stał się idyotą.

I ten profesor rzuca okrzyk w dal daleką, okrzyk napozór wielki, w rzeczywistości pusty:

— Witam ciebie, synu wieczności! Witam ciebie, mój nieznanany, a daleki druhu!...

— Pójdę w życie! — powiada echowo żona profesora-rewolucjonisty.

— Idź, oddaj mu to, coś od niego wzięła! Zginiesz, lecz zgubą swoją osiągniesz nieśmiertelność. Ku gwiazdom! Witam ciebie, mój daleki, mój nieznanany druhu!...

I w tejże chwili profesor wyciąga ręce ku gwiazdom...

Na tem kończy się dramat Andrejewa.

Mówiono o nim mnóstwo. Pewna część prasy rosyjskiej przez usta swoich krytyków twierdziła, że o tym utworze „będzie się mówić wiele i długo.“ Prasa, jak prasa — mogła tak utrzymywać. Ale mnie żal tego niewątpliwego talentu, którego ogarki już dogasają, chociaż niegdyś płonął iskrą Bożą natchnienia prawdziwego. A te ogarki szerzą wokół siebie tylko zapach cuchnący i kopeć brudny. Niegdyś u Andrejewa były widoczne przebłyски oryginalnego talentu, tchnące promieniami młodej wiosny. Wówczas nie posiadałem się z zachwytu nad jego utworami, co przeświecały jako płomień jasny. Talent był wielki, chociaż chorobliwy.

Ale teraz chorobliwość przekroczyła możliwe granice. Andrejew przeszedł w stadyum, które medycyna zwykła nazywać *mania grandiosa*...

Nie koniec jednak na tem obłąkanem dążeniu ku gwiazdom niedosięgłym!...

„*Tak było*...“ — to jakby uwertura do „*Sawwy*“, a przynajmniej coś w tym rodzaju.

„Władzy niema, jest tylko niewolnictwo — powiada Andrejew. I ten tylko uzyska wolność, kto ją umiłował. Niewolników nie stwarzała przyroda.

Echa nieskończone, dalekie. Przeszłość i przyszłość. A gdzież terazniejszość?!...

Chodzi strażnik ogromnego, starożytnego zegaru po ogromnej, czarnej baszcie, której potężne mury ongi wybudowali rozbójnicy, a obecnie baszta ta służy za więzienie dla ważnych zbrodniarzy.

„Tak było... tak będzie... tak było... — powtarza monotonię strażnik zegarowy.

Słowa powyższe—ideę całej opowieści Andrejewa, opowieści, powtarzającej tylko hasła Gorkiego, słowa, które pod pokrywką dekadentyzmu noszą wybitne piętna dążności rewolucyjnych...

I jak to było?... jak, może dopiero będzie?...

Ponad ogromnym krajem, w którym było wielkie miasto z potężną wieżą i ogromnym zegarem, unosił się człowiek, władca zagadkowy miasta owego i kraju. Nazywał się królem „Dwudziestym,“ gdyż wszyscy jego poprzednicy nosili toż samo imię... Pochodzenie jego ginęło w mrokach niepamięci.

„Król rodził się i umierał, jak wszyscy“ — powiada Gorkij. Ale gdy ludzie spostrzegli, jak wielka władza spoczywa w jego ręku, „zaczęli myśleć, że on jest Bogiem...“ Bóg dał swoje przykazania, król dawał także swoje—w postaci ustaw. Bóg przykazań swoich zmienić nie mógł, on mógł tyle razy, ile mu podobało się. I chociaż nie mógł darzyć życiem, jak Bóg darzy, dawał śmierć...

W państwie Dwudziestego wszczęła się rewolucya. „Narod“ nie chciał słuchać nikogo. Tuż, tuż, a Dwudziestego conajmniej przepędziliby za dziesiątą górę. „Narod“ zapragnął ujrzeć swego władcę i tłumnie podążył pod pałac. Władca ukazał się na balkonie, przemówił kilka słów, a z tłumu, który niedawno myślał, że król przygotowuje nań oprawców, padły słowa czci...

Wystarczyło jedno, jedyne słowo: „Raby!“ ażeby nastrój mas zmienił się.

„Nad miastem zawisły straszne sny...“

A potem zaczęła się rewolucya — można przypuszczać, że to rewolucya francuska 1789 roku.

Ale też — może być — że całkiem inna...

A dalej apoteoza anarchii, walka przeciw temu „mitycznemu smokowi,“ za którego Andrejew uważa każdego monarchę, chociażby jaknajbardziej ograniczonego w swoich prawach.

Wnet zamiast wyrazów czci—słychać okrzyk: „Śmierć Dwudziestemu!...“

Na latarniach już wiszą zdrajcy „narodu.“ Kraj ogarnęło powstanie. Kraj domaga się sądu nad królem. Ma go osiągnąć zemsta „narodu“—straszliwa, powiada Andrejew.

— Niema króla, niema też Boga, tego króla i tyrana niebios!...

Ow tyran już powieszony—z sądu ludu swego. Dwudziesty nie istnieje.

A tłum ryczy: „Wolność, wolność!“ — dniem i nocą. Tak, wolność!...

Lecz z wysokiej baszty od strony ogromnego zegara słyszeć się daje monotony głos strażnika:

— Tak było... tak będzie!... Tak było — tak będzie!...

Albo „Sawwa,“ co tyle dotąd hałasu uczynił... Czyż chociaż o odrobinę jest inny od swoich poprzedników? Gdzież tam!...

Na pierwszy rzut oka może łącznie wydać się, jakoby różnił się niewiele od typów rewolucyjno-bosiackich Gorkiego.

— „Człowiekiem jam jest, który raz się rodził — mówi Sawwa. Widziałem kościoły i więzienia, uniwersytety i domy publiczne, fabryki i galerye obrazów, pałace i mieszkania robotnicze. Ale kiedy obliczyłem, ile więzień przypada na jedną galeryę obrazów, przyszedłem do przekonania, że cały ustrój społeczny musi uległ przewrotowi...“

Napozór jest to zupełnie równoznaczne z tem, co zwykli głosić „bohaterowie“ Gorkiego.

W rzeczywistości zaś ma się rzecz odmiennie, całkiem inaczej.

„Sawwa“ Andrejewa bowiem nie staje do walki z urządzeniami państwowemi, lub pewną warstwą społeczną, lecz występuje przeciw niewolnictwu przeważnej części ludzkości.

Paradoksalny jest jednak, jak wielu, wielu, jemu podobnych w dobie obecnej.

— Niema nic straszniejszego — powiada z przekonaniem — jak narodziny człowieka...

Sawwa pragnie rozwiązać wielką zagadkę życia i bytu ludzkiego.

I podczas, gdy łamie sobie głowę nad tą kwestyą — widzi dokoła siebie mnóstwo ludzi, szczęśliwych, zadowolonych ze swego losu, odpowiadających sobie na postawione przez Sawwę pytanie w sposób najdogodniejszy dla nich. Odpowiedzi te uważa Sawwa za godne niewolników lub ich właścicieli. A przecież — sądzi — człowiek, wypowiadając się, powinien być całkiem szczery i otwarty, do głębi duszy — „nagi na nagiej ziemi, nagi, jak matka urodziła. Nie ma na sobie ani spodni, ani orderów, ani kieszeni — nic. Pomyśl: człowiek bez kieszeni — no! cóż to jest? Wobec tego, bracie, i ikona niczem... Dynamit silniejszy od ich Boga! A człowiek silniejszy — od dynamitu!...“

W tem uważa Sawwa swój ideał za wykończony.

Dlatego też należy wygubić wszystkich, całe pokolenie obecne, co przesiąkło do szpiku kości: fałszem, hipokryzyą i obłudą i tchórzostwem przed prawdą. Niewolnicy muszą ustąpić miejsca ludziom!

Sawwa wyznaje pozatem dosłownie, jak ewangelię, doktrynę o grzechu i niesprzeciwianiu się jemu — Tołstoja.

Cóż znaczy, iżby ludzie wyznawali jakąkolwiek wiarę?—dodaje po monologu o grzechu od siebie.

Ludziom, sercom ich i duszy trzeba najprzód odebrać ich Boga, tego Boga, co jest twórcą dusz niewolniczych i w którego istnienie mogą wierzyć tylko sami niewolnicy. Raz nakoniec trzeba bezwarunkowo rozwiązać odwieczną zagadkę bytu ludzkiego. Precz z wiarą! precz z tajemnicami!

Ażeby podkopać wiarę w Boga u prostego ludu, Sawwa, nie ustępujący bynajmniej w świętokradztwie sprawcy zrabowania obrazu cudownego Matki Boskiej Kazańskiej, który spalił po zdarciu z niego kosztowności, stawia w cerkwi pod obrazem, cudami słynącym, machinę piekielną. Ujrzą ludzie, jak ich Bóg, potrzebany w drzazgi, leci w powietrze i pozbędą się wiary ojców swoich w jednej chwili — na zawsze!

Zdrajca jednakowoż tego piekielnego pomysłu znalazł się w osobie przyjaciela Sawwy.

To też przełożony klasztoru, dowiedziawszy się o mającym nastąpić zamachu, każe obraz cudowny usunąć. Skoro zaś tylko machina piekielna wybuchła, obraz zjawia się nieuszkodzony na swoim dawnym miejscu. Zamiast upragnionego zachwiania wiary, Sawwa przyczynił się samochęc do jej utwierdzenia. I kończy ów rewolucjonista, widząc swoje plany w niwecz obrócone, takim beznadziejnie rozpaczliwym: „*Mundus vult decipi—ergo...*“ Sawwa zapomniał policzyć się z najpotężniejszym swoim wrogiem — z rzeczywistością.

„Nagi, na nagiej ziemi, jak matka urodziła...“ Andrejew nie widzi lepszego i skuteczniejszego lekarstwa na chorobę społeczną Rosyi—od zniszczenia, od śmierci. Prawda!—wszak śmierć jest najlepszym i niezawodniejszym środkiem przeciw chorobom wszelkiego rodzaju...

Nie wystarczy — wołać ciągle do znudzenia powtarzane hasło: „Śmierć burżujom!...“

Trzeba samemu nie należeć do ich liczby. A jednak—śmiem twierdzić—ta gwiazda literatury rewolucyjnej rosyjskiej, ten tak

uwielbiany Andrejew, sam pełen jest, że użyję określenia, używanego często przez pseudopostępowców—uczuć i nastrojów burżuazyjnych. Mimo wszystko duch burżuja w nim żyje!...

Żeby zakończyć już z Andrejewym, weźmy pod uwagę dramat p. t. „*Życie Człowieka*.”

Czyliż to naprawdę dramat? — zapytam odrazu.

Nie — to nie dramat. Sam Andrejew sztuki swojej takim mianem nie śmiał opatrzyć.

Zadaniem każdego dramatu jest odtworzenie życia takim, jakim ono jest w rzeczywistości. Ale, żeby cel ten osiągnąć, trzeba oddalić się od życia i z wyżyn niebosięgłych na nie patrzeć, żeby dostrzedz w niem momenty istotnie dramatycznej natury. A Andrejew ani na krok od tego życia nie odszedł i dlatego mógł dać tylko pięć scen, nie z życia, lecz jakby z chorobliwego snu wyjętych... U niego nie ma życia rzeczywistego. Zastąpiła je fantazyja iluzyonistyczna.

Najciekawszą jest w „*Życiu Człowieka*” postać jedna. To On, ktoś szaro ubrany, którego imię „On.” Zaczyna mi to szare ubranie przypominać coś z jednej opowieści Gorkiego. Ale o pokrewieństwo mniejsza!

I oto, co powiada widzom ów tajemniczy On w prologu:

— „Patrzcie i słuchajcie wy, coście przyszli tutaj dla zabawy i śmiechu! Oto — przejdzie przed wami życie Człowieka... Dalekiem echem przejdzie przed wami i jego ból i radość wartko płynącego życia...”

Tak! — To tylko echo dalekie życia, to fantasmagoryja, której celem negacyja bezwzględna!...

Tytuł aktu pierwszego, powiedzmy raczej obrazu: „*Przyjście na świat Człowieka i męki matki*.”

Za sceną męczy się położnica. Tam rodzi się Człowiek. Na tle szarego, mrocznego światła, padającego przez okna, widzimy kilka starych kobiet. W chwili, kiedy z drugiego pokoju dochodzą jęki, płacz i szlochanie, te złowieszcze pary prowadzą taką rozmowę, że wstręt jej słuchać. Na licach ich od czasu do czasu pojawia się uśmiech. Czekają na wynik bolesnego procesu, a tymczasem rozmyślają, kto przyjdzie na świat: chłopiec, czy dziewczyna? czy noworodek ukaże się im żywym, czy przyjdzie martwy, czy przyjdzie po to, ażeby umrzeć? Rozmowę tę przerywa chwilami śmiech.

Na dworze zaczyna rozwidniać się, jakby na powitanie rodzącego się życia. Wchodzą ojciec z lekarzem i mówią o tem, o czem mówi się w takich wypadkach. Ojciec, zmęczony i drżą-

cy z bojaźni, przeklina chwilę narodzin dziecięcia, lecz w tejże chwili błogosławi ze łzami w oczach los za to, że syn ma oczy i nos jego. Przychodzą krewni z powinszowaniem i mówią z powagą, ile to w życiu zależy od tego, jakim imieniem zostanie nazwany nowonarodzony i że należy dziecko ochrzcić tem imieniem, jakie nosił który z przodków, gdyż to bardzo ważne, bardzo ważne...

A tuż nad nimi majaczy się niewidzialny On ze świecą w ręku. Trwoga czy nuda bije z jego lic...

Obraz drugi — „*Miłość i nędza.*“ Człowiek wyrósł na młodzieńca, utalentowanego artystę-architekta. Ale nikt nie zużytkowuje jego projektów. Obok — młoda żona, prześliczna, w różowym szlafrocuku, z obnażoną szyjką białą. Oboje biedacy. Jedzą tylko chleb czerstwy i popijają wodą czystą. Są głodni, bo dotąd nikt nie chce uznać talentu jego. A jednak!... nawet sam król Krezus nie był bogatszy od tych dwojga istot. Bo od nich bije: młodość, miłość, nadzieja, odwaga spojrzeć życiu w oczy, wiara w powodzenie. Wiosna życia... wiara w siebie... wiara w życie... I młodzieniec odważnie wyzywa na bój tego, który nazywa się — On... I chociażby życie chmurzyło się, jak ślepa sowa przy blasku słońca, młodość zmusi je do uśmiechu. A w kącie—On, szaro odziany, patrzy wzrokiem skamieniałym na szczęście dwojga ludzi i w ręku jego płonie jasnym płomieniem świeca.

Obraz trzeci: „*Bal u Człowieka.*...“

Człowiek porósł w pierze. Ale mimo to wszystko u niego dziwne: i drzwi, i okna, i trzej muzykanci, podobni zupełnie do instrumentów, na jakich grają: do skrzypiec, kontrabasu i fletu, z których płyną przeraźliwe dźwięki. W salonie goście, ubrani w jeden z trzech kolorów: czarny, biały lub żółty.

Człowiek już podstarzał mocno. Siwiznę znać bardzo na jego kruczonych włosach. Postarzała się też i żona jego. Obok przyjaciela Człowieka, weseli, hardzi, rozjaśnione ich oblicza. A za nimi wrogowie Człowieka: twarze ich wąskie, u klap surdutów mają żółte różę przypięte, kroki ich niepewne i bojaźliwe — a muzyka gra i gra... Salon opustoszał. Przez okna wgląda weń mrok jakiś dziwny...

Obraz czwarty: „*Nieszczęście Człowieka.*...“

Bieda wróciła. Za ścianą umiera syn Człowieka. Przypadkowo rzucony kamień rozbił mu głowę. Służąca Człowieka siedzi u okna, przez które patrzy mrok do pokoju, i opowiada o swoim życiu, o tem, jak przyjęła tu służbę, jak odejdzio na inną i jak

jest obojętna na wszystko, co się dzieje dokoła niej. A od niej wrąg echowo, jakby obcy głos powtarza słowa:

— „Mnie wszystko jedno, mnie wszystko jedno!...“

Wchodzi Człowiek. Uspokojony przez lekarza, kładzie się i zasypia. Ale przebudzony płaczem żony, z jej łez dowiaduje się o całej prawdzie. Syn jego umarł. Znowu sypią się przekleństwa na życie, na chwilę urodzenia się swego, na dawne rozkosze i los sam...

A tuż obok stoi niewidzialny On i słucha w milczeniu. W ręku jego płonie dogorywająca świeca...

Obraz ostatni, piąty: „*Śmierć Człowieka...*“

Knajpa podziemna, z długim rzędem butelek, poustawianych na półkach. Przed półkami siedzi gospodarz knajpy, naprzód wysunięty śpi Człowiek z wyciągniętą na stole szyją.

Wrąg niego postacię pijaków pierwszorzędných. Gwar, hałas nierozumnych rozmów, chwianie się na nogach i t. d. Ale cała rozmowa toczy się o Człowieku, że dla niego już wszystko stracone, że Człowiek postarzał się i nie jest więcej nikomu potrzebny. I te pijane indywidua zaczynają okrażać ciasno Człowieka i szeptać mu w ucho po cichu:

— „Pamiętasz? — Suknia różowa i goła szyja? Jak to było pyszne! Jak bogate! Co za cześć! Pamiętasz? Umrzesz prędko... Pamiętasz? Co za cześć! Jak pysznie! Jak strojno!...“

A po schodach idą powoli trzej muzykanci, podobni do swoich instrumentów: do skrzypiec, basu i fletu, poczem, zszedłszy, siadają i rozpoczynają, przyspieszając ciągle tempo, grać ten taniec, jaki grali na balu, a pijanice-staruszkowie coraz to większem kołem okrażają Człowieka, przyklaskując w takt, przyczem nieustannie szepcą mu coś do ucha.

W tej chwili Człowiek powstaje gwałtownym ruchem. W rozżarzonych jego żenicach lśni ogień. Podnosi rękę i posyła ostatnie przekleństwo losowi, lecz w tej chwili głos mu się urywa i on pada na krzesło nieruchomy. Człowiek zmarł nagle.

A tuż obok w ręku tego, który nazywa się „On“ — płomień świecy rozbłysnął jaśniej, niżli zwyczajnie, i zagaśł na zawsze w jednej sekundzie.

Ściemnia się szybko, jakby na zaklęcie czarodziejskie.

Coraz namiętniej, coraz gwałtowniej grają muzykanci, przyspieszając tempo co chwilę, a wokoło Człowieka z dzikiem klaskaniem w ręce tańczą starcy-pijanice do upadłego...

Aż wszystko tonie w pełnym mroku, owioniętym tajemnicą jakąś.

Dźwięki muzyki urywają się nagle, jakby struny instrumentów urwały się odrazu.

Cisza głęboka.

A wśród tej ciszy ogromnej i tego nieprzeniknionego mroku daje się słyszeć głos Jego:

— Cicho! Człowiek umarł...

Taka jest idea „*Zycia Człowieka*,” idea mroczna — bezwzględnej negacyi bytu ludzkiego.

Niestety! — nie wnosi ona niczego do charakterystyki Andrejewa. Bo wszystko technie tutaj owym pesymizmem beznadziejnym, jaki wionie ze wszystkich utworów tego pisarza od samych początków jego twórczości. Andrejew przyglądał się życiu z różnych stron, zaczynając od badań nad psychiką „bosiacką,” kończąc ekstazą fanatyka rewolucyjnego lub przeciwnika idei religijnej. Ale u niego nie można dopatrzeć się niczego, oprócz beznadziejnych porywów, nadziei zawodnych, eksperymentów patologicznych, rozpaczy przed czy wobec bezsilności i nicości człowieka. Wszędzie u niego zapach trupi, wszędzie negacya czy nu, negacya krańcowa życia!...

Oh! — jakże ciężkie musi być życie indywidualności, która nie może wznieść się na wyżyny społecznego indywidualizmu, które w swoim czasie bez trudu osiągnął Puszkina?!...

Poezja rozpaczy, straszliwych mąk ducha, krańcowej beznadziejności...

*

*

*

W ślady Gorkiego i Andrejewa poszedł też Juskiewicz, pisarz dość znany ogółowi.

Utwór jego p. t. „*W mieście*” nie może być zrozumiały bez uprzedniego zaznajomienia się z ideą dawniejszych utworów Juskiewicza. W nich starał się autor przedstawić miasto, jako siłę gniotącą, duszącą, przeobrażającą człowieka w nicość. Pod jej wpływem zamiera wszystko, co ludzkiego jest na świecie: pojęcie honoru, czci, wstydlivosti, miłości i t. d. Tysiące, tłumy ciągną do miasta, bo je przyciąga ku sobie zewnętrzny blask jego, oślepiająca powierzchowność. Gnębi i niszczy ludzi brak w niem miłosierdzia, jego pragnienia nienasycone nigdy. Upadek kobiety,

to jeden z najczęstszych tematów, które Juskiewicz wyzyskiwał do dna dla wykazania niszczącej siły miasta.

W utworze omawianym miasto jest — ale jest gdzieś daleko. Mówi się wprawdzie o niem, ale bardzo niewiele. Czytelnik musi pomagać sobie reminiscencyami tego, co autor dawniej napisał.

Kto zwicznął życie głównej bohaterki utworu — Diny, która handluje ciałem własnej córki i na jej sprzedanej miłości buduje szczęście i dobrobyt rodzinny? Temu winno miasto. Dina — to potwór, pozbawiony uczuć macierzyńskich nawet ludzkich.

I czyż temat ten, wywlekający same tylko żądze lubieżności ludzkiej, godzien uwagi? Bo kwestyę społeczną sam autor wyłączył od roztrząsania w założeniu swego utworu.

Odpowiedź na to pytanie musi wypaść nieprzychylnie, gdyż pozostaje poza sferą oddziaływania miasta, głodu i rozpustnej atmosfery rozkoszy. Wobec tego — Dina nie ma sensu. Bo autor skupił całą uwagę czytelnika na psychologii indywidualnej, podczas gdy celem jego było wykazanie wpływu warunków bytu społecznego. Toż tu jasne przeciwieństwo w celach i środkach!

Sprzeczność jest aż nadto oczywista i widoczna dla każdego.

I jakie wobec tego zająć stanowisko — naturalnie co do Diny?

Czy traktować ją, jako pospolitą przestępczynię, czy jako istotę zwyrodniałą, której jednak przysługuje prawo, ażeby jej współczuć?... Tylko w tym brudzie rozpatrzyć się!... To trud!

Ale dopiero w „*Głodzie*“ okazał się Juskiewicz sobą.

Oto on! — Głód, główny bohater dramatu:

— Buciki jego podkute. Cienki, jak kosa. Twarz ma zwierzęcą... Idzie i zębami wyrywa mięso z ludzi... Z krwią... Gęba jego zakrwawiona...

Przed nami proletaryat żydowski. Ale nie ten ciemny i uległy. Tu inny nastrój. To proletaryat rzekomo „uświadomiony.“ Pod wpływem wypadków lat ostatnich ta ciemna masa drgnęła, zakotłosała się. Inne „ideały“ zaczynają świtać w jej głowach. Agitacya rewolucyjna dotarła i tutaj i jak u każdego narodu wschodniego, nie umiającego patrzeć krytycznem okiem, lecz przyjmującego każdą teorię ślepo, na wiarę, sprawiła zamęt w mózgach. Ten wydziedziczony proletaryat dowiaduje się nagle, że na świecie powinna być równość bezwzględna, że każdy ma być dla drugiego bratem, że wolność ma być niezem nieograniczona...

Rozkołysała się ta masa, bo wydarto jej to, co „*Sawwa*“ Andrejewa uważał za główną przeszkodę do szerzenia agitacyi rewolucyjnej. Tej masie wydarto Boga! Ów groźny Jehowa dla niej nie istnieje, stracił zupełnie wartość w jej oczach. Stare po-

kolenie trzyma się jeszcze przykazań Mojżeszowych. Ale młodzież odrzuciła na bok od siebie dotychczasowe podstawy życia, jako dla niej niewygodne. Za mało dawały.

Bo i czego to nie obiecali nowocześni prorocy?!...

Przyrzekli wolność, jakiej świat nigdy nie oglądał i oglądać nie może, bo jest ona niemożliwa do stworzenia.

— Proletaryusze wszystkich narodów łączcie się! — padło hasło. I zaczęto łączyć się, nie pytając „towarzysza,” kto jego ojcem, lub kto jego Bogiem.

— Dlatego, że wokół źle, powiedzcie sobie: Nocy wiekowej nadchodzi kres! Zapory ustępują. Drzwi żelazne trzeszczą. My je rozwalimy...

Tak głosi Gabaj—przedstawiciel nowych prądów w żydostwie.

Ale i jakież to Żyd?!.. To przedewszystkiem „człowiek,” bo człowiekiem staje się tylko ten, kto przysięgnie na przykazania rewolucyjne. Nie lubi mówić — jak wogóle u Żydów to w zwyczaju — o swoim pochodzeniu. Nie należy do żadnej narodowości, należy do całej ludzkości. Nie chce być posłusznym nauce przodków swoich, bo sam „wyda nowe przykazania, które będą wypełniali wszyscy.“

Nienawistna dlań pokora, w której widzi przyczynę zła, przyczynę gnębienia żydostwa:

— Ściany, przeklęte, cierpliwe, przeklęte, głuche ściany... Lękliwi, ślepi, cienni płaczą, tylko my powstajemy, obaczcie — powstajemy! — prorokuje z emfazą Gabaj.

„My“ — to naród — „naród — pan,” który jest powołany do stworzenia nowego życia na gruzach dawnego grzesznego świata, który trzeba do cna zniszczyć, ba, fundamenty nawet jego rozburzyć bez litości:

— Litość do ciemności — wykrzykuje — do serc granitowych? Sprzątnijcie ich — i to będzie waszem miłosierdziem, spalcie ich! — i to będzie waszem dobrem...

Skoro tak uczy Gabaj, nie dziw, że odrzucił naukę Mojżesza z dziesięciorgiem przykazań...

Gabaj nie cofnie się przed niczem. Jemu nie żal ani siebie, ani towarzyszy:

— I jeśli krew się ma polać, to cóż znaczy mały jej potok wobec jej mórz?... — rozumuje.

— Przekleństwo miłosierdziu, przekleństwo litości!.. Przyszła ludzkość zrozumie nas...

Jedyną żądzą, jaka tli w Gabaju, to zniszczenie powszechne, powszechny rozgrom: — „Żyję jednym, jednym dysząc: trzeba zbu-

rzyć wszystko!...“ — „Widzę prześliczny nowy dzień. I serce moje rozpiera dzika, a burzliwa radość...“ Lecz — dodaje — czas iść do boju, gdyż „dopóki wróg nie pobity, nie można o tem myśleć...“ Mało kto jednakowoż przysięgał na ewangelię rewolucyjną. Do nich więc Gabaj mówi z pogardą: — „Boicie się? Cóż wy za ludzie?... Wstańmy przeciw naszym ciemnościom! Rozgniewajmy się na nich, a uciekną od naszego gniewu, od naszej siły...“ „Wysypmy się na ulice, na place, stańmy pod ich oknami z groźbą. Pójdziemy tam i powiemy głośno, czego chcemy, a otrzymamy. Raz jeszcze — rozgniewajmy się! Jeszcze raz! Powstańmy!...“ Haseł takich setki zawierały proklamacye rewolucyjne i hasła te okazały się zwodniczemi...

Przemowy Gabaja rozpalają młodociane serce Miry, która „w tej chwili dałaby się zamęczyć na śmierć, tylko, żeby nastał świt i sprawiedliwość, tylko, żeby te wszystkie domy zniknęły...“ I — właściwe to niedoświadczonemu wiekowi — „pragnie zdziałać coś niecodziennego, chce wszystkich oswobodzić ofiarą z siebie.“ — „Zgadzam się, lecz w tej chwili! Tylko, żeby nie czekać, nie zwłóczyć. Prowadź mnie! pokaż mnie!...“ Nie trzeba chyba wielkiej domyślności, żeby wyrozumieć, o co tu chodzi, o jakie poświęcenie. Mira porzuca nawet swojego narzeczonego, żeby mógł oddać się wyłącznie Gabajowi: — „Ot, ziemia zła. Stoję na niej i widzę ziemię prześliczną. Chcę do niej pójść. I jak do niej dostać się? Przez most, przez most...“ — powiada do swego byłego narzeczonego Symchy. Tym mostem jest w jej oczach Gabaj.

A siostra jej, Nachame, żona robotnika Miny, umie tylko przeklinać: — „Przeklinam ich! Wszystkich, siedzących w ciepłe i sytych, przeklinam! Przeklinam władzę! Przeklinam tych zimnych, zadowolonych, co siedzą na naszych plecach!... Oby jedzący zadławił się! Oby bogaty umarł na tem miejscu, na którym stoi, leży, lub po którym chodzi!...“ Straciła całkiem wiarę w Boga Mojżeszowego, to też mu bluźni: — „Jak możesz ty żądać sprawiedliwego życia, spokoju, błogosławieństwa swoich dzieł? Tyś oszust nieszczęsny. Sto razy wrzuć mnie w swoje piekło, a dusza moja nie podda się!...“

Takimi przedstawiają się ideowi bohaterowie dramatu Juszkiewicza. Ich hasłem — negacya życia...

Dla tem wydatniejszej charakterystyki poglądów pisarza nie od rzeczy będzie wspomnieć o jednej z jego nowelek (rozpatrywanie wszystkich byłoby próżną stratą czasu i miejsca), p. t. „*Trzy cmentarze*“, drukowanej w „*Żurnale dla wsiach*.“ W noweli tej zostali przedstawieni bohaterowie społecznego Izraela, jako ofiary

niewinne Chrześcijan-Kannibalów, dla których sam widok piękności duszy żydowskiej staje się powodem masowych morderstw. Oto! gdzie powinien zły i zepsuty chrześcijański świat szukać zbawienia!...

*

*

*

Albo ów Skitalec ze swoimi „Ogarkami?!...“ To nowa formacja „bosiactwa“ literackiego. I — kto wie, czy, gdyby Skitalec nie był nabawił się od Gorkiego manii wielkości, Rosya nie byłaby z czasem miała w nim drugiego Lewitowa, drugiego rosyjskiego Dickensa?... Owa *mania grandiosa* przenika nietylko samego autora. Przeszła ona i na jego bohaterów.

Akcyja rozgrywa się nad Wołgą, w pamiętnym roku cholery. Powietrze wokół zarażone śmiercią. Miasto, w którym mieszkają i działają bohaterowie powieści, ma typowo-nadwołżański wygląd. Wszyscy żyją z obawą w sercu przed groźącą śmiercią. Ulicznych krzyków i przekleństw nie słyhać. Miasto otrzeźwiało...

W tymże czasie żyli tam wesoło młodzieńcy, których ogół nazywał „ogarkami.“ Zespolicili się w „bractwo,“ liczące około dziesięciu osób. Przewódca Ilja Tołstij był „wypędzony ze wszystkich uniwersytetów rosyjskich;“ najlepszy przyjaciel jego Saszka — z moskiewskiej piotrowskiej Akademii; trzeci, przezwany „Nowogrodzem,“ był też wydalony ze wszystkich uniwersytetów; czwarty, śpiewak chóru cerkiewnego, Siewierowostokow — z szóstej klasy seminaryum; piąty, ślusarz Michelson — został wysłany z Petersburga za nieprawomyślność polityczną; szósty, Piskra, był dezertorem austriackim... Mieszkała ta zacna kompania u liściowej baby Pawlichy i żyła szumnie, krzykliwie, wesoło, ale bezpiecznie. Wszyscy byli, jako ptacy niebiescy: pili homerycznie, ale też śmiać się potrafili homerycznie. I nie zwracali najmniejszej uwagi na grasującą tuż obok nich cholera, która zabierała setki ludzi.

— Ogarki wy nieszczęsne! — nawiała baba Pawlichy, kiwając smutnie głową — kiedyż przestaniecie chlać tę przeklętą wódkę?...

A im śmiech tylko był w głowie i troska, skąd wydestać pieniądze na drugą butelkę wódki. Takim życiem żyli dzień po dniu. Rozmaitości mieli mało. Chyba wówczas, gdy który z nich

wydostał pieniądze za przepisywanie, wyrabianie zadań gimnazjalistom lub rozwiązywanie zadań egzaminacyjnych, kompania zrywała ze zwyczajem i poszedłszy nad brzeg Wołgi, piła, śmiała się i śpiewała tak, że jej głosy można było słyszeć na drugim brzegu rzeki. Następnego dnia znowu szarzyzna życia...

Takie jest ogólne tło powieści. A teraz dajmy głos samymże bohaterom:

„My ogarki, dzieci biedaków, dyakonów, majstrów, chłopów, kucharek, *czort woźmi!* Cynizm zasad naszego istnienia bez spodni (*gołosztannawo*) ignoruje całkowicie wszystkie teorye abstrakcyjne, tak, jak teoria nas ignoruje! *Ale w żyłach naszych płynie krew narodu, zdrowa krew ludu robotniczego!* Życie wypędziło nas, lecz nie zginiemy! Czas wykaże wartość każdego z nas!... Z dołu wspinamy się na sam szczyt fali!... Znajdziemy pole dla siebie, *podniesiemy nasz sztandar i będziemy trzymali go odważnie!*...”

„Z głębi życia narodowego—mówi w innem miejscu literat Niebezizwiestnyj—wstaje fala za falą, świeże, przebudzone siły i już niedaleki ten czas, kiedy te siły ożywią więdnące życie, staną się jego panami i hucznie rozbrzmi ich głos. Już idą... *Przyjdą ogarki i wypędzą trutni precz z życia!*...”

Tak przedstawia p. Skitalec „świeżą, zdrową krew narodu!...” Krew ta ma ożywić życie społeczeństwa. Ożywienie to rozumie p. Skitalec na swój sposób:

„Po paru latach, gdy przyszła wielka rewolucya rosyjska, ogarki wypełnili swoje przyrzeczenie. Rozwinęli sztandar, trzymali go silnie i—znaleźli dla siebie pole...”

Skitalec idealizować umie tłumy nawet. Całą uwagę skupia na masach: „*Oktawa*“ jego—to chór; „*Tiurma*“—aresztanci; „*Połowy sąd*“ — włościanie. Wszystko to dzikie, jakby szałem pijanym ogarnięte. Nie śpiewak — tylko chór; nie więzień — tylko mnóstwo więźniów; nie chłop—ale gromada chłopów!... Skitalec rozumie tylko psychologię tłumów. Jednostka jest dla niego czemś zupełnie obcem. Ale tłum to szalejący, zdziczały, zrozpaczony, zdecydowany na wszystko, rozgorzały namiętnością zemsty i krwi, tłum, co zacisnąwszy pięście, wygraża zawzięcie, obcesowo, urojonej marze, która mu zagraża drogę rzekomą do szczęścia prawdziwego. I ma się czasami wrażenie, jakby przed tym tłumem stał niewidzialny Skitalec i wiódł go do mordów przy łunie krwawej pożarów. Krwi! krwi, i jeszcze raz krwi!...

I ten Skitalec, obdarzony niewątpliwym talentem pisarskim, posiadający wszystkie dane, żeby zostać twórcą niepośledniej miary, schodzi w literaturze do rzędu pospolitych chwalców ohydy,

polujących na tanie efekty. Czemuż jednak głos jego niezdolny jest poruszyć mas szerokich, pobudzić ich do czynu, czemu hasła, głoszone przezeń, nie znajdują odzewu w tłumach?... Odpowiedź łatwa. Bo tłumom brak tych wszystkich cech, jakie mają bohaterowie Skitalca, bo nie ma w nich odwagi, ani przejęcia się idea. Wszystkie te szumne hasła, jakie od czasu do czasu wywieszają na swoich sztandarach, to liczmany bezwartościowe, mające tylko pozory rzetelności.

*

*

*

Arcybaszewa znowu pozwoliłbym sobie nazwać burżuazyjnym piewcą rewolucji. Duch przewrotu nie wypowiedział się jeszcze w całej pełni przez jego usta.

W bohaterze „*Krwawego sztandaru*“ wiele życia, wiele młodości. Kipi tem życiem i miejscowość, rewolucyjna nawskroś, w której odbywa się akcja. Tutaj każdy człowiek—to milczący do czasu rewolucjonista. Typowym przykładem bohater powieści Anisimow, którego psychologię rewolucyjną rozszerzył Arcybaszew najniefortunniej do rozmiarów życiorysu. Stara to maniera, przypominająca wielce „*dworjanskoje gnieздо*“ Turgenjewa.

Cała idea tego tłumu zrewoltowanego i stojącego na pierwszym planie Anisimowa — da się sprowadzić do tego elementarnego pojęcia, które nazywa anatomia — żołądkiem. — „Biednym przyszedł na świat — opowiada Arcybaszew — w strasznej nędzy przeżył swoje dzieciństwo... Był obszarpany, źle obuty, chorowity chłopczyk, typowy syn listonosza, na którym trudy, choroby i bieda rodziców wycisnęła na zawsze swoje piętno... Zawczasu przyszło mu troskać się o chleb...“

To jest, tłumacząc po prostu — cała historia daje się sprowadzić do tego wspólnego mianownika, iż ów rewolucyjny duch protestu, nienawiści i pragnący wolności nieograniczonej oraz walki bezwzględnej z obecnym ustrojem społeczno-państwowym, ma swoje siedlisko w żołądku!...

U Arcybaszewa buntuje się wszystko, na każdym kroku, w każdej chwili i sytuacji.

Buntuje się dusza w imię własnego szczęścia w noweli p. t. „*Bunt*“, protestuje pragnienie wolności i uciech przez usta „*Żony*“, duch tłumu buntuje się masowym rokoszem w noweli „*Užas*“,

w „*Śmierci Landa*“ toczy spór sam autor ze sobą, spór ogromny, bo wyrażający się w proteście myśli przeciw podaniu—to protest, że się tak wyrażę— duszy przeciw tradycji. To nie śmierć studenta Lande, lecz samegoż Arcybaszewa, który kiedyś widocznie zakochał się w teoryach moralistycznych Tołstoja. Protest tu na każdym kroku. U Arcybaszewa wszędzie można odczuć instynkty bojowe, hasła lat ostatnich.

Ale *bohatera* rewolucyjnego stworzyć mu nie udało się. W Anisimowie bowiem można widzieć co najwyżej wybitniejszą jednostkę pośród tłumu głodnych żołądków.

*

*

*

W literaturze rosyjskiej lat ostatnich daje się zauważyć znamieny zwrot. Ideały, głoszone przez Puszkina, doprowadzone do zenitu przez Dostojewskiego, wyrzucono na śmietnik. Dziś niczem słuzenie prawdzie, narodowi, artyzmowi prawdziwemu—to fraszki, to frazesy puste! Było coś, co przypomina chwilę obecną, w szóstym dziesiątku ubiegłego stulecia. Ale też wówczas działo się to z innych powodów, dla całkiem odmiennego celu. Wówczas—pod pozorem rozpraw krytycznych pisano artykuły publicystyczne, ażeby oszukać czujne oko cenzora i pomówić z czytelnikami na temat spraw bieżących. Drogę taką wskazał pierwszy Bielinskij, udoskonalili ją Pisarew i Zajcow.

Kiedy jednakowoż zniesiono cenzurę uprzednią dla całego szeregu wydawnictw, sposobu tego rodzaju pisania zaczęto pilnie wystrzegać się. I jedynie w wypadkach, w których chodziło o kwestye, zabronione całkowicie do omawiania, uciekano się do tak zw. „języka czopowskiego,“ którym tak znakomicie władał Szczedrin-Sałytkow.

W chwili w której cała Europa zachodnia zaczęła rozczytywać się w autorach rosyjskich, społeczeństwo rosyjskie w dzikim zaślepieniu deptało ideały starych mistrzów i wyciągało ręce ku nowym pisarzom, którzy ukazywali mu nowy, niewidzialny dotąd nigdzie i niemożliwy do stworzenia świat. Nie był to świat poniżonych, z którymi Rosya miała sposobność zaznajomić się bodaj z pism takich „*narodników*,“ jak Rieszetnikow lub Gleb Uspienski. Nie był to świat zmęczonej i znudzonej inteligencji, którą malował w swoich powieściach Czechow z uśmiechem żalonym

lekarza na ustach. Ale, jeżeli pierwsi widzieli poniżonych i zgnębionych losem, to przecież ani razu nie rzekli, iż tym właśnie warstwom należy się naczelne miejsce na świecie.

Czechow znowuż wiedział doskonale, że współczesna inteligencja rosyjska nie jest o tyle silna, iżby mogła stworzyć nowe życie. Czechow wmawiał w nią, że za paręset lat życie stanie się lepszem...

A teraz publiczność czytająca rzuciła się w objęcia „bosiactwa!...“

Jak zaznaczyłem na samym początku—ideał „bosiactwa“ nie jest bynajmniej wynalazkiem rosyjskim i w ogólności nie może być uważany za ideał, jako że jest teorią bezwzględnej negacji bytu. Podług Gorkiego należy odrzucić wszelką kulturę oraz zasady, na jakich opiera się państwo i społeczeństwo. Celem zaś życia — dogodzenie bydlęcym instyktom i w tym kierunku nie powinien człowiek spotykać żadnych przeszkód. Tak głosił współczesny Zarathustra rosyjski...

Społeczeństwo zaś, które od dawna zatraciło wiarę, rewolucyonizowane za pomocą książek i broszur agitacyjnych, zasmakować musiało z natury rzeczy samej w utworach Gorkiego, widząc w nich niejako realne urzeczywistnienie tego, o czem marzyło nie od dzisiaj.

Nie darmo Gorkij lubił się nazywać zwiastunem burzy, bo rzeczywiście wniósł rewolucję do literatury pięknej i sam zeszedł ze sceny w chwili, w której pożar rozgorzał. Z pomocą przyszedł mu Andrejew, kreślący typy współczesne, jako nerwowo chore i psychopatologicznie wykoszlawione. Odrzucił wszelkie podstawy religijne, widząc wokół tylko jedno oszustwo, życie zaś traktuje, jako puste i bezwartościowe. Po tych dwu heroldach nowego kierunku w literaturze i ich satelitach w osobach: Juszkiewicza, Skitalca, Arcybaszewa i tylu innych pomniejszych naśladowców, społeczeństwu nie pozostawało nic innego, jak uznać, że najwyższym ideałem człowieka jest zniszczenie i śmierć.

Przejęcie się bezgraniczne ideałami Sawwów wyprowadziło w latach 1905 — 1907 na widownię publiczną setki jednostek, podobnych jota w jotę do mrocznych indywiduów wyidealizowanych przez najmłodszą literaturę rosyjską. A jedynym wyznaniem ich była — zbrodnia pod jakąkolwiek postacią.

Lecz, że z tego naśladownictwa nic nie wykwitnie i nie da owocu — to niewątpliwe!

OBECNY STAN

literatury niemieckiej.

Goethe dał Niemcom pojęcie „literatury światowej,“ romantycy rzecz samą. Dzięki istotnie podziwieniu godnej pracy na polu przekładów z języków obcych, mają oni w swoim własnym wszystko, co w piśmiennictwie całego świata jest najwybitniejszem, od prastarych Ksiąg Vedy do „Popiołów“ Żeromskiego, od wielkich greckich tragedyj do ulicznych piosnek paryskich.

Nie mogło to pozostać bez wpływu na ich umysłowość i na jej odbicie w literaturze pięknej. Niemieccy nacjonalisci ubolewali już dawniej, a dzisiaj z większym jeszcze żalem, że coraz bardziej zatracą się rodzima indywidualność niemiecka, że Niemiec dzisiejszy, oczywiście o ile jest wykształconym, wchłania w siebie idee całego świata, Wschodu i Zachodu, zamierzchłej przeszłości, jak i najświeższej nowości, wszystkim otwiera gościnnie wrota swej duszy, zapełnia ją niemi tak, że dla niego samego, dla jego rodziny miejsca już nie starczy. Z niemieckiego punktu widzenia, skarga jest słuszną, bo tak jest rzeczywiście. Nam, Polakom, od tysiąca lat mającym przed oczyma niemiecką brutalność polityczną, trudno zrazu uwierzyć, by oni byli tak gościnnymi w zakresie literackim. A jednak u nich trzeba koniecznie te dwie dziedziny stanowczo od siebie oddzielić; owszem, chyba tylko prawem stanowczego kontrastu dadzą się one połączyć (np. w okresie największej nienawiści ku Francuzom—najsilniejszy wpływ paryskiej literatury; w dobie wściekłej polonofobii obecnej—niezwykle ożywiony ruch na polu przekładów z języka polskiego). Lecz jeśli skarga niemieckich patryotów jest uzasadnioną, to dla innych narodowości wynika z drugiej strony z tego

stanu rzeczy korzyść. Oto skutek tego chętnego przyjmowania obcych idei, piśmiennictwo niemieckie kaźdoczesne jest pełnym, mozaikowym obrazem wszystkich myśli i uczuć, jakie w danej chwili po rozmaitych kątach całego świata czy to panują, czy choćby tylko nieliczną mają garstkę wyznawców. Ta cecha niemieckiej literatury ma, wiemy o tem dobrze, tylko względną wartość: kto zna języki wszystkich narodów, biorących udział w życiu literackiem, ten oczywiście dokładniej pozna owe różnorodne prądy u ich źródeł, niż w niemieckim rezerwoarze, dokąd dochodzą długimi kanałami; kto ma możność i zdolność studyowania nietylko tego, co tam zagranicą w otwartych halach leży na widoku, lecz i tego, co kryje się w zaułkach i suterenach, ten nie będzie miał ochoty do oglądania plastyczniejszych, ale i grubszych niemieckich kopij; lecz iluż jest takich? Dla olbrzymiej większości mniej szczęśliwych literatura niemiecka jest względnie najlepszym środkiem poznania wszystkich idei, w świecie nurtujących.

Dotychczasowe wywody oświeciły jednak dopiero jedną stronę tamtejszego piśmiennictwa. Może nawet, rzucając na nią silne światło, dały obraz zbyt jaskrawy. Bo z nich wynikałoby, że literatura niemiecka jest wprawdzie bardzo cenną, jako odzwierciedlenie nie-niemieckiej umysłowości, ale jest bez wartości dla tego, kto w piśmiennictwie pewnego narodu szuka odbicia jego indywidualności; innemi słowy, że z powieści, zbioru poezyj, dramatu w niemieckim języku można się dowiedzieć, jakie poglądy istnieją we Francyi i w Australii, lecz niepodobna mieć wyobrażenia nawet o tem, jaką jest właściwie dusza niemiecka. Takie zapatrywanie byłoby błędnem, mimo, że nie możemy go obalić jednym jedynem słowem: „tak nie jest,“ tylko potrzebujemy obszerniejszego wyjaśnienia, jak rzeczywiście jest.

Bo co to jest dusza niemiecka? Śmiem twierdzić, że znam Niemców z długoletniego czytania ich drukowanego słowa, z licznych tam znajomości, z kilkakrotnych po Niemczech podróży (i ten artykuł piszę nad Renem)— a jednak nie wiem, jaką jest dusza niemiecka, wątpię nawet, czy ona istnieje wogóle. Rok 1870—71, dzięki awanturniczej żyłce Napoleona III i Eugenii, odnowił niemieckie cesarstwo i odtąd Niemcy mają jedność państwową i narodowo-polityczną; tę mają—mimo, że niektórym naszym domorosłym politykom zdaje się, że bawarczycy ładu dzień zrzucą z siebie berlińskie jarzmo, a hanowerczycy po cichu ostrzą miecze ku rewindykacyi praw dynastyi Welfów. Nie, to złudzenie: bawarczykom wystarczają zupełnie odrębne marki pocztowe, a hanowerczycy do dziś dnia nie mogą wybaczyć królowi Jerze-

mu V, że w r. 1866 oświadczył się za Austryą. Jedność państwowa jest więc, i jest nazawsze utrwaloną; równie silną jest jedność narodowo-polityczna: tego twierdzenia nie potrzeba chyba nawet udowadniać w chwili, gdy dar dla Zeppelina, zebrany ze składek z wszystkich stron państwa niemieckiego, od wszystkich warstw niemieckiego społeczeństwa dochodzi do olbrzymiej sumy milionów. Ale na tem kończy się też jedność niemiecka. Niema, ściśle mówiąc, jedności językowej, bo Niemiec z Alzacyi mówi zupełnie innem narzeczem niż meklemburczyk; a chcąc się porozumieć z sobą uciekają się do języka „niemieckiego,“ którego ani jeden ani drugi w codziennem, rodzinnem życiu nie używa. Tem mniej niema jedności etnograficznej, niema jedności psychicznej. Więc kto w niemieckiej literaturze pięknej szuka obrazu „duszy niemieckiej,“ nie znajdzie go (może łatwiej już w sztuce u Dürrera np. dopatrzeć się pewnej syntezy wspólnych pierwiastków rozmaitych dusz niemieckich).

Zamiast jednej, znajdzie dusz niemieckich wiele, całe mnóstwo. I tutaj znowu ta literatura ma wyjątkową cechę, odróżniającą ją od innych. Prawda: etnograficzne i psychiczne różnice widoczne są np. i we Francyi, gdzie bretończyk odmiennym jest od lotaryńczyka; lecz tam ogólne zcentralizowanie całej francuskiej cywilizacyi zaznaczyło się najwyraźniej w dziedzinie literatury nadobnej, która—z nielicznymi wyjątkami—jest specyficznie paryską. Wprost inaczej było i jest w Niemczech. Tam nie widzi się w literaturze centralistycznych dążeń w epoce politycznego rozbicia; tam niema ich także w teraźniejszym zjednoczeniu państwowem; tam w Berlinie jest tylko berlińska literatura, nie niemiecka kat'exochen, niemiecka tylko w tym stopniu, w jakim niemiecką jest literatura pisana np. w Monachium lub gdzieś na Pomorzu. A zważyć trzeba przytem, że te tak różnorodne obszary państwa niemieckiego wszystkie są kulturalne, że więc powieść nadreńska lub dramat nadbałtycki wcale nie są już *eo ipso* jakinś niższym produktem literackim, jak się rzecz ma czasem np. z hiszpańską literaturą prowincjonalną.

A tak, gdy dzisiaj, na życzenie Redakcyi, mam przedstawić obecny stan niemieckiej literatury pięknej, to jest moim zamiarem pokazać ją z dwóch stron: o ile jest odzwierciedleniem wszechświatowych prądów, oraz ile w niej jest odbicia różnych dusz niemieckich.

Do rozmaitych rozdziałów, rozbijających jednolitość niemiecką, doliczyć trzeba jeszcze jeden. Oto mniej więcej w czternastym stuleciu dokonał się tam na polu literatury rozdział pomiędzy piśmiennictwem ludowem a literaturą klas wykształconych: tanto było zawsze narodowem, ale pozbawionem wyższej wartości artystycznej, ta miała ją, ale bez rodzimej indywidualności. Trwało to kilka wieków, aż czasy Goethego i Schillera zdawały się być sojuszem obu przeciwieństw. A jednak ów rozdział okazał się silniejszym od najpotężniejszych geniuszów poezji: wszak nawet wtedy, gdy Goethe pisał „Ifigenię“ a Schiller „Wallensteina“, nie oni, lecz tacy marni pisarze, jak Kotzebue i Iffland, byli ulubieńcami szerokich warstw publiczności, nie liryki Goethego, ale wiersze Gellerta były na ustach całej masy średniego stanu. I tak jest do dziś dnia. Zapewne podobne zjawisko da się spostrzedz i w innych krajach, ale w tym stopniu nigdzie indziej, w każdym razie nie w Polsce. Gdy u nas Mickiewicz, ten szczyt polskiej poezji, od dziesiątek lat stał się rzeczywiście duchową własnością całego narodu, to w Niemczech ankieta, przeprowadzona przed kilkunastu laty, wydożyła na jaw fakt prawie nie do uwierzenia: oto całe rzesze narodu niemieckiego na wsi nieznały nawet nazwiska Goethego, a zapytane, myślały, że tu chodzi o jaką miejscowość...

Rozpatrując więc dzisiejszy stan niemieckiego piśmiennictwa, trzeba i to uwzględnić. Jest tam cała literatura belletrystyczna ogromnie rozpowszechniona, a nieposiadająca niemal żadnej wartości literackiej. W dwóch kierunkach się ona rozwija: albo posługuje się taniemi a jaskrawemi efektami, opowiada o zbrodniach okropnych i niebiańskich cnotach, o karkołomnej odwadze i szatańskiej złośliwości—albo patryarchalnym obyczajem wszędzie na świecie widzi tylko poczciwość, nad nią się roztkliwia, całe strumienie łez wylewa; innemi słowy: jest albo sensacyjną, albo sentymentalną. Autorów tu wymieniać nie potrzeba, bo jak w pieśni ludowej, nic oni nie znaczą. Ale oba te rodzaje taką się cieszą łaską czytającej publiczności, a zatem i wydawców, że nawet pisarze z pewnym talentem dla rozgłosu i pieniędzy oddają pióra na usługi tej literatury, łącząc dla większej pewności oba rodzaje. Typowym ich przedstawicielem w obecnej chwili jest Edward Stilgebauer. Przed kilku laty wydał czterotomowy romans „Götz Krafft“, osiągnąwszy powodzenie, zbliżone nieco do rozgłosu „Jörn Uhla“ Frenssena. Wtedy jeszcze nie wiedziało się stanowczo, kim jest ten nowy powieściopisarz, można go było jeszcze brać za jakąś wartość artystyczną. Dzisiaj już te złudzenia rozwiane:

Stilgebauera ostatnia książka „Król giełdy“ (Der Börsenkönig) napiętnowała go na zawsze jako fabrykanta „ludowych“ w złym znaczeniu powieści. Nie można mu nawet przyznać zasługi, jakoby swoją działalnością rzucił złote mosty ponad przepaścią, dzielącą ludowe masy od wykształconych kół. Przeciwnie: on podtrzymuje nieokrzesanie jednych, osłabia kulturalność drugich, bo tamtym brutalną treść podaje bądź co bądź w zręczniejszej formie i przez to ponętniejszą czyni, tym zaś odbiera swój własny talent i zachęcającym przykładem demoralizuje ich szeregi. Jego grube tomy mają chyba tylko to znaczenie, że są odbiciem dzisiejszego światopoglądu tych warstw, które w Niemczech, jak zresztą w każdym państwie powszechnego prawa głosowania, jeśli nie rządzą, to przynajmniej najgłośniej o sobie mówią w parlamencie i na zgromadzeniach—burżuazyi: więc w teorii pokłon dla „piękna, dobra i prawdy,“ w praktyce banalność, egoizm i obłuda; moralność na ustach, rozwiązłość w życiu; powtarzanie starych, liberalnych hasła w parze z bezmyślną uległością dla junkierskiego rządu; Schiller i Herder w bibliotece, Treitschke i Hartmann w postępowaniu; w niedzielę kazanie w kościele, w tygodniu obojętność dla wszelkiej metafizyki—kto ten obraz oglądać pragnie, niechaj przerzuci karty Stilgebauera.

A jednak nie brak przecież w Niemczech uczciwych usiłowań pogodzenia popularności ze sztuką. Nie w zakresie liryki lub dramatu, które—jak to poniżej przedstawimy—odrębnymi chodzą drogami, ale znowu w dziedzinie romansu. Zaczęło się to przed kilkoma laty, kiedy podniesiono hasło „sztuki rodzimej“ (Heimatkunst). Hasło zbankrutowało, rzecz sama się utrzymała. Wobec scharakteryzowanej już bowiem różnorodności etnograficznej i psychicznej narodu niemieckiego, niepodobna tam na razie myśleć o powieści, któraby mogła przypaść do smaku wszystkim tantejszym czytelnikom, chyba że byłyby to podróże przez cały obszar państwa niemieckiego—od Czarnego Lasu do nizin dolnoniemieckich, od brzegów Renu do gór śląskich. Konieczność popycha więc autorów do zamykania się w granicach ściślejszej ojczyzny. Niechaj więc te stosunki z artystyczną ekspresją przedstawiają, a zyskają poklask przynajmniej jednego, dużego odłamu rodaków, podniosą ich zarazem kulturalnie; że zaś ta kulturalność zawsze ma cechy ogólne, więc przygotowują powoli duchowe zjednoczenie czytelników. W ostatnich czasach usiłowań w tym kierunku nie brak: Klara Viebig (autorka znanego i u nas, bo i o nas mówiącego „Śpiącego wojska“), Karol Conte Scapinelli, Rudolf Greinz—oto może najwybitniejsze nazwiska tej grupy powieścio-

pisarzy. Postępują oni z widoczną, aż nazbyt widoczną, systematycznością. Najprzód starają się dobrać temat, związany ściśle z życiem pewnej części narodu niemieckiego, a jednak nie obojętny i dla całości. Więc pani Viebig dochowuje wierności polsko-niemieckiemu środowisku w Poznańskim i w powieści *Absolvo te* (z r. 1907) odtwarza tantejsze stosunki, lecz i w szerszym zakresie niż w „Śpiącym wojsku“ i, niestety, bez dawniejszej, względnej przynajmniej, przedmiotowości. Bo tutaj już nie chodzi o walkę szczepową na polu ekonomicznym, wymagającą zatem nie roznamiętnienia, ale przeciwnie, trzeźwości; tu — jak często w rzeczywistości — polskość równoznaczną jest z katolicyzmem, niemieckość z protestantyzmem, katolicyzm zaś znówu pani Viebig — i nie ona jedna w Niemczech — identyfikuje z chorobliwym mistycyzmem, wstrętnym dla racjonalistycznego protestantyzmu. A tak romans ten ma dwa oblicza: jedno dla polskich czytelników bezwartościowe, bo będące nie reprodukcją, ale karykaturą polskich stosunków, cenne chyba tylko z tego względu, że dowodzi, jak fałszywie pojmują nas nasi niemieccy sąsiedzi, nawet uczciwi; drugie natomiast oblicze jest już ogromnie ciekawe. Oto *Absolvo te*, będąc w materalnej akcji prowincjonalną powieścią, w zasadniczej myśli jest ogólnie niemiecką. Tą ideą jest nawpół pogardliwe, nawpół nienawistne odparcie tego, co się, mniejsza o to słusznie czy fałszywie, nazywa mistycyzmem. I tu trzeba sięgnąć nieco dalej i głębiej, niżby wymagało zwykle sprawozdanie z tuzinkowego ostatecznie romansu.

Od lat kilku w Niemczech objawia się zwrot ku mistycyzmowi. Nie stamtąd ta myśl pierwotnie wyszła. Kto chce być u kolebki neomistycyzmu, musi pójść bądź do Francji, bądź do Skandynawii; ale w Niemczech, jak nigdzie, ten ruch się wzmógł, trwa do dziś dnia, zdaje się być dopiero w środku swego rozwoju. Inne pióro zdawało na tem miejscu sprawę z nowych wydawnictw starych mistyków (zwłaszcza posiadającej na tem polu ogromną zasługę jenajskiej firmy Eugeniusza Diederichsa). O wpływie tego neomistycyzmu na literaturę nadobną będzie jeszcze mowa, gdy przyjdzie kolej na egotyczniejsze powieści, tutaj trzeba zaznaczyć, jak i na tem polu odbywa się scharakteryzowana już powyżej walka szerszego grona wysoko wykształconych wybranych jednostek z masą mniej kulturalną, lecz bardziej narodową. Przeciw garstce neomistyków staje zwarta falanga trzeźwych: zwalczają ich z narodowego stanowiska, bo chociaż Mistrz Eckehart był Niemcem, chociaż mistycyzm przeważnie nie cieszył się poparciem Rzymu, to uchodzi on w popularnem mniemaniu

za „welsche Krankheit;“ zwalczają go z praktyczno-politycznego stanowiska, co już jest zrozumiałem, bo oczywiście neomistyk nigdy nie podda się materialistycznemu imperatywowi, rządzącemu dzisiaj w Niemczech, tak w domu, jak w państwie. Tę walkę po kobiecemu, więc może z mniejszą zręcznością, ale napewno z większą zapalczliwością toczy i Klara Viebig w *Absolve te* na gruncie poznańskim, ale przypadkowo tylko, bo jej terenem są teraz całe Niemcy: Werner van Oestéren niedawno w dwóch tomach *Christus nicht Jesus* zwrócił atak przeciw wszechpotężnemu zakonowi Jezuitów, Rudolf Greinz zaś w „Zapadłym kącie“ (Das stille Nest) nadaje problemowi zabarwienie tyrolskie, a Karol Conte Scapinelli w *Feakach* zarzuca Wiedeńczykom, że są dla tych spraw obojętni (choć wiedeński pisarz Maks Burckhard, eks-dyrektor cesarskiego teatru, kruszy kopię na „klerykalizmie,“ to w powieściach, to w dramatach, to wreszcie co niedziela w sążnistych artykułach *Neue Freie Presse*). Artystyczny wynik jest przeważnie błahy, z jednym wyjątkiem owej tyrolskiej powieści: ten piękny kraj przez obcych aż do ostatnich czasów mało zwiedzany, za naszych dni w turystyce zyskuje wzięcie, w literaturze pięknej zaś nie wydał wprawdzie dotąd talentu bodaj w przybliżeniu równego średniowiecznemu Walterowi z Vogelweide, gdzieś w okolicy Bozen, ale przynajmniej dostarcza wdzięcznych a niewyzyskanych jeszcze motywów i dzisiaj niewątpliwie kroczy na czele niemieckiej „sztuki rodzinnej,“ dopędzając bawarskie obrazy głośnego Ludwika Thomy, styryjskie jeszcze sławniejszego Piotra Roseggera.

Wykwintniejsze wymagania estetyczne na razie jednak tutaj jeszcze zaspokojenia nie znajdują. Idąc w naszym przeglądzie od nizin sensacyjno-sentymentalnych powieści w górę, ku prawdziwej sztuce, zatrzymujemy się teraz przy dalszym etapie. Jest on nawszkroś niemieckim, dzisiaj przynajmniej, o ile chodzi o jego zasadniczy plan. Prawda, w osmnastym stuleciu i przed nim nawet z Anglii i z Francji wychodziły pierwsze psychologiczno-pedagogiczne romanse, zajmujące się nie opowiadaniem jakiejś jednolitej, w sobie zamkniętej fabuły, lecz przedstawieniem duchowego rozwoju jednostki na danym tle, w pochodzie długich lat życia, czasem od wczesnej młodości aż do późnego wieku dojrzałego. Ale już wówczas Niemcy rękami Wielanda, a później Goethego, skwapliwie chwycili za ten rodzaj literacki, bo to przecież naród pedagogów, złych i dobrych, zawsze jednak z wewnętrzznego popędu. Romantyzm miał się także chętnie tego pedagogicznego romansu, nie tyle z dydaktycznej strony, ile z zamiłowania do stawiania jednostki w ognisku wszystkich spraw tego świata;

realistyczna epoka zarzuciła go równie, jak i nowsza naturalistyczna, bo ona przeciwnie w lesie społecznym poszczególnych drzew widzieć nie chciała. Teraz ów typowy „Bildungsroman“ odżywa, snując dalej nie romantycznej tradycji, posiłkując się także zdobyczami nowoczesnej psychologii. Pedagogiczna tendencja występuje wprawdzie także, ale w jaskrawo odmiennym sposobie. Wszystkie te powieści bowiem, ile ich jest—a jest ich bez liku—wypowiadają namiętną walkę, jeśli nie szkole i szkolnemu wychowaniu w ogólności, to przynajmniej dzisiejszej szkole. Jest cała obfita bardzo, a czasem także artystycznie cenna literatura, i dramatyczna i powieściowa, wołająca głośne *j'accuse* przeciw dzisiejszej niemieckiej szkole, potępiająca ją gwałtownymi oskarżeniami, wyśmiewająca bezlitosnem szyderstwem—niestety negatywna tylko, bo mówiąca, że jest źle, ale nie, jak ma być, żeby było lepiej. Franka Wedekinda dramat „Obudzenie się wiosny“ (Frühlings Erwachen) to najkrzykliwszy, Hermana Hessego powieść „Unterm Rad“ (Pod kołem) to najbardziej wzruszający i najartyściejszy objaw tej belletrystycznej walki przeciw dzisiejszej szkole, a najnowszych reform na polu niemieckiego szkolnictwa (nawet w zatęchłej Austrii) nie można wprawdzie uważać za bezpośredni skutek owych powieści i dramatów, lecz z drugiej strony musi się w nich widzieć rezultat powszechnego niezadowolenia, którego zrazu obrazem tylko, a później także i podniętą była ta antiszkolna literatura nadobna.

Hessego utwór wyróżnia się głównie szczerym, a głębokim liryzmem, niewidocznym zresztą w innych powieściach tej kategorii. Daleko więcej mają go romanse psychologiczne, pozbawione bezpośredniej pedagogicznej tendencji. Owszem, ten liryzm jest znakomitą przeciwwagą i poważnej niewątpliwie, lecz bądź co bądź nieco suchej analizy psychologicznej, i również niezbyt ożywczego dydaktycznego utylitaryzmu. I tutaj właśnie, w powieściach, jak *Semper, młodzieniec* Ottona Ernsta, lub *Piotr Camenzind* wspomnianego już Hessego, widzimy po raz pierwszy dobroczynny wpływ odnowionych tradycji romantycznych. Doba dzisiejsza, dając władającym niemieckim językiem pierwsze wzorowe wydania Hölderlinów i Novalisów, odczuła ich rzewny i łagodny nastrój liryczny, tem bardziej, że skarłowaciałe nowoczesne pokolenie nie zdolne jest pojąć tych huraganów namiętności, jakie dla nas, patrzących na romantyzm przez pryzmat polskiej, albo francuskiej (V. Hugo), lub wreszcie angielskiej (Byron) poezyi, są typowym objawem owej epoki. Powieść neoromantyczna w dzisiejszej niemieckiej literaturze należy do najpiękniejszych i naj-

charakterystyczniejszych rzeczy. Zwraca uwagę już sama jej forma: bardzo swobodna, nie kępująca się bynajmniej jakimkolwiek architektonicznymi prawidłami — w tym wypadku zupełnie zresztą zgodnie z istotą tego rodzaju, bo wszak życie ludzkie nie idzie również po linii, z planem świadomie nakreślonej — opowieść epicka, przerywana umyślnie często to lirycznymi dygresjami, to nawet dramatycznymi epizodami; jest ona w doskonałym swym kształcie wcieleniem arcyzasady romantycznej sztuki: kunsztownego ładu z pozorami chaosu. Jej bohaterami są zawsze natury romantyczne, więc obce w wirze codziennej walki o byt, zdala także stojące od współczesnych zadań czy to społecznych, czy narodowych, pomnażające skarby własnej duszy, ale nie doprowadzające ich do wspólnego śpichlerza, zatem niemieckie chyba w znaczeniu minionem, a—nie niemieckie, jeśli nie antyniemieckie w dzisiejszym sensie. Oczywiście, w tych warunkach starcie się jednostki z ogółem dla niej zawsze jest katastrofą, bo niemieccy romantycy i neoromantycy nigdy nie mają owej gigantycznej chęci walki, jaka cechuje np. polskich. Stąd smutek tych utworów, artystycznie bezsprzecznie piękny, społecznie i narodowo bezpłodny, może nawet szkodliwy. Smutek szczery u artystów prawdziwych, poza smutku u marnych fuszerów i naśladowców. Wskutek tego często i w Niemczech i szczególnie u obcych, niejednokrotnie taka pogarda dla tych właśnie powieści: artystów jest zawsze mniej niż fuszerów, a fatalizm chce, że przeciętny czytelnik, idąc na lep reklamy, dostaje w rękę marne elukubracje i potem po nich sędzi i o rzetelnych dziełach sztuki.

Ale najwyższego napięcia artyzmu dzisiejszego niemieckiego powieściopisarstwa nie trzeba szukać jeszcze w tych romansach, aczkolwiek często bardzo znamienitych. Jest on w rodzaju innym, poza Niemcami prawie że nieznanym: w noweli. Jest to faktem dla nas osobiście i niezrozumiałym i przykrym, że polski wykształcony ogół z dzisiejszej literatury niemieckiej nie zna tego, co w niej właśnie jest najpiękniejszym, co w niej jest, powiedzmy otwarcie, jedynie pięknem. A przecież nowela niemiecka już dostatecznie długo istnieje, by miała prawo domagać się bodaj tego uznania, którem cieszy się stale wcale nie wybitny dramat. Zdziwię wielu moich, nawet bardzo w Goethem czytanych rodaków, gdy im powiem, że on w noweli jest takim samym arcymistrzem, jak w liryce, a stanowczo większym, niż w dramacie. A potem przyszła romantyczna nowela z *Michałem Kohlhaasem* genialnego Henryka Kleista, jako najcelniejszą perłą,

z nowelami Tiecka, chyba nie gorszymi od Meriméego. Jałowe lata epigonów klasycyzmu i realistów i jej na długo zamknęły usta, z wyjątkiem Storma na północy, Kellera i K. F. Meyera na południu, aż gdy nastał wiek dwudziesty i zakwitł na nowo, „niebieski kwiat“ rozwinęła się i dzisiejsza neoromantyczna nowela. Specyficznie niemieckiego żywiołu w niej co prawda niewiele, wpływ Maupassanta z jednej, Allana Poe'go z drugiej strony wielki, zbyt wielki, aczkolwiek przetrawiony po niemiecku: z uczuciowem pogłębieniem, z podkreśloną powagą sytuacji. Lokalne rozłożenie bardzo charakterystyczne: w Berlinie jej nie ma wcale, jak jej tam nigdy wogóle nie było; w północnych Niemczech, gdzie za czasów realizmu jedynie, dzięki Stormowi, istniała, obecnie, w epoce romantycznego rozmarzenia, także jej nie dojrzy; na południu, w Bawaryi za to i w Austrii, ściśle się jej kwiecista łąka. Ale odmiennie.

W Bawaryi żyje dotychczas nestor niemieckiej nowelistyki, Paweł Heyse. Zapewne, bardzo szanowny pisarz, Alma Tadema nowelistyki, umiłowany dla swej barwności, południowego słońca, renesansowej bujności przez wczorajsze pokolenie, w oczach dzisiejszego, mimo świetnych fajerwerków namiętności, zimny. Więc nie o nim tu mowa, ale o dwóch innych kierunkach bawarskiej nowelistyki, wyszłych z łona dwóch monachijskich czasopism: *Simplicissimus* i *Jugend*. Jeden to na pozór tylko żartobliwy, satyryczny, nieraz zjadliwy. Z tego punktu widzenia my, Polacy, patrzmy i na sławny humorystyczno-artystyczny tygodnik i na jego najprzedniejszą ozdobę Ludwika Thome (piszącego—o ile za obrazę majestatu nie siedzi w więzieniu—w *Simplicissimusie* pod pseudonimem „Peter Schlemihl“, przypominającym sławny fantastyczny utwór romantyka Wojciecha de Chamisso). Sąd jednostronny, więc fałszywy. Prawda i Thoma i jego organ drwią sobie nieraz niemiłosiernie, a jednak on „gryzie sercem“ i ten bezwzględny satyryk jest w gruncie rzeczy—co zresztą u humorystów nie jest bynajmniej rzadkiem zjawiskiem, że wspomnę tu choćby z najnowszych polskich autorów Lemańskiego—ten humorysta jest najczystszej wody romantykiem. Proszę wziąć do ręki ostatni jego tomik p. t. *Małomieszczkańskie opowiadania* (Kleinstadtgeschichten), jakież satyryczne ciągi dostaje każda z tych pociesznych figur, a jednak jak Thoma kocha tych ludzi, jak on (razem z romantykami, mającymi sławną „cześć dla małości“—Andacht für's Kleine) tkliwie odczuwa ich prymitywność, ich oddalenie od współczesnego świata, jak on znienawidziłby ich, gdyby się stali np. otrzaskanymi ze wszystkim berlińczykami, a choćby nawet dziś

już wielkomięskimi monachijczykami!) To jeden kierunek bawarskiej nowelistyki, bo drugim jest krańcowa fantastyczność, groteskowość, przypominająca tak ulubiony w Monachium teatr maryonetek. Jak tam Thoma, tak tutaj Otto Gysae i Gustaw Meyrink prym dzierżą, tworząc dziwaczne opowiadania o wszelkich żywych istotach i martwych przedmiotach, tantym sztywność munnij, tym ludzką żywość nadając, bujając po obłokach, w mgławicach wizyj i halucynacyj ukrywając skrupulatnie przebłytki czy to bystrej obserwacyi, czy niepożytego humoru.

Ponad wszystkiemi góruje jednak różnaitością tonów, kunsztem opowiadania wiedeńska nowelistyka. Chcąc sprowadzić jej wielorakie utwory do możliwie najskromniejszej liczby kategorii, musi się odróżnić dwie: historyczną i psychologiczną. Nowela historyczna wiedeńskich neoromantyków znakomicie wynagradza brak powieści historycznej w Niemczech, nie mającej dzisiaj żadnego przedstawiciela (bo garibaldiowski cykl Rikardy Huch jeszcze, jako nieskończony, nie może być przedmiotem sądu). Już sam wybór tematów świadczy o samodzielności autorów. Zostawiają oni na uboczu wielkie postacie i wypadki dziejowe, po tysiąc razy w historycznym romansie przedstawiane. Gdzie się o nich mówi, to tylko dla spożytkowania ogólnego tła i wydobywania z niego na jaw albo wcale nieznanych, albo mało znanych szczegółów. A w ich doborze widać neoromantyczne upodobania: nigdy nie będą to szczegóły prostolinijne, jasne, przejrzyste, na jeden ton nastrojone, przeciwnie, błądzi się umyślnie w półmroku, dociera się do tajników, oświetlając je tylko o tyle, by czytelnik mógł się w nich rozpatrzyć, lecz nie przeniknąć je do głębi, bo wtedy straciłyby w jego oczach urok tajemniczości, w neoromantyzmie niemniej ulubiony, jak w romantyzmie.

Parę przykładów dla ilustracyi. Więc np. Jakób Wassermann, który przed kilkanaście laty ogłosił *Aleksandra w Babylonie*, śmiałą próbę zmodernizowania starego romansu historycznego, teraz daje trzy nowele pod ogólnym napisem *Siostry*. Po kolei wiek XVI i dwa następne, Hiszpania, Anglia i Francya, a na tem tle trzy kobiety anormalne, chorobliwe: Donna Joanna kastylijska,

1) Bodaj na tem miejscu ostrzegamy zbyt powierzchownych i w miłe rzeczy łatwo wierzących Polaków, by *Simplicissimusa* nie uważali za wroga dzisiejszych Niemiec: on drwi z nich, ale niejako w cztery oczy, ilekroć zaś kto szarpnie się na święty majestat niemieckości, *Simplicissimus* najgłośniej krzyczy: *guarda e passa*.

obłąkana matka Karola V, za życia męża usuwająca się od niego, po jego śmierci z rozkładającym się trupem podróżująca; dwie inne, już nie historyczne osobistości, ale także na dziejowym gruncie postawione, także pełne grozy zagadkowej. Albo inny autor, jeden z najbardziej utalentowanych młodych wiedeńczyków, Feliks Salten: i tu czasy Karola V, z wydobyciem na wierzch tych demonicznych jego pierwiastków, które do dziś dnia tak głęboko odczuwa się na widok portretu monarchy pędzla Tycyana. W tych ramach małe arcydzieło: ponura opowieść, na której streszczenie warto kilka wierszy poświęcić. Młody szlachcic, Waclaw von Rehberg, dążąc na dwór cesarski, by szukać kariery, widzi ciurę obozowego, Kaspra Dinckla, pieszczącego ulubionego konia. Podoba mu się to przywiązanie, i postanawia chłopaka przyjąć do służby. Ale wpadłszy w wir uciech, owych osławionych orgij Karola V, tu z niesłychaną plastyką w skrócie przedstawionych, zapomina o pachółku. I przypomina go sobie dopiero wtedy, gdy już jest zapóźno. Cesarz wyrusza bowiem na wyprawę wojenną; zdenerwowany monarcha popędza niecierpliwie wszystkich, a przechodząc koło wozu, wolno jadącego, konia z całą siłą bije. Kasper cesarza nie zna; jego okrucieństwo oburza go i za chwilę bicz spada na twarz Karola V... Rehberg przerażony czuje się pośrednio winnym: gdyby był o chłopcu pamiętał, wziął go do siebie, nieszczęście nie byłoby się stało. A teraz zuchwalca czeka śmierć. Rycerz błaga monarchę o życie dla niego. Prośba wysłuchana. Obaj, pan i sługa, radują się; wtem siepacze chcą parobka porwać: cesarz darował mu życie, tak—ale za znieważenie majestatu skazał go, już po odejściu rycerza, na ucięcie nosa i ręki... Tego ani chłopiec, ani pan nie zniosą; Waclaw raczej na prośbę Kaspra zabija go z pistoletu, by nie dać go shańbić. A potem zgorzkniały opuszcza obóz, wyrzeka się służby cesarskiej i świetnej w niej przyszłości. Ile prawdziwego tragizmu zawiera to opowiadanie, widać już z samej osnowy; a Salten umie przytem bez nadmiaru słów wyrazić dobitnie ten tragizm, umie także bez martwego balastu zachować historyczny koloryt, a nowela jego (*Herr Wenzel auf Rehberg und sein Knecht Kasper Dinckel*) jest nie tylko drukowana z zachowaniem zewnętrznego wyglądu książek XVI w., ale, co ważniejsza, istotnie historyczną, pięknoscią artystyczną zaś dorównywa niemal nieśmiertelnemu *Michałowi Kohlhaasowi* Kleista.

Może więc nieodpowiednio nazwaliśmy tę grupę nowel historyczną, odróżniając ją od psychologicznej, bo przecież wartość ich właśnie na tem polega, że tak głęboko w duszę ludzką wnikają.

Ale uczyniliśmy to dla uwydatniania ich dziejowego materiału surowego, w drugiej grupie albo nie, albo nieznacznie podmalowanego. Gdy Hugo Salus np. marzy wśród starych cmentarzy i murów stuwieżowej złotej Pragi, to nie z nich on snuje wątek, jeno z własnej neoromantycznej duszy, a tamtymi zabytkami przeszłości, tylko jako stosowniejszymi od nowoczesnego miasta dekoracyami się otacza. Jego zbiór nowel „Niebieskie okno“ (*Das blaue Fenster*) ma jedno miłutkie opowiadanie, charakteryzujące nie samego jedynie autora. Przed wieloma, wieloma laty przybył do Pragi właściciel „budy,“ w której popisywała się syrena, żywa kobieta o rybim ogonie, pływająca w sadzawce. Wśród widzów znajdował się i młody Karol Werkmeister, syn tantejszego kupca, marzyciel, życie tylko z fantastycznej literatury znający. Widział Lalandę i pokochał ją pierwszą miłością czystego młodzieńca. I postanowił uwolnić ją z niewoli srogiego właściciela, zanieść do Wełtawy, wpuścić do rzeki, a samemu popłynąć w łódce i zamieszkać z ukochaną w jakimś morskim pałacu. Jakżeż przykrem było jego rozczarowanie, gdy „syrena“ okazała się ziemską kobietą i to jeszcze zepsutą! Ale widocznie po pewnym czasie przeboleł zawód, bo ożenił się później, jak donoszą zapiski miejskie, z mieszczką praską, miał z nią kilkoro dzieciak, a tylko na pamiątkę dziwnej przygody na ścianie domu, przy ulicy św. Karola w Pradze, umieścił jako godło syrenę. W streszczeniu bajka może być śmieszna, u Salusa jest dziwnie urocza, a jej pogodne rozwiązanie ilustruje wybornie rezygnacyjne kompromisy dzisiejszych neoromantyków. Zostaje im na pociechę wspomnienie i o niem opowiadają, z lekką ironią o niem mówi Salus, o niem także i Artur Schnitzler. Ten głośny swego czasu autor *Miłostek* dzisiaj już na polu dramatycznym zdaje się wyczerpał się, tem wybitniejszemi są za to jego nowele. *Drzemiące dusze* nawet w najzwężlejszym przeglądzie dzisiejszej literatury niemieckiej muszą znaleźć miejsce, bo są pięknym dokumentem neoromantycznej nowelistyki, lubującej się w tematach stojących na pograniczu pomiędzy świadomością a czemś nieznanem i w zależności zapewne od Poego umieją ze świata metafizycznych zagadek wydobyć wiele niekłamanej dramatyczności.

Na tem, komu spieszo w dalszą drogę, można zakończyć oglądanie pierwszej sali w galeryi obecnej niemieckiej beletrystyki. Prawda, wisi tam jeszcze płócien bez liku, czasem nawet porządnie zamalowanych, lecz że one nie różnią się niczem od zwykłych, po całym świecie rozwieszonych obrazów, więc zręczny

turysta pomija je, by tem dokładniej zapamiętać tamte, tylko w tej galeryi się znajdujące.

*

*

*

W drugiej sali są dramaty. I tu ogromna, prawie nadmierna obfitość. To rzecz naturalna, bo scen w Niemczech jest dzisiaj tak wiele, a nawet prowincjonalne mają nieraz ambicyę wystawiania t. zw. *Urpremierem*. Lecz co odrazu w oczy wpada i w kłopot wprawia, to brak oryentacyi w tej drugiej sali. W pierwszej ze względu łatwością można było naprzód oddzielić wybitne obrazy od pośrednich, a potem tamte wybrane ugrupować należyście wedle ich wspólnych wewnętrznych znamion. Tutaj taka praca, konieczna chyba jeszcze bardziej, jest daleko trudniejszą. Z jednej strony ileż dzieł w zasadzie dobrych, skażonych jednak grubemi wadami, ileż na odwrót powszednich z przebłyskami szczerego talentu. A z drugiej strony tych znamienitszych dzieł prawie nic z sobą nie łączy; nie treść, nie styl jest tutaj czerwoną nicią, prowadzącą po nieprzejrzanym korytarzach labiryntu, lecz chyba nazwiska twórców, a ogólniejsze uwagi możliwemi będą dopiero po rozeznaniu się w szczegółach.

Starszą generacyę reprezentuje sam jeden Ernest Wildenbruch, u nas niedoceniony za czasów swojej świetności (na przeszkodzie stanęły prusko-patryotyczne tematy jego sztuk), sceniczny malarz *al fresco* o śmiałym rozmachu pióra. Jego najnowszy dramat *Córka pana na Rabensteinie* („Die Rabeusteinerin“) mówi mniej o artyzmie, więcej o usposobieniu dzisiejszych Niemców; wszak jest tu apoteoza dwóch czynników: raubritterostwa średniowiecznego, wytlómaczonego jako ekonomiczna konieczność obrony rycerstwa przeciw magnatom z jednego, miastom z drugiego boku— i uwielbienie patrycyuszowskiej augsburskiej rodziny Welserów za to, że jeden z nich, wyprawivszy się z licznym poczem w XVI w. do Wenezueli dał w ten sposób początek niemieckiej kolonizacyi handlowej—oba momenty tak zgodne z obecnemi dążeniami i narodu, i rządu niemieckiego. Do starszych także, jeśli nie latami, to temperamentem zaliczyć trzeba Ludwika Fuldg; ale ten, zawsze pożądanym *w teatrze, literaturze* daje co rok pod zmie-

nionym tytułem tę samą łagodną limonadę, w której coraz więcej jest cukru, coraz mniej kwasu.

Jakżeż zresztą winić go o brak ostrzejszego, wyrazistszego smaku, kiedy cała generacja sławnego niegdyś naturalizmu, owi „genialni“ ludzie z Wolnej sceny berlińskiej od lat już szeregu poszli na „burżuazyjny“ obrok. Że tak się stało, to znowu nie jest ich grzechem. Nad istotnym czy rzekomym upadkiem Gerharda Hauptmanna może załamywać ręce tylko doktrynerski estetyk; kto wzorem najznakomitszego dzisiaj historyka niemieckiego teatru, Maksa Martersteiga,¹⁾ na teatr, a więc i na literaturę dramatyczną, patrzy jako na jeden z socyologicznych objawów, ten rozgrzeszy z pewnością Hauptmanna *et consortes*. Żadna dziedzina literatury nie nadaje się tak jak teatr do chwilowych, przemijających rewolucyj, ale żadna też tak szybko nie odtrąca rewolucjonistów w nicość, albo przemienia w spokojnych „burżujów.“ Stąd rewolucye w teatrze będą częste, ale zawsze je będą robili nowi ludzie; stąd także każda literatura ma tylu teatralnych eks-rewolucjonistów, którzy albo sfilistrzeli, albo zapadli się w piasku zapomnienia. Uwzględnwszy wyjątkowy geniusz, nie inną ewolucyę przeszedł Schiller od *Zbójców* do *Wilhelma Tella*, a tembardziej Goethe od *Götza* do... *Naturalnej córki*.

Więc zmienił się, sfilistrzał i Hauptmann,—i to jest naszym zdaniem jedyna zmiana, która się w nim dokonała. Bo o innej, o upadku talentu, tylko z dużemi zastrzeżeniami mówić wolno, a w każdym razie pierwsza rozgłośna jego sztuka, „Przed wschodem słońca,“ talentu miała ani o odrobinę więcej od wyszydzonych i sponiewieranych „Panien z Bischofsbergu“ z r. 1907. Fabuła zwietrzała, zapewne, lecz i tamta z przed ośmnastu laty nie była ostatecznie bardzo świeżą; zmieniły się tylko dekoracye; tam kwestye tak nowoczesne, jak niedola robotników fabrycznych i alkoholizm, tutaj takie zamierzcze, jak gotyki tum w Naumburgu i stara, podaniami otoczona, cysterna; tam, za sceną, bolesny poród, tutaj na scenie romantyczny wieczór przy świetle lamponiów; tam był Ibsen i Schlaf, tutaj... Kotzebue i Musset, w obu razach dziwacznie pomieszani. Że talent Hauptmanna nie upada, tylko zawsze jest dawnym eklektycyzmem, tego dowodzi ostatni jego

¹⁾ Książkę Maksa Martersteiga, „Das Deutsche Theater im neunzehnten Jahrhundert“ (Lipsk, 1904), uważać można snadnie za wzór, jak się takie dzieła pisać powinno.

dramat „Zakładniczka cesarza Karola.“ Pokłony na wszystkie strony: i czołobitność dla historycyzmu przez wprowadzenie potężnej postaci Karola Wielkiego; i zaraz domieszka naturalizmu w zaakcentowaniu, jako płciowe popędy cesarza są podniecone wskutek używania kąpieli akwizgrańskich, i najnowsza moda à la Dehmel czy Wedekind: łączenie w jednej osobie przeczystej dziewczyny i ulicznej ladaczniczki, motyw, który zresztą w tym samym czasie młody utalentowany pisarz, Franciszek Dülberg, także na deski sceniczne wprowadził—w rezultacie powtórzenie historii naszego Kazimierza Wielkiego i Esterki lub hiszpańskiego Alfonsa i „Zydówki z Toledo“ (Grillparzer), ale naturalnie z całym nowoczesnym skomplikowanym aparatem patologicznym.

Inni z plejady naturalistów przedwczorajszej doby doznali podobnego, jak Hauptmann, losu. Maks Halbe np., któremu krytyka wybaczyć nie chce, że kiedyś zachwycała się jego *Młodością*, usiłuje ratować się od zapomnienia, grożąc pięścią i plując w stronę Polaków; ale ta metoda, niegdyś przy *Matce ziemi* tak szczęśliwa, zawiodła go zupełnie przy *Prawdziwem obliczu* i okrzyk: „hej-że na Polaków“ rozlega się obecnie po pustej sali teatralnej. Jeszcze bardziej nerwowo rzuca się Hermann Bahr, pisząc na rok kilka dużych i tuzin małych dramatów, wymyślając najnieprawdopodobniejsze sytuacje, wprowadzając do nich najegzotyczniejsze postacie: Japończyków i Kreolki, niemowy i waryatów, siłąc się na najparadoksalniejsze dowcipy—niestety, z wynikiem w stosunku do nakładu środków znikomo niepokąznym. Że o „małym Hauptmannie“, Jerzym Hirschfeldzie, świat zapomniał, mimo jego corocznych arcydzieł, to pokrótce również zanotować warto.

I doprawdy wzgardzony Hermann Sudermann odbija od tej szarzyzny wcale korzystnie. Współzawodnictwa z Hauptmannem zaprzestał, przynajmniej w danej chwili, a nie mogąc zdobyć się na rzecz bezwzględnie nową, wolał naśladować już samego siebie. Przypomniawszy sobie swój wielki sukces z r. 1896 i na wzór ówczesnego cyklu jednoaktówek *Morituri*, dał teraz *Różę*. Trochę dowolności w tem jest niewątpliwie, bo nie każdy z dramacików róż koniecznie do bytu potrzebuje; lecz pozatem są to drobiazgi bardzo sceniczne, a niezupełnie pozbawione poezji, co prawda trochę dusznej i cieplarnianej. Zwłaszcza w pierwszych z brzegu „Smugach światła“, ostatnim akcie małżeńskiej tragedii. W opuszczonym pałacyku, wśród parku, zepsuty i zniewieściały potomek starożytnego rodu, Pierre, chowa swą kochankę, Julię, z obawy przed jej mężem, mężczyzną o żelaznych mięśniach. Jeszcze się niby to kochają, ale już są trochę sobą znudzeni, on ma już dosyć wybu-

chów jej temperamentu, ona pragnie silniejszych uścisków. Tajemnica nie da się ustrzedz, mąż przyhywa. Oni oboje zrazu drżą na całym ciele z trwogi, lecz gdy widzą, że olbrzym chce rzecz pokojowo załatwić, choćby kosztem własnego ustępstwa, kochankowie nabierają odwagi, śmiałości, nawet zuchwałości. To obudza w nim straszliwy gniew, tak szybko, że zanim oni w zmianie sytuacji się rozpoznali, dokonywa się katastrofa. Julia, uciekając przed mężem, pada martwa na zwiędłe kwiaty róż, Pierre ginie marnie pod ciosem siłacza. W teatrze wrażenie jest silne, w czytaniu znajdzie się chwile szczerzej dramatyczności. A jeśli dwie dalsze jednoaktówki są od tej gorsze, to ostatnia znowu jest bardzo ładnym wznowieniem bajki o czułym młodzianie, który kochając tęsknie nieznaną sobie, „daleką księżniczkę,“ jej właśnie się z tej miłości spowiada.

Bądź co bądź jednak, bardzo niepomysłnym byłby stan dzisiejszej literatury dramatycznej niemieckiej, gdyby zależał od tych starych i starszych autorów. Na szczęście, szczególnie w ostatnich kilku latach, wystąpiło na widownię kilku młodych ludzi, wnosząc i ożywienie, i, co ważniejsza, istotnie pozytywne wartości. I tutaj już można mówić o grupie, bo wszyscy oni, mimo samodzielnych indywidualności, mają pewne wspólne znamiona. I oni, jak młodszy noweliści, są neoromantykami, lecz ze znaczną odmianą. Na innym miejscu określiliśmy raz neoromantyzm, jako romantyzm *plus* dziedzictwo naturalizmu, to znaczy, że neoromantycy, często bezwiednie, mimo całej opozycji do naturalizmu, przesiąkli jednak pewnymi pojęciami naturalizmu, panoszącego się za ich wczesnej młodości, a i dzisiaj jeszcze nie zupełnie wypartego. Otóż neoromantycy powieściowcy tej domieszki naturalizmu mają znacznie mniej, niż neoromantycy dramatyczni. Przyczyna łatwo jest zrozumiała. Najprzód bowiem romantyzm — *n.b.* niemiecki — silniej swego czasu zaznaczył się w noweli, niż w dramacie, więcej pozostawił wzorów nowelistycznych niż dramatycznych; na odwrót zaś naturalizm — znowu o niemieckim tylko oczywiście mówimy — przedewszystkiem opanował scenę; powtórę zaś zmysłowy charakter dramatu nie dopuszcza samych mgieł i nastrojów romantycznych, domaga się konkretniejszego, realnego żywiołu, a od realizmu do naturalizmu droga jest w teorii bardzo daleka, w praktyce bardzo bliska. Wobec tej proporcji romantycznych i naturalistycznych składników dramat neoromantyczny nie może być harmonijny, przeciwnie, jest tylko niewyklarowaną mieszaniną, psychologicznie dla tego niezmiernie pociągającą, artystycznie niejednolitą. Najlepszym zaś paradygmatem te-

go neoromantycznego dramatu jest opracowywanie problemów erotycznych, naturalnie zgodnie z zasadniczym charakterem romantyzmu, obserwowanie pod tym względem nie mężczyzny, lecz kobiety, szczególnie kobiety dopiero rozwijającej się, zatem dziewczęcia. Wszak jedyny wielki dramaturg niemieckiego romantyzmu z przed stu lat, Henryk Klei, w *Kasi z Heilbronn* także w tajniki tego zagadnienia się zapisał — i zabłąkał.

Więc już była mowa i o rozpustnie-dziewiczej zakładnicze Karola Wielkiego, przez Hauptmanna wynysłonej, i o Dülberga *Naszynniku koralowym* z podobną bohaterką, a dodać trzeba jeszcze dzieło Schaloma Ascha, Żyda, i po hebrajsku i po polsku piszącego, ale przedewszystkiem do niemieckiej literatury należącego. W jego *Bogu zemsty* mieszanina romantyzmu i naturalizmu jest tak jaskrawą, że aż niekiedy nieznośną. Bo akcja odbywa się w domu, którego parter oddany jest na targ przedajnej miłości, pierwsze piętro zaś poświęcane kultowi starozakonnej thory: ojciec na rozpucie zarabia, ale córka ma pozostać cnotliwą dziewicą. Że naturalnie nią nie zostaje, że pokusie ulega, to zapewne dość powszedni koniec konfliktu, ale jego przeprowadzenie już jest charakterystycznym dla reprezentowanego przez Ascha kierunku. Autor w rok potem na mniej drażliwym gruncie złożył nowy dowód niepospolitego talentu: historyczna tragedia o Sabbatai Zewi, zapomnianym dzisiaj, lecz w wieku XVII rozgłośnym żydowskim marzycielu ze Smyrny rodem, technie prawdziwie poetyckim zapałem, w wzorzystą szatę przyobleczonym.

Pomińmy Herberta Eulberga, niewiadomo skąd od lat kilku przez „moderne“ uważanego za mesyasa poezji dramatycznej, mimo, że wszystkie jego dotychczasowe dzieła są tylko przeciętnej wartości. Raczej przedstawmy polskim czytelnikom nie iluzoryczną jakąś wielkość przyszłości, ale prawdziwy, stwierdzony już w teraźniejszości talent Juliusza Bab'a. Dał się najprzód poznać, jako śmiały estetyk i krytyk teatru, w oczach niektórych nawet bezczelny, bo wszak odważył się uderzyć na dramatyczność lirycznych dyalogów Wagnera. Dwoma własnymi dramatami dowiódł, że nietylko w teorii szuka nowych dróg. Może pierwsza sztuka, *Ten drugi*, o tem tak jasno nie mówiła, bo motyw sobowtóra jest już zanadto oklepany, a przeniesienie go w czasy Odrodzenia, przez rozmaitych Schönthanów co najmniej na sto lat w niemieckim dramacie skompromitowanego, rzeczy oczywiście ponętniejszych pozorów nadać nie mogło. Ale już wówczas w zręcznym i poetycznym zarazem operowaniu kontrastem szalonej, pustej zabawy i krwawej tragedji, można się

było dopatrzeć iskry rzetelnego talentu. Następny dramat, *Krew*, (1908) już bez zastrzeżeń jest kapitalnem dziełem sztuki. Problem królewskości, rodowej i indywidualnej, nieraz już bywał przedmiotem dramatu, a Sofoklesa, Szekspira i Ibsena *vestigia terrent*, nie zachęcają. *Bab* jest oryginalnym zewnętrznie w tem, że przeniósł go na grunt kobiecy, wznawiając starą baśń ludową o królownie i jej służebnej. Na średniowiecznem tle skandynawskiem, nadajacem prawdopodobieństwo wielu bajecznym zdarzeniom, wypukła dwie naczelne postaci: królowej Inge, delikatnej latorośli starego rodu, świadomej swego majestatu, lecz niezdolnej stwierdzać go silnemi czynami — i jej służącej Ygrid, zdrowej, męskiej i energicznej, a bezwzględnej przedstawicielki rasy, dobijającej się dopiero społecznego stanowiska. Zmusiwszy swą panią, by przyjęła na siebie rolę sługi, Ygrid zaślubia króla Orta, rządzi śmiało i sprawiedliwie, a gdy lud, podburzony przez zauszników Ingi, głosi ją oszustką, wyzywa dumnie wyrok sądu. Zjeżdża stara królowa Garhoeren, matka Ingi, najprzepyszniejsza postać dramatu: twarda wyznawczyni królewskości, ale tylko z siłą i mocą związanej. I ona wydaje wyrok: Ygridę uznaje za królowę, Inge, zabijającą się z rozpacy na te słowa, za swą córkę. Znakomita budowa dramatu, nieprzerwany rozwój akcji i wewnętrznej i zewnętrznej, ich równoległość, a raczej nierozdzielny związek przyczynowy, oto zalety utworu, szwankującego może w szczegółach, lecz w całości wybijającego się na czoło dzisiejszej niemieckiej literatury dramatycznej.

Zwłaszcza wobec chwilowego, miejmy nadzieję, milczenia Hugona Hofmannsthal'a, jako poety dramatycznego. Od czasów *Edypa i Sfinksa*, tego prześlicznego okazu neoklasycznego dramatu w duchu nowoczesnym, nie wystąpił on z żadnem nowem dziełem scenicznem. Nie przestał jednak pisać, owszem teraz właśnie wychodzą jego czterotomowe „Prozaiczne pisma,“ w których obok przedruków są i nowe rzeczy. O nich tutaj mówimy, bo nie ma zresztą, w Niemczech przynajmniej, drugiego mistrza takiej kunsztownej krytyki artystycznej. Ma ona swój odrębny charakter: jest dziełem człowieka ogromnej kultury literackiej i estetycznej, już nią nawet przesyconego i znużonego; nigdy nie używa barw jaskrawych, wzoruje się raczej na wyblakłych gobelinach, ale rzeczy, o których z wdziękiem opowiada, otacza taką delikatną atmosferą, że jeśli ich zarysów w półmroku nieraz dokładnie nie rozpoznajemy, to treść ich tem głębiej w siebie wczuwamy.

Tu możnaby więc zakończyć przegląd obecnego stanu niemieckiej literatury dramatycznej, zostawiając na uboczu wiele

porządnych, lecz powszednich sztuk, gdyby nie było jeszcze *enfant terrible* tego piśmiennictwa, Franka Wedekinda. Czy jednak ten „zaszczytny“ przydomek i w R. P. 1908 mu się należy? Czy może przeciwnie autor *Ducha ziemi* nie poszedł też ową fatalną, powyżej opisaną drogą rewolucjonistów teatralnych, popadających później w filisterstwo? W pierwszej chwili brzmi to, jak paradoks. I rzeczywiście, czyja znajomość Wedekinda kończy się na przedostatnim jego utworze, na sławnym czy osławionym „Obudzeniu się wiosny“, ten samo nasze zapytanie uważać będzie *à priori* za niedopuszczalne. Bo tam przecież „zrewolucjonizowanie“ teatru doszło chyba do swego szczytu. Ale zrewolucjonizowanie *sui generis*. Zdarzyło nam się być w dwóch niemieckich miastach na przedstawieniu tej sztuki i to w obu razach w sąsiedztwie młodszej generacji obojga płci. Przedstawienie na scenie było ot takie tuzinkowe, za to publiczność, owa młodociana, trochę tylko starsza od osób dramatu, dawała przedstawienie niezwykle: rozpętanie najniższych ludzkich instynktów, ujawniające się co chwila wybuchami zwierzęcego — nie przesadzam — ryku, lub rozpustnego śmiechu, jaki słyszeć można tylko w „państwie dobrych obyczajów“, gdzie się konfiskuje kartki z Venus Botticellego, a toleruje najwstrętniejsze nory rozpusty. I to właśnie zrobiło „Obudzenie się wiosny“ tak olbrzymio popularnem: że w teatrze, więc w miejscu przyzwoitem, można było bodaj w teorii delektować się tem, do czego w praktyce trzeba szukać podejrzanych, więc zawsze żenujących lokali. Czy Wedekind sam przejął się odrazą do tego widoku, czy uznał, że choćby chciał, „pikantniejszej“ stawy dostarczyć nie potrafi, czy wreszcie wolał niesłabnącemu powodzeniu tego dzieła nie robić konkurencji, dość, że w r. 1908 napisał *Muzykę* z filisterskim, aczkolwiek bez zaprzeczenia rozumnym morałem: by młodzi ludzie, a zwłaszcza panienki, bez istotnego talentu muzycznego, nie chodziły do prywatnych szkół muzyki, bo mogą łatwo z nich wyjść tak samo niemuzykálnymi, lecz już nie panienkami. Ostrzeżenie bardzo trafne, tylko dramatyczna jego ilustracya okropnie nudna, a upstrzenie jej rozmaitemi kryminalistycznymi epizodami tym razem na nic się nie przydało. I, jak obecnie, Wedekind gotów... dla oryginalności złączyć obie drogi eks-rewolucjonistów teatralnych: i sfilistrzeć, i stracić publiczność.

Ratuje się jako aktor. To już oryginalnem bynajmniej nie jest. Tak postępuje cały dzisiejszy dramat niemiecki. Bo jeśli obraz obecnej literatury dramatycznej niemieckiej nie wykazał nadzwyczajnej świetności, to wkraczając na chwilę na poblizkie

pole teatru, godzi się zaznaczyć, iż tutaj Niemcy, w zakresie literatury dramatycznej chwilowo jakby znuzeni, odznaczają się niezwykłym ruchem. Dramat niemiecki jest teraz nieco martwy, teatr niemiecki pełen życia. Próbuje się nowych pomysłów i w budowie gmachów i w inscenizacji, a tegoroczna wystawa monachijska i jej „Teatr artystyczny“ dowodzą, że usiłowania te już obecnie nie są tylko nerwowem szamotaniem się, ale poszczycić się mogą skromnemi, lecz poważnemi wynikami. Skoncentrowaniem sił w tym kierunku tłómaczy się też niewątpliwie mniej po-
kazny rezultat autorskiej twórczości dramatycznej.

*

*

*

Gdy w końcu po powieści i dramacie przychodzi kolej na obecny stan niemieckiej poezji lirycznej, to przypomnieć trzeba z całym naciskiem poprzednie nasze uwagi o rozdziale pomiędzy wybranemi najkulturalniejszymi kołami, a mniej wykształconą masą niemieckiej czytającej publiczności. Ta druga część bowiem swojej liryki dzisiaj wcale niema, a o poezję tamtej znowu wcale nie dba. Jeżeli Niemcom można z polskiego stanowiska wielu rzeczy zazdrościć, to z pewnością nie tej. Stosunki na tem polu są wprost opłakane. Z jednej strony cały średni stan, i w materialnem, i w społecznem, i w kulturalnem znaczeniu, lirykę zupełnie ignoruje: jeśli np. popularne czasopisma w każdym numerze zamieszczają jakiś wierszyk, to czynią to tylko dlatego, że krótsze linie druku dają miejsce na rozmaite arabeski i ozdoby drukarskie, upiększające typograficzną stronę. Redakcye wiedzą jednak doskonale, że tych wierszy nikt nie czyta, to też nie dbają wcale o to, jakie drukują, dobre czy złe, kierują się tylko w najuczciwszym wypadku osobistemi względami. Prawda, młodzi poeci ogłaszają tomiki, nawet tomy swoich wierszy, lecz najprzód za jaką cenę? dziesiątki firm nakładowych, zwłaszcza świeżo powstałych, żyje z tych młodych poetów, którzy drogo okupują zaszczyt ukazania się w książce, nie bacząc, że—nikt ich nie będzie czytał. A ze starymi poetami nie lepiej jest. Tak wybitny

liryk dawniejszej generacyi, jak Gustaw Falke, umarłby z głodu, prawie dosłownie biorąc te straszne wyrazy, gdyby w końcu rodzinne miasto nie ulitowało się nad nim i nie obdarzyło go dożywotnim „honorowym żołdem.“ Ba, wszak taki Ryszard Dehmel, ten najwspanialszy wates niemieckiej poezyi naszej doby, i on nieraz blizkim był najprzykrzejszego niedostatku. Czemu? Bo, z owej zbitej masy niemieckiego ogółu nikt jego książek nie kupuje; cały nakład bądź idzie pod postacią egzemplarzy recenzyjnych do niezliczonego mnóstwa redakcyj czasopism i dzienników, bądź zalega półki księgarskie, a tylko znikomo mała cząsteczka drogą kupna dostaje się do rąk owej kulturalnej „elity.“

A przecież ta poezya niemiecka mogłaby żądać i od swego i od obcego społeczeństwa, by ją poważano, by ją czytano.¹⁾ Geniuszów wielkich niema, ale czyż ma ich obecnie jakakolwiek liryka na świecie. W każdej jednak byłby pożądanym Dehmel, ponury panteista, z przysypanym popiołem, ale od czasu do czasu wybuchającym wulkanem żywiołowych namiętności, zaświatowy, a przytem—czasem sztucznie—posługujący się ultra-nowoczesnemi formami życiowemi, tak, jak niejednokrotnie elementarny swój liryzm wtłacza w obcą formę romańskiej tercyny, on, dusza odwieczna, z prawdziwie germańską pasją zagłębiania się w najzawilsze zagadki bytu i niebytu, z isticie francuskim dekadencjnym przesystem cywilizacyi, on, taki dumny duch, zniżający się nieraz do naiwności dziecinnych piosenek. Lub gdzie nie przyjętoby z otwartemi ramionami Detleva Liliencrona, tę zamaszystą żołnierską naturę, w poezyi także wygrywającą marsza, dziarskiego i smętnego zarazem, jego, równie rozkochanego w grozie wojennej, jak i w trudzie robotników fabrycznych, jego, odczuwającego dramaty ludzkich przecież także serc, bijących pod jaskrawą bluzką dziewczki ulicznej. Której liryki cieplarnianą zapewne, ale dziwnie pociągającą ozdobą nie byłby Stefan George, sobie samemu tylko śpiewający, ziemskim sprawom odbierający zmysłowy kształt, by je wzamian otoczyć łagodnym, mistycznym aromatem, ubarwić delikatnemi przyციennionemi kolorami. A Mombert, gorejący pod skorupą lodu, a stary Spitteler, co dzisiaj dopiero wprawia w zdumienie niepojętą mieszaniną klasycznej mitologii i nowoczesnych

¹⁾ Dawszy prz. „ilkoma laty dokładniejszy przegląd liryki w seryi artykułów o „Zwrocie w modernizmie niemieckim,“ tutaj ograniczamy się do ogólnej charakterystyki, bo od owego czasu nie wiele się na tem polu zmieniło.

uczuc, a Scholz, Bierbaum i tylu tylu innych, oni z pewnością wszędzie indziej większą niż w ojczyźnie skupiliby obok siebie gromadę...

*

*

*

Mówimy tylko o literaturze pięknej, nie o naukowej, nawet i nie o tej, która stoi na pograniczu pomiędzy jedną i drugą, bo w naukowy sposób zajmuje się belletrystyką, o krytyce i estetyce literackiej. Jej należałoby kiedyś osobne poświęcić miejsce, bo przechodzi ona obecnie także czas przejściowy i rychło już może z chaosu wyłonić się nowa myśl. I wtedy dopiero niemiecka literatura piękna skoncentruje się, na miejsce różnorodnych, ale ostatecznie niezbyt silnych objawów, stanie się jednolitym, potężnym posągim. W Polsce byłby Mickiewicz nawet bez Brodzińskiego, w Niemczech nie byłoby Goethego bez Lessinga. Póki tam nowy Lessing nie powstanie, póty niemiecka literatura piękna będzie zawsze tylko mikrokosmem idei całego świata bez wyraźnej osobistej indywidualności. Taką jest dzisiaj i w tem jej znaczenie dla obcych, w tem także jej słabość.

D-R JÓZEF FLACH.

Z dziejów agrarnych Polski.

VI.

Nic dziwnego, że uważając „robotę chłopków“ za największą „intratę,“ wojewoda dużo zebrał w swych notatach wskazówek, mających nauczyć, w jaki sposób można najlepiej wyzyskać to źródło dochodu. „Nauka Urzędnikowi, jako się ma przeciw kmiotkom sprawować,“ stanowiąca „list“ trzeci w naszych „Notatach,“ była niewątpliwie autentyczną instrukcją, jaką wojewoda spisał dla któregoś ze swych urzędników. Oprócz tego wojewoda zebrał razem t. zw. „zapowiedzi,“ t. j. jakby konstytucję, którą wieś otrzymywała od pana. Jeśli dodamy do tego drobne szczegóły, rozrzucone po całym dziełku, dotyczące się stosunku dworu do poddanych, to będziemy mogli otrzymać wcale dokładny obraz praw i obowiązków kmieci wojewody, obraz najzupełniej zgodny z temi archiwalnymi odkryciami, które uchylały nieco zasłonę, pokrywającą przeszłość polskiego włościaństwa.

Kmieć w dobrach wojewody jest dziedzicznym dzierżawcą swej roli, którą Gostomski nazywa dziedziną. Jednakże ostrożny gospodarz uważał za najkorzystniejsze dla siebie t. zw. „zakupieństwo,“ t. j., taką umowę z chłopami, któraby dawała mu prawo rugować ich z zajmowanych siedzib. O ile możemy sądzić z Notat, wojewoda uważał za możliwe korzystać z prawa rugów tylko w tym wypadku, jeśli chłop nie spełnia swych zobowiązań, np. nie uprawia wydzielonej sobie roli.¹⁾ W użytkowaniu nada-

¹⁾ W podgórskiej Kasinie, której ustrój był pod wielu względami zupełnie zgodny z tym, który poznajemy z Notat Gostom., złe gospodarstwo sprowa-

nego sobie gruntu jest kmieć oczywiście silnie skrupowany: nie wolno mu więc dzielić go pomiędzy dziećmi, lecz na go w całości przekazać jednemu tylko synowi. Jedynie tylko kmieciowi, posiadającemu całą włość, pozwala Gostomski rozdzielić ją pomiędzy dwoje dzieci.¹⁾ Oczywiście, niema mowy, by kmieciom wolno było sprzedawać lub poddzierżawiać swe grunta bez pozwolenia dziedzica. Widocznie jednak zdarzało się, że zasiedziałe chłopskie rody zaczęły patrzeć na grunta, jako na swą faktyczną własność i samowolnie je sprzedawały, albowiem wojewoda wspomina o karach, jakim podlegać mają zarówno niefortunni sprzedawcy, jak i nowonabywcy. Chłop, który grunt sprzedawał, powinien był zapłacić dworowi winę, a nadto oddać mu otrzymane za sprzedaż pieniądze. Winę musiał płacić i nabywca, któremu nadto konfiskowano zasiewy, a bynajmniej nie zwracano wyłożonych na kupno pieniędzy. Nawet donioślejszych zmian w swem gospodarstwie nie powinien był robić kmieć bez wiedzy władz dworskich, nie wolno mu więc samowolnie wznosić budynków na zajmowanym gruncie. Oczywiście, w tych wszystkich ograniczeniach, jakim podlegał kmieć wojewody w użytkowaniu ze swych gruntów, nie było nic oryginalnego. Podobnym ograniczeniom ulegali chłopci już wówczas w całej Polsce; podobne ograniczenia w średnich wiekach spotykamy nawet w Anglii,²⁾ a współcześnie ulegali im włościanie przybyłych do Rzeczypospolitej krajów Habsburgów i Hohenzollernów. Oczywiście, chłop Gostomskiego jest przywiązany do udzielonego mu gruntu; a kmiecia, który uciekł ze wsi, należy „brać na łańcuch,” nawet gdyby do wsi sam powrócił.

działo również wyrugowanie z roli. Ulanowski: „Wieś polska pod względem prawnym.“

¹⁾ Lubomirski utrzymywał, że przeprowadzenie zasady niepodzielności gruntów włościańskich, o jakiem tu wspomina Gostomski, nie udawało się nigdzie w Polsce. W rzeczywistości jednak niepodzielność gruntów utrzymała się gdzieś do końca wieku ośmnastego; w ten sposób np. można sobie objaśnić wielką ilość półwłókowych gospodarstw w dobrach Puławskich; obacz moje: „Z dziejów rolnictwa w Polsce,” str. 237.

²⁾ W Anglii poddani siedzący na virgatach lub półvirgatach, odpowiadających mniej więcej naszym włókom i półwłóczkom, musieli je przekazywać w całości najstarszemu, lub najmłodszemu synowi: Seebohm: *The english village community*. Zobacz także: G. F. Knapp: *Die Bauern-Befreiung und der Ursprung der Landarbeiter in den älteren Theilen Preussens*, str. 23, 24; *Handwörterbuch der Staatswissenschaften*. Tom II str. 344.

Nawet „rodziców,” t. j. tych poddanych, którzy zrzekli się gospodarstwa na rzecz dzieci, nie pozwala wojewoda wypuszczać bez specjalnego pozwolenia dworu. Na pierwszy rzut oka wydaje się dziwnem, dla czego wojewoda nie pozwalał opuszczać samowolnie wsi nawet rodzinie kmiecia; niewątpliwie jednak chodziło tu o zapewnienie z jednej strony możności rekrutowania w razie potrzeby czeladzi dla dworu, z drugiej strony poddani kmiecie nie mogliby wypełniać swych obowiązków pańszczyźnianych, gdyby nie trzymali czeladzi, którą znów można było zwerbować tylko z pośród braci i sióstr, względnie ciotek i stryjów ich samych. I pod tym względem chłop polscy nie byli w gorszym położeniu od swych braci z krajów sąsiednich.¹⁾ Na uwagę zasługuje, że wojewoda wspomina o możliwości, iż chłop opuści wieś za wiedzą i pozwoleniem dziedzica; w takim wypadku nakazuje przestrzegać, by pozostawił dawnemu budynki, zasiewy i inwentarz zarówno żywy jak martwy,²⁾ potrzebny do uprawy gruntu, który naówczas uważany był powszechnie za nieodłącznie należący do roli. W rozporządzaniu tym inwentarzem chłop jest tak samo skrępowany, jak we władaniu swą rolą. Wojewoda Anzelm nastaje więc, aby chłopom nie pozwalano sprzedawać samowolnie inwentarza i narzędzi rolniczych, nadto, aby przy podziale majątku kmiecego, synowi, obejmującemu gospodarstwo, dostał się obowiązkowo „sprzężaj dostateczny, tak koński, jak wołowy, krowy, świnie, ptactwo wszelakie, statki wszelakie rolne.“³⁾ Nie wynika

¹⁾ Knapp., str. 24: w roku 1562 w księstwie Opolsko-Raciborskiem postanowiono, iż córki i synowie gospodarzy, o ile niepotrzebni są w rodzicielskiem gospodarstwie, mają służyć dworowi. W roku 1623 postanowienie to rozciągnięto na cały Śląsk i, notabene, w formie, która dawała dziedzicom prawo do zmuszania w razie potrzeby dzieci swych poddanych, by służyły *kmieciom*, potrzebującym czeladzi; zobacz Dessman Günter: *Geschichte der Schlesischen Agrarverfassungen*. Strasburg 1905, str. 78, także Grossmann: *Über die Gutsherrlich bauerlichen Rechtsverhältnisse in der Mark Brandenburg*, str. 33, 36, 37.

²⁾ Not. Gos., str. 27.

³⁾ Not. Gos., str. 29. Na Ślązku postanowieniem Ferdynanda I uzyskał sankcyę prawną zwyczaj nie pozwalający odłączać od roli chłopskiej inwentarza i narzędzi rolniczych. Dessman Günter, str. 59. W Brandeburgii ustawa z roku 1651 postanawia, że po śmierci chłopu bydło i ruchomy majątek zmarłego ma pozostać przy roli; Grossmann: str. 57. Na Rusi Ustawa włókowa (drukowana w „Pamiętniku Kijewskiej Archeograficznej Kommissii“

bynajmniej z tego, aby wojewoda zaprzeczał chłopom prawa posiadania osobistego majątku, lub, jak się to, niestety, później zdarzało, uważał za godziwe zagarniać dobro kmiecia na swą korzyść; chłop może ruchomościami niekoniecznymi do prowadzenia gospodarstwa obdzielić wszystkie swe dzieci; dziedzic w razie śmierci poddanego rości sobie prawo tylko do t. zw. „dzielnego“, którego wysokości nie określa bliżej wojewoda w swych „Notatach.“¹⁾ Co się tyczy wielkości gospodarstwa, to Gostomski za normalne uważa pół do jednej włóki. Jako minimalną „dziedzinę“ uważa taką, którą uprawiając, chłop nie jest zmuszony dokupywać zboża.²⁾ Jako prawidłowy stosunek wielkości folwarku do ogółu gruntów włościańskich, wskazuje Gostomski taki, w którymby chłop zbierał ze swych pól, razem wziętych, więcej o dziesięć, niż pan z ról dworskich³⁾. Lasu własnego chłop Gostomskiego nie posiadają; jak wiemy już, wolno im było w pewne dni brać drzewo na opał, za drzewo budulcowe powinni byli płacić po groszu od wozu; tyleż musieli płacić za rokicinę na płoty⁴⁾. Wojewoda nie broni, aby kto z kmieci zgromadził w swych rękach parę gospodarstw, byleby we wszystkich utrzymywał w porządku budynki⁵⁾. Kmieć u wojewody posiada dość duży majątek ruchomy, bądź to odziedziczony, bądź otrzymany przy pomocy pańskiej „załogi.“ Majątek ten składa się przedewszystkiem z narzędzi rolniczych i inwentarza, którym kmiecie obrabiają grunta swoje, swych ubogich współobywateli zagrodników i po-

tom II i w „Aktach Zapadnoj Rossii“ tom III) stwierdza również nierozzerwalność gospodarstwa z koniecznym do jego obrobienia inwentarzem. Charakterystyczny wyraz łączność roli z majątkiem ruchomym znalazła i w Rumunii w postaci prawa, zabraniającego dziedzicowi odbierać chłopu bydła i narzędzi rolniczych; Handwörterbuch der Staatswissenschaften, tom II, str. 399. W zbadanej przez prof. Ulanowskiego Kasinie, również bydło i narzędzia były nieodłączne od roli (prof. Ulanowski: „Wieś polska pod względem prawnym“).

1) Naśladowca Gostomskiego, Haur, oburzał się na branie przez panów „sukcesyi“ po zmarłych poddanych i proponował, by nawet majątek pozostały po bezdzietnych chłopach, przechodził nie na dziedzica, lecz na kościół, lub szpital: „Ziemiańska generalna Oekonomia“, wydanie z roku 1679, karta 178.

1) Not. Gost.

2) Ibidem, str. 88.

3) Not. Gost., str. 24, 110.

4) Ibidem, str. 27.

la dworskie. Dwór nie posiadał ani za czasów Gostomskiego, ani nawet w końcu wieku XVIII własnych narzędzi rolniczych ¹⁾, to też nie dziwnego, iż wojewoda nakazuje mieć baczenie, by każdy kmieć posiadał „kobyłę i dwa woły, a ze statków wóz, szleje, chomąta, sanie pomosty, widły do gnoju, drabiny do żyta i do siana, do mierzwy, do potrzesa, też nożyce do strzyżenia owiec; do roley pług, radło, jarzmo, bronę; do żniwa sierpy, kosy, osły (osełki), klepasko dla kosy, dla mlócenia cepy; grabie, wór, łopaty, stępe, przetak, siekierę, świder i inne statki potrzebne.“ ²⁾ Rzecz godna uwagi, że cytowany już przez nas tylekrotnie ślązak, ksiądz Grossern, wymienia mniej więcej te same narzędzia rolnicze, jako stanowiące przynależność każdego chłopskiego gospodarstwa z okolic Wrocławia. ³⁾ Pomimo, że wartość inwentarza chłopskiego, jak go nam przedstawia wojewoda, była dość znaczną, uważa on za możliwe, by nowoosiadły chłop w krótkim stosunkowo czasie spłacił dług zaciągnięty na jego nabycie. Pisze mianowicie, że chłop w przeciągu 2 lat powinien spłacić otrzymany na załogę inwentarz pociągowy. Kmieci, którzyby się w ciągu 2 lat nie potrafili zagospodarować, uważa wojewoda za kompletnych niedołęgów, o których próżno radzić. W „Notatach“ Gostomskiego znajdziemy i ciekawe szczegóły, dotyczące się tego, w jaki sposób rządny dziedzic mógł chłopą wyprowadzić z długów, choćby wbrew jego woli i doprowadzić go do posiadania na własność żywego i martwego inwentarza. Chłopa mianowicie, który sam nie umie sobie poradzić, należy przypilnować, aby uprawił swe pole, oczywiście przy pomocy dworskiego sprzężaju, potem uwolnić go od pańszczyzny, by mógł zarobić na utrzymanie siebie i rodziny, zboże zaś, jakie urodzi się na jego polu,

¹⁾ Porównaj moje: „Z dziejów rolnictwa w Polsce.“ Pod tym względem nie lepiej się działo w Czechach. Medlinger, w „Wirtschaftsgeschichte der Domäne Lobositz,“ str. 77, podaje, że w dobrach tych do roku 1780 nie było prawie zupełnie dworskich narzędzi, nie było w budżecie prawie żadnej sumy na ich zakupywanie.

²⁾ Not. Gost., str. 27.

³⁾ Grossen w rozdziale zatytułowanym „Die Numen von der Pawan Werkzeug“ wylicza następujące narzędzia: pług, radło, bronę, wozy, motykę, łopate, grabie, widły do siana, widły do nawozu, widły do podściółki, wielkie widły do wynoszenia nawozu ze stajni, młot drewniany do wbijania klinów w drzewo, taczki, cepy, szuffe, przetak, sito, klepadło z młotkiem do klepania kosy, sierp do trawy, sierp do oziminy, oselki, kosa do sieczkarni, sieczkarnia, „knebel“ i „reiber“.

ma urzędnik zebrać i sprzedać, kiedy drożej, za otrzymane zaś pieniądze kupić dla niego sprzężaj. Wszystkie długi, jakie kmiecie zaciągali we dworze na zagospodarowanie, mają spłacać zbożem, które wielce praktyczny wojewoda zaleca wybierać zaraz po żniwach. Jak wspominaliśmy, Gostomski uważał „robotę chłopków za dochód, abo intratę największe w Polsce“ i nie mało pozostawił szczegółów nauczających, jak najpraktyczniej jest eksploatować pańszczyźniane zobowiązania włościan. Jako człowiek jednak obdarzony zdrowym rozsądkiem, wojewoda rozumiał ¹⁾ doskonale, iż chłop, wyzyskiwany po nad wszelką miarę, nie może się utrzymać na tym stopniu zamożności, poniżej którego nie byłby w stanie spełniać zaciągniętych wobec dworu zobowiązań. „Roboty — pisał wojewoda — ma gospodarz tak szafować, co by kmiotków nie zubożył, a ku większemu pożytkowi w rok przeprowadził.“ Jednakże robocizny, jakie Gostomski uważał za normalne i nie rujnujące kmieci, były bardzo wysokie: wynosiły mianowicie, o ile wnosić można z notat, 208 dni sprzedajnych z gospodarstwa: mianowicie powinni kmiecie w tygodnie, w które przypadał św. Marcin, mający w „Notatach“ naszych wielkie znaczenie, jako ostateczne zamknięcie roku rolniczego, dalej Boże Narodzenie i Zapusty po 2 dni, w czasie żniw przez 2 tygodnie po 6 dni i przez 2 po 5 dni, przez resztę roku po 4 dni tygodniowo. Kmiecie, którzy sprzężaju nie posiadali, odrabiać mieli po 2 dni pieszcy. Jakkolwiek pańszczyzna taka wydaje się nam wysoką, nie należy przypuszczać, by wojewoda był pod tym względem bardziej wymagającym od ogółu ówczesnej polskiej szlachty. Jak wiemy, pół do jednówłóckowe gospodarstwo uważał wojewoda za normalne, a właśnie w królewskich mazowieckich, a zatem w dobrach, w których chłopci znajdowali się w stosunkowo dobrem położeniu, pańszczyzna, wynosząca 104, a nawet 208 dni sprzężajnych z półwłóczka, nie należała bynajmniej do rzadkości ²⁾. Zresztą i po za granicami Rzeczypospolitej pańszczyzny doszły do niebywałej wysokości. W Brandeburgii junkrzy zdobyli sobie

¹⁾ O wysokości pańszczyzn u Gostomskiego poucza nas następująca rada: „Tegodnie, które w królewskich wsiach po dwu dniu robią ś. Marcina, Gdy Miesopusty, rozehód zachować na żniwa cztery niedziele; a zachowawszy te cztery niedziele, to dwie niedziele może na każdy dzień robić we żniwa.“ Not. Gos., str. 96.

²⁾ Naprzykład w Zboniach, Kątach, Przytulaach i t. d. odrabiają kmiecie po 104 dni z półwłóczka, w Mahorzach, Jazdowie, Janowie, Turku i t. d. po 208 dni. Rps. ks. ks. Czartoryskich 3067.

właśnie prawo do wymagania od chłopów pańszczyzny w tym rozmiarze, jaki uznają za stosowny, to też robocizny stają się „plagą egipską“ dla narodu ¹⁾; nawet w metropolii niemieckiej na południu i zachodzie doszły pańszczyzny na początku szesnastego stulecia do niemożliwej wysokości ²⁾. A posłuchajmy, co mówi bezstronny autor, wprawdzie już w siedemnastym piszący stuleciu, Johann Erazm Wegener, autor „Oeconomii Bohemo-Austrjacji“ o stosunkach panujących w Czechach, gdzie chłopci muszą „dzień po dniu chodzić na roboty, a w święta iść do dworu z czynszowemi pieniędzmi.“

Ale wróćmy do Gostomskiego; oczywiście, kmiecie nie mogliby podołać wymaganej przez niego pańszczyźnie, gdyby sami nie posiadali czeladzi, ale właśnie o czeladzi mówi wojewoda, jako o normalnem zjawisku, wymieniając jeden tylko wypadek, w którym gospodarz nie mógłby być zastąpionym przez czeladnika, a mianowicie, gdy chodziło o skazanych na gardło poddanych. Wymagając dużej ilości dni pańszczyźnianych od kmieci, Gostomski radził jednak, by każdy z dziedziców nakreślił sobie taki plan robót, któryby był najmniej uciążliwym dla kmieci. Nie należy więc zmuszać chłopów do robienia „sprzężajem w złą pogodę,“ ani też wczesną wiosną, gdy konie po niedostatecznem, zimowem odkarmieniu są jeszcze chude, nakoniec wszystkie dodatkowe „okoliczne“ roboty mają chłopci odrabiać w jesieni, zimie i na wiosnę, „póki polna robota nie zajdzie, aby im pan nie był ciężki.“ Za jeden z najważniejszych sposobów do ulżenia ciężarowi robocizn, uważa wojewoda równomierne rozłożenie ich pomiędzy wszystkiemi kmieciami. W tym celu wszystkie pola dworskie powinny być wymierzone, co ułatwi podczas robót polnych wyznaczanie wszystkim kmieciom równych kawałków dworskiego pola do obsiania czy obrobienia. ³⁾ Przy robotach pieszych, na przykład przy rąbaniu drew, lub młóceniu, najlepiej będzie, jeśli

¹⁾ Knapp: „Die Bauern Befreiung und der Ursprung der Landarbeiter in den älteren Theilen Preussens,“ str. 41. Kiedy na początku wieku siedemnastego juryści brandebursey orzekli, że zagrodnicy (Kossäten) tylko w nadzwyczajnych wypadkach mają odbywać pańszczyznę w niedzielę, uważano się to już za ustępstwo dla chłopów. Grossmann: „Über die gutsherlich-bauerlichen Rechtsverhältnisse in der Mark Brandenburg,“ str. 43.

²⁾ Knapp, str. 43.

³⁾ Ile można zrobić w każdym folwarku w dzień jeden, zależy to według wojewody od miejscowych warunków, zgodnie z którymi powinni to obmyślić władarze. Str. 93.

każdy kmieć oddzielnie złoży to, co wyrobił, gdyż w ten sposób łatwiejsza będzie kontrola, łatwiejsze dozоровanie, by jedni z kmieci nie opuszczali się w pracy kosztem drugich. Do ułatwienia dozoru prowadzić miał także podział pracujących włościan na dziesiątki: każda dziesiątka powinna była jednocześnie śniadać i jednocześnie brać się do pracy, nawet gdy pięciu chłopów zajętych było przy jakiegokolwiek pracy, należało wyznaczyć z pomiędzy nich jednego starszego, któryby miał nadzór nad pozostałymi. Najsilniejszą kontrolę radził Gostomski roztoczyć również nad tem, aby bogaci kmiecie nie wchodzili w konszachty z ofycyalistami dworskimi i przy pomocy przekupstwa nie wykręcali się od robocizn i przewodów, aby nie zrzucali ich na barki uboższych sąsiadów. Niewyczerpany jest prawdziwie Gostomski we wskazówkach, dotyczących się możliwie intensywnego wyzyskania tej równomiernie rozłożonej pańszczyzny. Chłop więc ma pracować dla pana z taką samą sumiennością, jak dla siebie. Nie wolno mu wychodzić na pańską rolę ze sprzężajem gorszym od tego, przy którego pomocy obrabia swoje własne pole. Jeśli każą kmieciowi wozić rzeczy pańskie, ma na wóz układać jak najwięcej: np. chrust ma wozić na drabiniastym wozie, jako pojemniejszym; nigdy nie ma jeździć z pustym wozem; jeśli np. powiezie na pole nawóz, ma z powrotem przywieźć furę kamieni. Do wszelkich robót mają się chłopci zjawiać o świcie; chłop, który przyjdzie, czy przyjedzie za późno do roboty, ma otrzymać chłostę i pół dnia dodatkowej pracy. Od wyznaczonej roboty nie wolno się chłopu wykręcać. Jeżeli chłop, pomimo wezwania, na robotę się nie zjawi, należy dom jego zamknąć, a za każdą razą, gdy z niego wyjdzie, ma otrzymać „cztery plagi na gołe ciało.“ W razie absolutnej niemożności zjawienia się do pracy, powinien chłop zawiadomić o tem dwór, przedstawivszy przyczyny, jakie zmuszają go do uchylenia się od swego obowiązku. Jeżeli jednakże pokaże się, że przyczyny, podane przez chłopą, były fałszywe, to należy go, puścić na praszczęta i kazać wszystkim chłopom po trzykroć zaciąć.“ Wzywianie całej gromady do ukarania kmiecia, uchylającego się od roboty, nie powinno nas dziwić: kmiecie sami byli strawni, gdy jeden z nich wykręcał się od pańszczyzny, albowiem w takim wypadku musieli odrabiać za niego, to też niewątpliwie nie było ich trudno nakłonić do ukarania leniwego sąsiada. Zaznaczaliśmy już, że za normalną pańszczyznę uważał Gostomski dzień ciągły, t. j. wożenie, oranie lub bronowanie, oprócz niej istnieje, jak wiemy, pańszczyzna piesza, do której obowiązani są zawsze kmiecie, nie mający sprzężaju, tudzież w razie potrzeby,

np. w złą pogodę, nawet i zamożni gospodarze. Roboty, do których Gostomski zalecał używać pieszej pańszczyzny, były bardzo różnorodne: oprócz robót polnych, rąbania drzew, młócenia, wymiatania ze stajni nawozu, wymienia wojewoda wiązanie gardliny, „lochowanie“ słupów, ciosanie dylów, budowanie „statków rzecznych,“ nawet robienie gwoździ i gontów. W pieszych robotach polnych uczestniczyły i niższe kategorye wiejskiej ludności, nie posiadające roli, a więc rzemieślnicy, komornicy, chałupnicy, tudzież karczmarze, młynarze i ogrodnicy. Ile dni w roku każda z tych kategoryj wiejskiej ludności miała pracować dla dworu, nie wspomina nigdzie wojewoda, mówi jedynie, że wszystkie powinny przez 10 dni znać dla pana, a pleć mają „więcej niż oracze.“ Poza „dniami,“ t. j. robotami, wykonywanymi w owe 4 dni na tydzień, chłopci u Gostomskiego zobowiązani są jeszcze do całego szeregu wszelkiego rodzaju świadczeń, a więc dają dworowi podwoły, dostarczają mu kolejno stróży, nakoniec przędą dla dworu; cały len, czytamy w naszym źródle, należy rozdzielić pomiędzy chłopów, by go uprzedły ich żony i córki; w każdym też domu kmiecym mają się znajdować narzędzia, potrzebne do przędzenia, a więc międlnica, szczotki, kądziel, przęślica, motowidła, zwijadła, kocioł, kijanka i t. d. Prząść pańskie powinny „kmiotówny“ w długie zimowe wieczory, zanim zabiorą się do swego własnego lnu. Jak uciążliwe dla kmieci musiały być te roboty, świadczy chociażby fakt, że, jak powiada sam wojewoda, przędzenie pańskiej przędzy powinno kmiotówkom zająć całe pół roku. Chociaż Gostomski główny nacisk kładzie na dostarczanie przez chłopów robocizn, nie zapomina naturalnie o czynszach i daninach, które przed rozwinięciem folwarcznej gospodarki stanowiły prawie jedyne obowiązki kmieci względem pana. Nie wspomina, jaki czynsz jest zdaniem jego najwłaściwszy, wzmiankuje tylko, że chłopci powinni zarówno czynsze pieniężne, jak i daniny w naturze: sery, drób, jaja, dalej spy zbożowe w owsie, w życie, pszenicy składać dworowi na Ś-ty Marcin. Chłopci, którzy się opóźnili z dostarczaniem czynszów i danin, powinni wnieść je w ilości podwójnej. Z wielką przebiegłością radzi wojewoda przy wybieraniu od chłopów wszelkiego rodzaju opłat, czy to w naturze, czy też w pieniądzu, zaczynać zawsze od najbiedniejszych kmieci w każdym siole; chłopci bowiem zamożniejsi, dłużej trzymają w domu zarówno, jak i zarobione pieniądze.

Wieś polska w wieku szesnastym była jak wiadomo już kompletnem państwem w państwie; w ten sposób przedstawia się nam ona i w notatach pozostałych po Gostomskich. Staraliśmy

się wykazać, że polityka gospodarcza tych państw-wsi, przynajmniej, o ile one należały do wojewody, była czysto merkantylistyczna. Ale system merkantylistyczny, niedarmo noszący także imię systemu *policyjnego* nadzoru władzy monarszej nad dobrem obywateli („System der Landesfürstlichen Wohlstandpolizei“), nie mógł nigdy nie powstać bez decydującego wpływu na całe życie społeczne organizmu, nad którym zapanował. Merkantylizm szedł wszędzie w parze ze ścisłą reglamentacją całego życia obywateli, prowadził zawsze do wytworzenia tak zwanego „policyjnego państwa.“ Tak działo się i we wsi polskiej, tak ją poznajemy zarówno z naszego źródła, jak i z badań archiwalnych, tak działo się jednocześnie w Brandeburgii, na Ślązku, w Czechach, wszędzie gdzie wieś wyodrębniła się w oddzielną ekonomiczną i polityczną jednostkę. Pan polski, czeski, czy wschodnio-niemiecki wieku szesnastego, czy siedemnastego miał głównie dwie pobudki, skłaniające go do ścisłej reglamentacji życia swych poddanych: 1) uzyskanie bezpośrednio dla siebie jaknajwiększych dochodów, 2) podniesienie zamożności ich samych, czego on sam nie potrafi, bo jest na to za mało rozwinięty.¹⁾ U Gostomskiego, który bynajmniej nie odnawia chłopom rozumu i sprytu, przeważała w jego zapędach reglamentacyjnych pierwsza pobudka. Musimy jeszcze zwrócić uwagę, że zdrowy rozsądek ustrzegł i pod tym względem naszego wojewodę od tych ostateczności w drobiazgowej reglamentacji życia poddanych, która doszła do zenitu, do karykaturalnych rozmiarów u niektórych naszych późniejszych pisarzy rolniczych, a przede wszystkim u księżnej Anny Jabłonowskiej w jej sławnej „Ustawie dla dóbr moich rządców.“ Nagół ograniczenia, jakim reglamentacja Gostomskiego poddawała włościan, były prawie identyczne nie tylko z temi, jakie istniały na przeciwnych krańcach Polski, ale nawet w krajach sąsiednich, jeden je tylko wyróżnia szczegół. W szesnastem i siedemnastem stuleciu, w czasie wszechwładnego panowania zasady „cujus regio ejus religio“ dziedzic zarówno polski, jak czeski czy brandenburski troszczył się nie tylko o dobro doczesne swych poddanych, ale też i o ich zbawienie w życiu przyszłym, więc też ustawy dóbr przestrzegały, by chłopci chodzili do kościoła, a w kra-

1) Porównaj Grossman str. 46: „Der Gutsherr ist der Vormund seines Bauern. Denn der Bauer ist *dumm*. Daher muss die Herrschaft über ihm wachen, dass er nicht bei seinen Gelagen übernimmt, dass er sich nicht vom Wucherer umgarnen, dass er bei Erbteilungen sich nicht übervorteilen lässt.

jach katolickich nawet, by zachowywali się wiernie, chodzili do spowiedzi i t. d.¹⁾ Nic podobnego nie spostrzeżemy u wojewody Anzelma, co jest tem dziwniejsze, że wniósłszy „pierwszy w dom swój herezyę,²⁾“ odznaczał się podobno religijną „zelozyą“ i nietolerancją wobec ludzi innego wyznania. Nie ustrzegł się za to Gostomski nawet mieszania się w rodzinne i moralne życie poddanych. Więc nakazuje „by synowie byli posłuszni dobrym ojcom,³⁾“ „zabrania się im dalej grać w karty,³⁾ nocować w miasteczkach,⁴⁾“ zaleca się wdrażać ich do pracowitości. Jeśli urzędnik zobaczy, że biedny chłop próżnuje, ma kazać mu robić do dworu „choćby odrobił, aby go tem wciągnął w robotę.“ Oczywiście nie brak i rozporządzeń, zmierzających do zrobienia chłopca oszczędnym: należy czuwać, by chłopci nie przepijali za dużo, by „syn po ojcu nie utracił zebrania starego.“ Wspominaliśmy już, że wojewoda uczył nawet, w jaki sposób należy niegospodarnych chłopów doprowadzać przemocą do pewnej zamożności, obejmując w czasowy zarząd ich gospodarstwa, wiemy już też, że chłopci są skrupowani, i ciągle nadzorowani w swej gospodarce. Nietylko więc urzędnik i włodarze mają dojrzeć, aby „kmiotkowie sprzężają, stad, bydła gwałtem nie przedawali,⁴⁾“ ale nawet, by samowolnie nie „zapredawali z nowego zboża,⁴⁾“ by zorali swe pola we właściwym czasie, by je zasiałi; dopóki kmieć nie zasieje, nie należy go wpuszczać do karczmy. Oczywiście kmieć jest i skrupowany w kupowaniu produktów potrzebnych mu do egzystencji, a więc przedewszystkiem trunków, soli, śledzi, żelaza, wszystko to ma nabywać we dworze. Chcąc śledzić każdy krok swych włościan, nie należało im pozwolić wydalać się ze wsi bez pozwolenia pana, względnie jego oficyalistów, przestrzega więc wojewoda, by chłopci nie wydalali się bez urlopu na „flis,⁴⁾“ czy na robotę do drugiego imienia. Jak widzimy, opieka dziedzica nad poddanymi doprowadza u Gostomskiego ich swobodę

¹⁾ W Kasinie na Podgórzu za niechodzenie do kościoła karano 12 plagami: Ulanowski, Wieś Polska. W Siemiatyczach i w Koeku jeszcze w końcu XVIII wieku każdy poddany ma odprawić co kwartał spowiedź i komunię, a na dowód wziąć kartkę od proboszcza. Ustawa powszechna dla dóbr moich rządców. Siemiatycze 1784. Zobacz także: Český Archiv, tom XIII: Rad poddansky Jaroslawa z Martinic.

²⁾ Not. Gos. str. 26.

³⁾ Podobnie Rad poddansky Jaroslawa z Martinic zabrania chłopom grać w karty i przebywać w miasteczku ponad 20 godzin. Český Archiv, tom XIII.

do minimum, rozumie jednak, że taki stosunek, który on niejednokrotnie porównuje do stosunku ojca do dzieci,¹⁾ nakłada na niego pewne obowiązki, mówi więc jako o rzeczy zwyczajnej, o udzielaniu pomocy chłopom w zły rok, ograniczając ją wprawdzie tylko do zakładki i do „borgowania.“

Wojewoda nie mógł oczywiście nie wspomnieć i o wykonywaniu władzy sędziowskiej nad poddanymi, jako ich dziedzic, jednak z luźnych uwag jego trudno przedstawić dokładny obraz sądów wiejskich, jakie się odbywały w jego majątkach. Znajdujemy więc tylko wzmiankę, iż corocznie na Ś-ty Marcin, to jest gdy wszystkie roboty w polu zostały ukończone, ma się odbywać „prawo,“ na którym mają być wysłuchane wszystkie „krzywdy.“ Na tem „prawie,“ które widocznie odpowiadały tak zwanym sądom „rugowym“ w innych częściach Polski, uczestniczyła cała gromada i urzędnicy. „Prawo“ ma jednak nie tylko charakter wiecu sądowego, ale i głównego ogólnego zgromadzenia wszystkich kmieci, na którym ogłaszana bywa wola dziedzica w postaci tak zwanych „zapowiedzi.“ Tak naprzykład przy prawie ma być zapowiedziane, „że żaden chłop pod 3 grzywnami nie śmie dnia, ani kolei przewodów przeprowadzać, ani wykupować włodarza, ani urzędnika.“ Przy odbywaniu „prawa“ zasiadać mieli „przysiężnicy,“ którzy jednocześnie mogli być dziesiętnikami. Wyznaczać ich miał pan z pomiędzy najzamożniejszych kmieci. Naturalnie „prawo,“ odbywające się raz do roku, nie mogło zadośćuczynić potrzebom poddanych, nie wspomina jednak wojewoda o jakichś mniejszych wiecach sądowych „podsędkach,“ któreby, jak w innych częściach polskich, zbierały się częściej, by zadośćuczynić bieżącej potrzebie, natomiast mówi Gostomski o doraznem rozstrzygnięciu spraw, przekładanych przez kmieci we dworze przez pana, względnie przez urzędnika, lub nawet włodarza. Poddany, któryby chciał przedłożyć swe zażalenia przed panem, miał prosić przez pośrednictwo włodarza o wyznaczenie mu stosownej godziny, tylko jeśli chciał zanieść skargę na dworskich oficyalistów, dozwolone mu było stawić się przed obliczem pańskiem bez poprzedniego zameldowania się. Chociaż wojewoda wyraził się pięknie, że „pan ma karać poddanego jako syna, po-

¹⁾ Gostomski zresztą i w stosunku do własnych dzieci był rzeczywiście despotycznym; jeśli wierzyć Niesieckiemu, miał wojewoda Anzelm jednego z synów więzić przez 3 lata w Rawie, za to, że nie chciał porzucić katolicyzmu.

mnąc, że przed Bogiem kmiotek dobry, jako pan, jednakże kary, które zaleca stosować, są często nieproporcjonalne do rozmiaru przestępstwa, być może jednak, że Gostomski nie myślał na seryo o ich egzekwowaniu. ¹⁾ Na śmierć naprzykład należy skazywać poddanego, chociażby nawet małoletniego, któryby w czasie posuchy rozpałił ogień w polu, śmiercią również miał odpokutowywać poddany za samowolne użycie rzeczy pańskiej większej wartości. Hojny jest wojewoda i w zastosowywaniu kary cielesnej, chłosty, plag, radzi więc uciekać się do niej i względem chłopów, spóźniających się na robotę i względem omieszkującym się z siewem, nieposłusznym wobec oficyalistów i t. d. „Na łańcuch“ miano brać chłopów, którzy samowolnie uciekli ze wsi, oszustów puszczać miano „na praszczęta.“ Nie zaniedbał też wojewoda wspomnieć w swych Notatach, iż w każdym dworze powinny być „instrumenta gotowe, w któreby naprędce więźnia abo winnego wsadzić można, to jest łańcuch, abo kabat, abo gąsiory kuna.“ Taki skrzętny gospodarz jak Gostomski nie mógł oczywiście wyrzec się i stosowania kar pieniężnych, które mogły stanowić poważne źródło dochodu dla dziedzica: na 3 grzywny zaleca wojewoda skazywać za przekupienie włodarza, lub urzędnika, do płacenia win należało pociągać również chłopów za samowolne sprzedanie gruntów. W wymyślaniu kar na poddanych odznaczał się wojewoda dużą pomysłowością: podczas gdy jego przypuszczalny mistrz Columella nawołuje, by nawet z niewolnikami postępowano w prawdzie „severiter,“ ale nie „crudeliter,“ Gostomski rozkazuje, by demolowano domy w największy mróz na Boże Narodzenie tym kmiociom, którzy na zimę nie przyprowadzą do porządku swych chałup. ²⁾

Niewiele znajdziemy u Gostomskiego szczegółów, dotyczących się organizacyi ludności poddańczej w jego dobrach. Dowiadujemy się tylko, że każda wieś powinna być podzielona na dziesiątki, na czele każdej dziesiątki miał stać dziesiątnik, wyznaczony przez samego dziedzica z pomiędzy „zamożystych“ kmioci. Obowiązkiem ich jest przestrzeganie pana o wszelkich nadużyciach, zachodzących w ich dziesiątce, jako też pilnowanie, by ofi-

¹⁾ Podobnie w Kasinie wydawano surowe ogroenie kary, lecz rzadko spełniano je w całości, często natomiast darowywano. *Wieś Polska.*

²⁾ Kmieć, który się na zimę nie poprawi, o Bożem Narodzeniu w największy mróz uczynić mu dziurę taką, coby u sąsiada lata doczekał. *Not. Gos.* str. 24.

cyaliści sumiennie spełniali swe obowiązki, a przedewszystkiem dobrze uprawiali pole pańskie. Jeżeliby się okazało, że role dziesiętników i oficjalistów lepiej są uprawione niż pola dworskie, to pan ma zebrać z ich pól, a im każe się kontentować zbiorem z pól uprawionych dla niego. Na dziesiętników uważał Gostomski za możliwe składać i obowiązki tak zwanych „przysiężników do prawa,“ którzy oprócz swych funkcij sędziowskich pełnili i pewne policyjne czynności, a mianowicie co „cztery niedziele“ obchodzili wszystkie kmiece domy i sprawdzali, czy opatrzone są od ognia. Nigdzie nie wspomina Gostomski o żadnym kmiecym dygnitarzu, nawet zbieranie podatków, które w podgórskiej Kasinie, podzielonej na dziesiątki, jak wieś wojewody, należało do wójta, u niego spoczywa na barkach dwóch, specjalnie w tym celu wybranych, gospodarzy.

Wczytawszy się w Notaty Gostomskiego, nie możemy nie zauważyć przebijającej się w nich nieufności, jaka w jego dobrach, a niewątpliwie i w majątkach wielu, wielu ziemian ówczesnych zatruwała stosunki pomiędzy dworem, a wsią, a nawet między dworem a oficjalistami. Pan ani na chwilę nie ma się spuszczać na chłopów, gdyż „nic tak nie leży w chłopskiej naturze, jak kradzenie,“ ale niemniej obawiać się należy „urzędników“ i włodarzy, gotowych zawsze do wszelkich łotrstw, do wyzysku i oszukania swego chlebobawcy, ale z drugiej strony i sam dziedzic, to jest nasz wojewoda, chociaż dużo mówi o sprawiedliwości, z przyjemnością, o ile się da, wywiedzie w pole swych poddanych. To też wieś polska z końca szesnastego wieku, tak jak ją poznajemy z naszych „Notat,“ jest terenem ciągłych intryg, niekrwawej wprawdzie, ale zato nieustannej, głuchej walki. W walce tej wszystkie trzy walczące strony szukają sobie wśród siebie sprzymierzeńców: dwór przy pomocy oficjalistów walczy ze wsią, wieś sprzymierza się tajemnie z oficjalistami przeciw dworowi, dwór w kmieciach szuka oparcia przeciw nadużyciom oficjalistów. Więc dziedzic, przy pomocy oficjalistów, ma zmuszać np. chłopów do udzielania mu jesienią przymusowych pożyczek w zbożu już omłóconem, które następnie wysyła się do Gdańska możliwie jak najwcześniej, gdy ceny są jeszcze wysokie. Dług ten wojewoda nakazuje zwracać chłopom po ukończeniu siewu, a więc kiedy ceny zboża są już niskie. Chłop, któryby dopominał się jeszcze przed siewem zwrotu swego zboża, zasługuje na pańską niełaskę. Oczywiście, nakazywanie oficjalistom zmuszania leniwych, a ubogich kmieci niby w celach przyuczenia ich do pracowitości, do robót dodatkowych na korzyść dworu, nie mogło być zaliczo-

ne do zbytnio czystych kombinacyj. Łatwo się jednak domyśleć, że i chłopom nie brakło ani chęci, ani pomysłowości do odpłacania dworowi pięknem za nadobne; dowiadujemy się więc i o wykręcaniu się od robocizny i przewodów przy pomocy przekupstwa urzędników i o umiejętnem ukrywaniu ilości zebranego zboża, mającym na celu danie mniejszej dziesięciny. Pomimo całego braku zaufania do chłopów, pomimo nie wysokiego mniemania o ich wartości moralnej, nie mógł im Gostomski odmówić paru przymiotów. Przedewszystkiem uznaje, że chłop może mieć potrzebną inteligencyę do wyuczenia się rolnictwa, nie radzi nawet osadzać na roli kmieci, którzy „nie umieją rolnych robót,“ nie musieli więc tacy należeć do rzadkości; wiemy też już, że wojewoda zalecał urzędnikom, aby się uczyli uprawy roli od starych kmieci. Widzimy dalej, że wśród kmieci nie brakło ludzi pracowitych, oszczędnych i przedsiębiorczych: chłop umie szukać zarobku i po za granicami wsi rodzinnej, umie najmować się, czy to do robót polnych, czy jako flisak; gnębiony pańszczyzną i wszelkiego rodzaju świadczeniami, chłop jest w stanie zaoszczędzić tyle, by w ciągu lat 2 zdobyć się na własny sprzężaj. Zdarzają się wprawdzie chłopci leniwi, poniedziałkujący, pijący po karczmach bez miary, ale nie otrzymujemy z naszego źródła wrażenia, by takie osobniki były zjawiskiem zbyt częstym.

Zebraliśmy już, zdaje się, wszystkie dane, dotyczące się położenia włościan, które znajdują się w Notatach Gostomskiego. Widzieliśmy, że wojewoda nie był dla swych poddanych ani pobłażliwym, ani mało wymagającym panem: pańszczyzna, jaką uważał za normalną, nie była małą, postępowanie, jakiego radził się trzymać w stosunku do włościan, było bezwzględne i surowe, to też niewątpliwie ziemianie, którzy, wobec popularności jego książki, musieli często korzystać z zawartych w niej rad, nie znajdowali u niego zachęty do polepszenia doli swych kmieci, do układania dla nich ustaw łagodnych.

Następca i naśladowca Gostomskiego Hauer umiał się zdobyć na współczucie wobec poddańczej ludności, umiał radzić, by darować czasem kmieciowi „który dzień ustawny,“ by mu się „nie-naprzykrzać robocizną nad potrzebę,“ nie wynajdywać nowych „intra“ i podatków, umiał przekonywać, „że trzeba nie tylko pukiem y gromem, ale też pogodą y łaskawością zażyć człowieka.“ Na podobną radę nie stać było surowego wojewody.

Ale Gostomski, który bądź co bądź przypominał, że przed Bogiem „kmiotek tak dobry, jako pan“ nie był niewątpliwie ani surowszym, ani bardziej wymagającym wobec włościan od większo-

ści współczesnych ziemian. Wszak za jego czasów w całej środkowej Europie położenie włościan pogarszało się coraz bardziej. Wszak już w epoce naszego wojewody, ks. Śmiglecki miał powód do pisania, „że stosunku dziedziców do włościan nie można inaczej nazwać, ino okrucieństwem wielkiem nad poddanyimi, od którego do strasznego sądu Bożego apelacya,“ a w lat kilkanaście po śmierci Gostomskiego zabrzmiał potężny głos Skargi, który w szlachetnym zapale skarży się „iż nie masz państwa, w którymby bardziej poddani i oracze uciśnieni byli pod absolutnem dominium,“ nie wiedząc, czy też udając, że nie wie, jak się naówczas działo kmieciom w Czechach, na Ślązku, na Pomorzu, czy w Brandeburgii. I z lutni poety dobiedzie się rzewna skarga nad dolą „kmiotka nędznego,“ który parę „szkap tylko ma zmorzonych, parę wołków założonych y to wyrobionych; owieczka nie zabeknie, krowiczka nie ryczy, gospodyni na wieczór widzę nie liczy,“ a inny większy od autora tych słów twórca Krzysztof Opaliński rzuci narodowi strasliwą satyrę, wypomni mu, że „Bóg Polski za nic więcej nie każe, jak za poddanych opresyę.“

Rady Gostomskiego, tyżące się włościan, jakkolwiek bezwzględne i surowe, w wieku XVII na tle epoki, którą znamy chociażby ze słów Zbylitowskich, Opalińskich, oddawały tę usługę, że wpajając w czytelników nie litość wprawdzie, nie łagodność i dobroć, ale zdrowy rozsądek, uczyły ich, że dobrobyt poddanych gwarantuje ich własną zamożność, że to tylko nowe źródło dochodu jest „pobożne i przystojne,“ które jest „bez obciążenia poddanych.“

DR. IGN. T. BARANOWSKI.

Józef Conrad

(Konrad Korzeniowski).

Nie wiele z pomiędzy imion, które z tych czy innych powodów narzuciły się w ciągu ostatnich lat dwudziestu uwadze publiczności, poczytanej za kulturalną, wywołując nieraz wybuchy jej niepowściągliwych zachwyków, oprze się zwycięsko próbie czasu. Kolosalna nadprodukcya we wszystkich dziedzinach pióra, utrudniająca niewątpliwie w pierwszej chwili odnajdowanie dzieł rzetelnego talentu w powodzi utworów, zalewających rynek księgarski, pociąga jednak zarazem za sobą dość szybkie przeszacowywanie wartości. Sławy, których powodzenie ugruntowane było na racyach zgoła nie literackich, uchodzą w niepamięć ze zdumiewającą iście szybkością. Bledną również, zbudowane na trwałszych już podstawach, reputacye autorów, obdarzonych nieraz wybitnymi zaletami pisarskimi, zapominających jednak, kwoli uzyskania rozgłosu, o jedynych istotnych zadaniach wszelkiej twórczości artystycznej, lub nieuświadamiających ich sobie dostatecznie.

Droga, prowadząca do rozgłosu, jednaką jest we wszystkich epokach. Toruje ją schlebianie instynktom sfer dominujących, przez umacnianie w hypnozie samouwielbienia i naginanie się do ich poziomu. Kipling stał się wybrańcem większości, schlebując jej popędowi i hołdując jej ideałom, a więc ogłosiwszy kult drapieżnej pięści za najwłaściwszy program życiowy każdego prawego obywatela „największej“ Anglii i rozgrzeszając wszelką wulgarność w imię zamaskowujących ją, dość nieudolnie zresztą, hasła. Bernard Shaw zyskał uznanie tejże większości, podniósłszy ją w jej własnym przekonaniu. Nie szczędząc oklasków te-

mu pisarzowi, który ściga ją swem szyderstwem, publiczność angielska — nietylko ona zresztą — uwierzyła w wyższość swego ducha i niezależność swego sądu. Shaw nie może się bronić argumentem, iż nie przewidywał bynajmniej podobnych rezultatów. Indyferentne sypanie pocisków we wszystkich kierunkach, obalenie dziś własnych bogów dnia wczorajszego świadczy dość przekonująco, że główną pobudką autora od pierwszych już jego występów było w przeważnej ilości wypadków dążenie do zwrócenia na siebie uwagi przez zajmowanie w każdej kwestyi odmiennego od innych stanowiska. Bernardowi Shaw brak bardzo często szczerości wobec samego siebie w szukaniu odpowiedzi na nasuwające mu się pytania. Publiczność wykazała istotnie pewną przenikliwość, przestawszy lękać się żądla tej satyry.

Twórczości, wychodzącej z podobnych założeń, brak pierwiastków nieprzemijającej wartości. Nic dziwnego więc, że gwiazda obu pisarzy, którzy przez czas dość długi zajmowali sobą na obu półkulach krytykę nie mniej, niż publiczność, utraciła już bardzo wiele z swego blasku. Prawdziwy artysta krystalizuje w formy świat własnych wzruszeń i zagadnień, nie podporządkowując żadnym względom ubocznym swego procesu myślowego, ani też rezultatów tego przemyslenia. Lecz niewielu autorów umie oprzeć się ponęce łatwych powodzeń. Dlatego też, wobec tak niewielu również, mimo obfitość talentów, werdykt potomności potwierdza opinię ich współczesnych. Z świetnych zastępów literackich ery Wiktoryi, która wypełniła trzy ćwierci ubiegłego wieku, pozostało kilkanaście zaledwie imion po dokonaniu przez obecne już pokolenie pracy eliminacyjnej. Liczba ta zmniejszyć się jeszcze może za nowych lat pięćdziesiąt po przeprowadzeniu powtórnego, ściślejszego wyboru. Natomiast czas, który wykreśli jednych, sprowadzić może jednocześnie odkrycie innych, zapomnianych, lub zapoznanych z różnego rodzaju przyczyn w epoce, która ich wydała. Odkrycia takie zdarzają się nieustannie. Dzięki jednemu z najszcześniejszych, zapoznaliśmy się np. ostatnio w piśmiennictwie niemieckim z dziełem Fr. Hebbła.

Józef Conrad nie należy we współczesnej literaturze angielskiej do rzędu zapoznanych, gdy chodzi o stanowisko, jakie zajęła wobec jego dzieła poważna krytyka zawodowa. Jest nim, gdy mierzyć będziemy, stopień zainteresowania się jego utworami, ich odbytem księgarskim. Najlepsze z nich doczekały się zaledwie kilku edycji; parę z nich tylko weszło do wydawnictw Tauchnitz'a, tego niezawodnego probierza popularności. Conrad nie uzyska jej prawdopodobnie nigdy i nie będzie ubiegał się o nią bynaj-

mniej, nie okazując, jak dotąd, żadnej skłonności do czynienia na rzecz czytającego ogółu jakichkolwiek ustępstw ze swej indywidualności pisarskiej, na którą składają się nadzwyczaj cenne gatunkowo i wysoce odrębne pierwiastki. Na tle produkcji ostatnich lat kilkunastu twórczość jego zarysowuje się rzeczywiście całkowicie samoistnym konturem i wypełnia jego zarysy nowymi akcentami, nową skalą walorów. Od pierwszych już dzieł swych wolny jest od wszelkich reminiscencyj; nic nie wskazuje w nim śladów obcych wpływów literackich i artystycznych, ani też przejmowania się duchem cudzych przeżyć myślowych. Jego stosunek do zjawisk bytu jest nawskroś osobisty, jak osobistą będzie forma, w jakiej go przedstawi.

Stosunek ten urabiał się i dojrzewał po przez długie lata wędrówki wzdłuż niezmiernych szlaków oceanu. Jeśli w pewnych melancholijnych akcentach jego ironii i kapryśnym charakterze niektórych spostrzeżeń odzywają się atawizmy rodzinne, to w temperamentie odziedziczył chyba Conrad drogą niewytłomaczonych wcieleń duszę jakiegoś fenickiego żęglarza, ciągnącą ku przestworzom wodnym, jak do przyrodzonego swego środowiska. Nie świadczy o tem jeszcze dwadzieścia niemal lat życia, spędzonych na pokładzie statków handlowych marynarki angielskiej. Pomiedzy tymi, których całe niemal istnienie upłynęło na okręcie, zdala od lądu, nie brak natur osiadłych, tęskniących za nim niezmiennie wśród pielgrzymek swego morskiego domostwa, snującego się niespokojnie po płaszczyznach morza, a tak zależnego od nieprzewidzianych wybuchów jego gniewu i spisków, jakie knuje z wiatrami. Sam Conrad odmalował typy takich niewolników oceanu, wyzwalających się z obcowania z nim, jak z kajdan galernika. Kapitan Hagberd w „To-Morrow“ przenikniony jest dla niego głęboką, nieprzewyciężoną niechęcią i drży, by syn jedynak nie wybrał narzuconego ongi jemu samemu przez ojca zawodu. Nie dzieląc tych uczuć Hermann w „Falku“ marzy jednak, jak o najwyższem szczęściu, o chwili, gdy osiedli się, wraz z rodziną, koczującą z nim na razie na dalekich wodach, w zacisznem jakim ustroniu niemieckiej ojczyzny.

Samego pisarza wszelako nie przykuł do pokładu, jak wielu innych, nieprzychylny dla nich zbieg okoliczności, ani nie zapędziła na niego wola wychowawców. Ojciec jego, który brał czynny udział w powstaniu r. 1863, odumarł go, gdy był dzieckiem jeszcze (urodził się w r. 1857). Opiekunowie nie wywierali, o ile się zdaje, żadnego nacisku na kierunek jego zajęć. Wstał do marynarki handlowej królowej Wiktorii po pobytku w szko-

łach w Krakowie i Francyi, mając lat siedemnaście i nie znając zupełnie języka, w którym zasłynął dziś, jako wielki mistrz pióra, z bogacający jego skarbnicę. Opuścił ją, gdy dobiegał już czterdziestki, uzyskawszy na długo już przedtem stopień kapitana. Całe jego dzieło powstało w owym dopiero okresie pełnej dojrzałości (pierwsza z powieści, „Allmayers Folly,“ datuje z r. 1895); ono też pokazało, jak głębokiem było zespolenie się pisarza z żywiołem, urobione z miłości dlań i nienawiści, z wielkiego podziwu i większej jeszcze nieufności wobec zdradzieckich jego zasadzek, z poczucia jego siły i naszej słabości, która jednak umie walczyć i zwyciężać, a zarazem wznosić się po nad powodzenia i klęski. I ta inicjacya właśnie w życie potęg natury, zdobyta przez lata twardego zmagania się i nie słabnącej nigdy bacności, nadała dziełu jego najwięcej wartościowe cechy, wyciskając swe piętno na całym jego światopoglądzie. Uchronią one niewątpliwie produkcję pisarza od spłynięcia z powierzchni piśmiennictwa z falą czasu i zmiennych upodobań.

Literatura morza, w której zajął Conrad tak specjalne stanowisko, nie zamykając zresztą bynajmniej swych inwestygacyj twórczych wyłącznie w jego widnokregu, ale czyniąc całą naturę współfaktorem życia — jest nawet w krainie wyspiarzy i marynarzów niedawnego względnie pochodzenia. Obojętność całego szeregu pisarzy wobec przyrody i jej zjawisk wzmagają się jeszcze w stosunku do obszarów wodnych. Żaden prawie nie dostrzega ich majestatu i różnorodnego ich piękna, tem mniej jeszcze dają im one podnetę do jakichś głębszych rozważań. Wydana przed rokiem mniej więcej przez p. Johna Masefielda p. t. „A Sailor's Garland“ antologia poetów morza, obejmująca najwybitniejsze utwory, poświęcone mu od dni Chaucer'a aż po ostatnią dobę, uwypatnia jaskrawo zdumiewające ubóstwo liczebne produkcji w tym kierunku. Prozatorów znowuż zajmowały przedewszystkiem bitwy morskie i przygody korsarskie. Anonimowi twórcy ludowej poezyi morza, t. zw. *chanties* i balad, przekazywanych drogą ustnej tradycyi, zwracali również nieskończenie mało uwagi na otaczający ich ze wszech stron żywioł w swych pieśniach, śpiewanych podczas pracy na pokładzie w epoce, gdy parowce nie wyrugowały jeszcze były statków żaglowych. Temat ich, to smutek rozstania z rodzinnym zakątkiem i tęsknota za nim, wspomnienia chwil szczęścia i pragnienie ich powrotu, to wreszcie wielkie tryumfy armii morskiej i zwycięskie czyny jej bohaterów.

Dopiero romantyzm przynosi w XIX wieku, wraz z ciekawszem wnikiem w przyrodę, zwrócenie się ku krajobrazom

oceanu i niezrównanej ich wymowie, wyrosłej z czaru i grozy. Arcydzielne stanze Shelley'a i utwory Keats'a, Coleridge'a i Byron'a otwierają cykl prawdziwych poematów morza, do którego każdy prawie z późniejszych poetów wplata nowe strofy. Najpotężniejsze z nich wyszły z pod pióra Walta Whitmana i Swinburne'a, który osiągnął niezrównane mistrzostwo w swych hymnach, przemawiających panteistyczną ekstazą. W prozie żaden z jego poprzedników, ani współczesnych, nie dorównał Conradowi. Wyrosły z obcej rasy, pisarz, stał się największym epikiem narodowego żywiołu Anglików. Rzucone przezeń na papier opisy wszystkich faz i wszystkich momentów tajemniczego życia morza, jego przelotnych uśmiechów i jego straszliwych paroksyzmów, jego wściekłych zapasów z wiatrami i jego nieprzeniknionych podstępów, rozbijających statki o wybrzeża i pędzących je na mielizny, zatapiających je w niezmaconą żadnym powiewem ciszę, gdy tafla wodna iskrzy się z jednego końca horyzontu po drugi, jak przeczyste, gładkie zwierciadło — utrwalają się w pamięci z dręczącą wprost wyrazistością. Trudno wyobrazić sobie, by można było posunąć w tym kierunku potęgę sugestyi dalej, niż zrobił to Conrad w „The Nigger of the Narcissus,” w „Typhoon,” najznakomitszej chyba z opowieści morza — choć w samym dobytku pisarza wybór nie jest zgoła łatwym — a tak niesłychanie prostej, mimo nadzwyczajną swą dramatyczność, w niektórych też epizodach z „The Mirror of the Sea,” jak np. w „Initiation.”

Lecz piękno samych tych opisów, na które składa się sposób przedstawienia rzeczy i jej forma — przepych języka giętkiego, nerwowego i jędrnego, niezmiernie trudnego i niezmiernie plastycznego zarazem, przejmującego krytykę i zwolenników niepospolitego talentu Conrada stałem zdumieniem u tego pisarza, wychowanego na obcej mowie — piękno to jest tylko jedną z wielu zalet jego twórczości. Podziwiać w nim musimy niezaprzeczenie tę magię ekspresyi literackiej, interpretującej rzeczywiste fakty w sposób, czyniący z ich relacji, przy drobiazgowej dokładności szczegółów, wspaniałe dzieło wyobraźni i natchnienia. Racja zasadniczej wartości jego sztuki leży jednak gdzieindziej. Nadaje tę wartość utworom Conrada głębia indywidualnej jego obserwacji, opartej na liczeniu się ze wszystkimi siłami, których zespolona akcja wytwarza życie wszechświata. Ten zaś gatunek obserwacji zrodził się niewątpliwie w znacznej mierze z długiego i ścisłego przestawania z mocami natury, które zaostrzyło niezmiernie i wyczuliło jego wizję, ucząc go zarazem wielkiego zrozumienia ogromu naszej nieświadomości, szczepiącego, bez względu na

całkowity brak złudzeń, dużo wyrozumienia. Czy to prowadzi nas na morze, czy w sfery podzwrotnikowej Afryki, lub na odległe wybrzeża malajskiego archipelagu, dokąd zapędza chętnie swych bohaterów (*Lord Jim*, *An Outcast of the Islands*, *Karain* i t. d.), czy przenosi w serce wielkomiejszczańskiego Londynu (*The Return*) lub w środowisko skarykaturowanego anarchizmu (*The secret agent*) — te dwa rysy występować będą w całej jego produkcyi, podnosząc wysoko jej doniosłość.

Człowiek przedstawia mu się zawsze w związku z pulsowaniem wszechświata i odwrotnie znów natura występuje łącznie z żywotem ludzi, organicznie w niego włączona. Na morze spoglądać będzie z pokładu okrętu, by uczynić nas świadkami współbywania ludzi i żywiołów, które w gruncie rzeczy jest prawie zawsze zmaganiem się wzajemnem, przeradzającym się często w tragiczne zapasy. Niezwykła przenikliwość jego analizy psychologicznej w połączeniu z najrzadszym ze wszystkich darów — darem widzenia, uwydatnia się najbardziej może w obrazowaniu tych krytycznych momentów, gdy na szali waży się ostatecznie kwestya zwycięstwa lub porażki i gdy z głębokich swych skrytek wyłaniają się najistotniejsze cechy natury, która wyzbywa się w tych chwilach całkowitej acz nieświadomej może szczerości wszystkich nabytych przyzwyczajzeń i pozorów, komplikujących w zwykłym trybie rzeczy fizyonomię moralną ludzi o najprostszym nawet mechanizmie duchowym.

Patrzemy wraz z nim na spokojne lub zuchwałe bohaterstwa, wolne jednak w obydwóch wypadkach od wszelkiego konwencyonalizmu i wszelkiej patetyczności, bo objawiające się jako naturalne giesta pewnego rodzaju ludzi — ludzi czynu i prostego ducha najczęściej, nie znających wahań i nie domyślających się zgoła, że dokonywają czynów, chrzczonych „w stylu dziennikarskim” — jak mówi pogardliwie Conrad — mianem heroicznych. Patrzemy też na wybuch instynktów, rozpętanych w lęku o zachowanie tego, co na różnych szczytach umysłowości, lub też pod różnemi szerokościami geograficznemi, stanowi skarb najdroższy. Dla nędznych *coolies* chińskich, którzy powracają do stron rodzinnych z garścią dolarów, przedstawiających owoc nieskończonych miesięcy ciężkiej pracy, jest nim ten pieniądz. I gdy w straszną noc, spowijającą horyzont w otchłanie ciemności, rozszalały huragan, miotający z dziką wściekłością transportującym ich żaglowcem, rozbija skrzynki, które zawierają ich skromny dobytek i rozmiecie na wsze strony to biedne bogactwo — gonić za nim będą z furją drapieżnych zwierząt, czołgując się jeden przez drugiego ku

srebrnym monetom, wirującym w fantastycznym pościgu i wydzierając je sobie wzajem w okropnem skłębieniu ciał na poły nagich (*Typhoon*). Na wyższym poziomie cywilizacyjnym największem dobrem jest życie. O nie właśnie toczy się walka z żywiołem i okolicznościami. Lecz w walce tej stają również ludzie wobec ludzi. Conrad pokazuje nam oficerów i maszynistów zagrożonego statku, decydujących się uciec z niego, zamiast zginąć wraz z pasażerami, których, jak wierzą niezłomnie, nie mogliby ocalić w żadnym razie, a którzy uspieni są głęboko w chwili, gdy niebezpieczeństwo wymaga natychmiastowej akcji (*Lord Jim*)¹⁾. Instynkt samozachowawczy łamie tu te zasadnicze kategorie moralne, których przekroczenie odbiera uratowanemu w taki sposób życiu wszelką wartość. Z właściwą sobie finezyą, nie kładącą nigdy nacisku, pisarz zakreśli linię demarkacyjną: z tej strony spełnienie obowiązku, które w pewnych okolicznościach wyrosnąć może do rozmiarów bohaterstwa, z tantej utrata honoru, usuwająca człowieka za nawias społeczny.

Ratowanie życia przybiera inne jeszcze formy. Wyczerpana błakaniem się po morzu i nawpół oszalała z głodu załoga „Borgmestra Dahla,” zapędzona między lodowe góry stref bieguna południowego — rzuca się, jak na łup najcenniejszy, na ciało jednego z towarzyszków, rażonego kulą przez innego w obronie własnego życia (*Falk*). Siła talentu Conrada umiała tak naprężyć w nas wszystkie struny zrozumienia, że nie wzdrygamy się prawie nawet przed tem ludożerstwem, za którem pójdą inne. Co więcej, sam Falk, stający się po zgładzeniu kamrata tyranicznym, lecz sprawiedliwym dyktatorem tego Okrętu-Widma,—człowiek w którego uproszczonym szemacie moralnym brak miejsca na wiele elementarnych zgoła pojęć, przejmuje nas w następstwie wyraźną zupełnie sympatyą w swej nieśmiałej i olbrzymiej miłości, której głód płonie na obliczu tego barbarzyńcy takim samym potężnym ogniem, jakim płonął ongi głód życia.

Zrozumienie usuwa potępienie. Nie wiem, czy Conrad doznaje często litości wobec postaci, w które tchnął życie, by uczynić je aktorami dramatu istnienia. Uczucia tego nie stara się zazwyczaj budzić również w czytelniku. Dalsi jeszcze jesteśmy od wszelkich sentymentalnych rozrzewnień: pisarz tej miary, a zwłaszcza tej formacyi duchowej, nie będzie szukał nigdy wywołujących je efektów. Natomiast odwróci się ostatecznie, nie

1) Statek zostaje jednak wyratowany.

znajdując na nie żadnego usprawiedliwienia od niewielu wykrzywień moralnych, choć nie ukrywa przed sobą ani przed nami żadnego z braków i przywar swych postaci, nie z ich małości i nie z ich ciasnoty. Wie jednak, jakim ciężarem zawisnąć może nad ludźmi otoczenie, wobec jakich alternatyw stawiają ich warunki życia. Wie, że cywilizacya i jej rzekome prawa i nakazy stają się w wielu okolicznościach czezym tylko dźwiękiem, formą bez treści. Wie wreszcie, jakie spustoszenia szerzyć może namiętność, władnąc zwłaszcza naturami naiwnymi i prostymi, nie umiejącymi ochronić się przed nią lub choćby tylko osłabić mocy działania jej czarów.

Wiedząc to wszystko, zbudował sobie filozofię, która uwzględniła i tłumaczy bardzo wiele. I dlatego kreśli z tak rzetelną miłością postać swego Karaina (*Tales of Unrest*: „Karain“), zdrajcy i przemiewiercy w obliczu ustalonych idei moralnych. Ten wyniosły wojownik malajski, syn władcy i sam na władcę stworzony, ściga wraz z swym przyjacielem, przysięgłszy dopomódz mu w zemście, siostrę jego, która uciekła z białym kolonistą ku znisławieniu rodu. Prawy i szlachetny, nie zawiodł dotąd nigdy położonego w sobie zaufania. Ale parę lat uciążliwych poszukiwań za zbiegłą, podczas których towarzysz opowiada mu o niej wieczorem przy ognisku przez długie godziny, zapala w jego sercu wszechogarniającą miłość dla tej kobiety, którą widział zdaleka zaledwie parę razy w życiu, a która teraz kroczy przed nim niewidzialna we dnie i zasiada nocą u jego boku, spoglądając nań swemi słodkimi i wystraszonemi oczyma. — Nie unrzesz—szepcą do niej jego usta. Żyje poza rzeczywistością w hypnozie tego uwielbienia. I gdy w końcu, wraz z odnalezieniem kryjówki owych dwojga przychodzi straszliwa godzina próby—zabije tego, kto położył w nim całą ufność, byle uratować tylko promienną pocieszycielkę ciężkich dni i bezsennych nocy, która kocha innego.

Podobny dramat wywoła namiętność w *The Lagoon* (ostatnia nowela z tegoż tomu: *Tales of Unrest*). Brat poświęci tu brata, oddanego mu bez zastrzeżeń i dokonywającego w imię swego dlań przywiązania czynów szalonej odwagi—dla ocalenia ukochanej kobiety, a właściwie swej dla niej miłości. W *An Outcast of the Islands* obłąkana i ślepa miłość Willemsa dla arabki Aissy, niosąca już w swym żywiołowym charakterze zarodki śmierci i ruiny — pędzi go ostatecznie na rozdroża zdrady wobec swego dobroczyńcy i zbawcy, lecz jednocześnie nadaje temu płaskiemu skądinąd awanturnikowi cechy wysokiego tragizmu, przesłaniającego chwilami całkowicie małość tej duszy i poziomość jej ambi-

cyi i pożądań. W analizowaniu konfliktów uczuciowych i wszystkich załamaniań moralnych, występujących pod działaniem namiętności, wykazuje wogóle Conrad nieskończenie większą przenikliwość psychologiczną i czujność obserwacyi, niż wszelacy głośni w literaturze spowiednicy serc niewieścich, którzy z bezbrzezną arogancją narzucają oniesmielonej publiczności rezultaty swych drobniagowych badań barometru miłosnego, tak rozdrobnionych na nic nieznaczące szczegóły, że nie umiejących już ująć podstawowych linii i treści uczucia. Conrad wydobywa całą jego prawdę, jak wydobywa prawdę innych pobudek i czynników życia i niezmiennosc pewnych ich pierwiastków we wszystkich klimatach i na wszystkich szczeblach drabiny społecznej. Dzięki temu wnikięciu w jedność życia po przez jego różnorodność najwięcej egzotyczne nawet z powieści pisarza nabierają ogólnego znaczenia i nie nużą czytelnika mimo niezmierną nieraz obcość otoczenia i związane z niem, jak np. w *An Outcast of the Islands* epizody, które możnaby zredukować silnie z pożytkiem dla całości.

Pisarz, który umiał wejrzeć w najskrytsze tajniki uczucia, wie dobrze, ile nieporozumień leży na dnie wzajemnego stosunku mężczyzny i kobiety i jaki wykwita z nich posiew nieufności, podejrzeń i błysków nienawiści, widzi, w jakiej rozterce miota się umysł, gdy z jednej czy drugiej strony zniknął szal namiętności tam, gdzie poza nią nie istniało nic zupełnie. Ten głuchy antagonizm płci, powstały z odmiennej ich wrażliwości i tylu różnic, nagromadzonych przez wychowanie, obyczaje i przesady, które zdoła zgładzić jedynie bardzo wysoka kultura moralna, występuje z największą może wyrazistością w stosunku Aissy do Willemsa i Amy Foster (w noweli o takimże tytule) do Janka Górala, chłopca z tatrzańskiego Podgórze, którego wyrzuciło na angielskie wybrzeża rozbicie okrętu, wiozącego transport emigrantów do Ameryki. W jednym i drugim wypadku odrębność rasy potęguje nieporozumienie i podnieca czatujący zawsze w ukryciu instynkt samoobrony. Miłość zamilkła i oto zrywają się odrazu wszystkie węzły łączności, pogrążając w straszliwe osamotnienie dwoje ludzi, mówiących już od tej chwili tak niezrozumiałym dla siebie wzajem językiem, że duszę Willemsa trawi tylko jak jad śmiertelny, gorączka wyzwolenia się z tortury dalszego współżycia z Aissą, a Amy Foster ucieka w tępej przerażeniu od konającego Janka, tak odeń daleka, jak mieszkanka jakiejś innej planety.

Lecz jeśli w tym wiekowym zatargu mężczyzny i kobiety wspólność krwi i środowiska społecznego może łagodzić czasem ostrość ciosów, to bynajmniej nie usuwa zasadniczych racyj wal-

ki. W *The Return* burza wybucha w pełnej respectability rodzinie wielkomieszczkańskiej, której spokojnego i wygodnego wegetowania nie powinny były na pozór zmącić żadne nieprzewidziane wstrząśnienia. Alan Hervey przynajmniej nie przypuszczał nigdy ich możliwości. Przychodzą jednak, aby wykopać w jednej chwili między tym zadowolonym dotąd z siebie i losu człowiekiem i kobietą, z którą związał swe istnienie, przepaść nie mniej nieprzebytą, niż ta, jaką wykopała fatalność ich namiętności pomiędzy dwojgiem tragicznych kochanków z *An Outcast of the Islands*. Szkoda tylko, że, uniósłszy się tematem, pisarz usunął ze sceny swego naiwnie zarozumiiałego i pospolitego bohatera, by wprowadzić na jego miejsce samego siebie ze swą skomplikowaną i subtelną psychologią, nie nadającą się bynajmniej do tej postaci i form jej myślenia.

Podobne zapomnienie jest jednak wogóle u Conrada faktem niezmiernie rzadkim. Jego postaci są zazwyczaj istotami z krwi i ciała, żyjącymi własnem życiem, pulsującymi krwią własną i oddychającymi potrzebną sobie atmosferą. Rzecz dziwna, wydawaćby się mogło nieraz, że autor naszkicował je w półcieniach i półtonach. Lecz zaledwie zbliżymy się do nich, widzimy zdumiewającą precyzję tej pozornej niedbałości. Drobnny szczegół, rzucony tu i owdzie, pogłębia linię konturu, uwydatnia sylwetkę, wydobywa ze spokojną ironią ukrytą szpetotę, obnaża tajnie pobudek i instynktów. Z ust pięknej siostrzenicy Hermana w *Falku*, budzącej w tym ekskludżerycy żywiołowo potężne uczucie, nie wychodzi w ciągu całej dość długiej opowieści ani jedno słowo, któreby dostarczyć mogło przyczynku do jej charakterystyki. Patrzymy na nią, lecz nie słyszymy jej zgoła. Mimo to tryska pełnią życia: czujemy każde drgnienie jej serca, wciągniętego magnetycznie w orbitę wzywającej je miłości. Tępy, prosty i bohaterski kapitan Mac Whirr w *Typhoon* i jego pomocnik Mr. Jokes, kapitan Lingard w *An Outcast of the Islands* ze skarbami idealizmu w duszy, któremi „komplikuje“ własne i cudze losy w swem otoczeniu awanturnikiem, obcem wszelkim idealizmom, Mr. Baker w *The Nigger of the Narcissus*, naiwny, patetyczny i bolesny Kairin, dwaj „pionierzy“ cywilizacji w *An outpost of Progress*, tak całkowi w swej nicości, pełni tak ogromnej prawdy w swej bezradności istot, zdolnych jedynie do bytowania stadowego, pod osłoną udogodniających je instytucyj społecznych, stary oficer marynarki francuskiej z *Lorda Jim'a*, większość typów w *The secret Agent*, a zwłaszcza sam ów tajny agent Verloc, słodki i bezpomocny Stevie, brat jego żony i ta żona ze swem bezgranicz-

nem oddaniem bezsilnem stworzeniu, wypielegnowanemu od dziecka, budzącem w niej w chwili przełomowej pierwotną dzikość istoty z okresu jaskiniowego, inspektor policyi Heat z tejże powieści i tyle innych jeszcze postaci porusza się przed nami, rozwija zasoby energii, cierpi, kocha, umiera, wypełniając dzieła pisarza intensywnem nad wyraz życiem. Wszędzie też, poza ludźmi, lecz w łączności z ich bytem, widzimy i czujemy nieustanne działanie niespokojnych sił wszechświata, okrążających ich zewsząd i wywierających swą akcyę na całe ich istnienie i kształtowanie się procesów życiowych.

Nawskroś angielski przez kult Oceanu, wyśpiewanego w całym szeregu utworów od *The Nigger of the Narcissus* do czarodziejskiego *The Mirror of the Sea*, w którym skondensował wyniki myślowe swego długiego z nim obcowania, nawskroś ogólnoludzki przez doniosłość swej obserwacyi psychologicznej i swą filozofię zagadnień bytu, Józef Conrad zajmuje we współczesnem piśmiennictwie wszechświatowem wyodrębnione zupełnie stanowisko, występując jako jeden z najoryginalniejszych i najgłębszych pisarzy współczesnych. Dzieło swe zbudował z trwałego materiału, który oprze się destrukcyjnej pracy czasu. Można nie zgadzać się na niektóre jego założenia. Wielu z najszczerzych zwolenników tego znakomitego talentu żałować będzie z pewnością, że w środowisku, które pisarz odtwarza w *The secret Agent*, dojrzał on przedewszystkiem najbrzydsze jego deformacye, jeśli wyłączymy zapłkniętego tłuszczem ewangelicznego Michaelisa, nie mającego w rzeczywistości nic wspólnego z tem środowiskiem i przedstawianym przez nie ruchem, oraz fanatycznego, a więc bądź co bądź przekonanego profesora. Można też niewątpliwie uczynić Conradowi różne zarzuty z punktu widzenia techniki powieściowej. Prowadzi nas nieraz do celu drogą bardzo długą, rozpraszając się na dodatkowe epizody. Lecz czytelnicy jego nie skarżą się w większości wypadków na tę rozwlekłość. Owe à parte, odrywające od przedmiotu, wprowadzają nas bliżej jeszcze w tak ciekawy świat idei pisarza, jego spostrzeżeń, konkluzyj i rozważań. Te lub owe utwory mogą grzeszyć w większej lub mniejszej mierze przeciw zasadom konstrukcyi powieściowej; wszystkie prawie mają wyższą ponadto wartość dzieł myśli i przeżycia.

Geneza i rozwój historii sztuki.

Sztuka jest stara jak świat, ale jej dzieje są młodą jeszcze gałęzią wiedzy.

Losy historii sztuki i historii powszechnej zupełnie analogiczne. Obok kronik, silva rerum, annałów, pamiętników, będących kolebką dziejów powszechnych, zjawiają się współcześnie liczne biografie i dzieła techniczne przez artystów pisane, stanowiące materiał dla historii sztuki. I treść ich, podobnie jak treść annałów i kronik, w znacznej części nie wytrzymuje naukowej krytyki; dlatego, aby mogły być użyte jako materiał do dziejów sztuki, należało je, podobnie jak i tamte, starannie przesiał przez gęste sito naukowej krytyki, czego dokonano w połowie zeszłego stulecia. Tu niepodobna o nich zamilczeć, gdy się ma mówić o genezie dziejów sztuki, one bowiem właściwą były ich kolebką.

Pierwszą pracą tego rodzaju, którą historycy sztuki mieniały być embrionem tak wspaniale rozkwitłej nowej gałęzi wiedzy, jest traktat przez florentczyka Cennino Cennini'ego w r. 1398 napisany p. t. „Libro dell'arte.“ Zawiera on przepisy, dotyczące techniki modelowania, odlewu i t. d. Na szczególniejszą uwagę zasługuje rada, jaką daje Cellini, jako uczeń Giotta, artystom — studyowania natury, nazywając ją „najpewniejszym sterem i tryumfalnymi wrotami“ dla rysownika, — naturalizm też stał się następnie charakterystyczną cechą szkoły florenckiej.

W rozwoju sztuki włoskiej Florencyja najważniejszą odegrała rolę. Czem Ateny od czasów Fidyasza do Praksytelesa były dla Grecyi, tem Florencyja stała się dla Włoch od czasów Giotta do Michała Anioła. To miasto wiecznego kwiecica kultura włoska obrała sobie za swoje główne siedlisko. Tu język włoski przed wszystkimi innymi nowożytnymi literacko się ukształtował, tu też

zrodziła się i sztuka włoska. Giotto wnosi naturalizm do malarstwa, a Donatello do rzeźby. Tu rodzi się: „rinascimento.“ Brunelleschi daje mu ciało, a Alberti duszę. Sławne dzieło Alberti'ego „De reaedificatoria“ stanowczo w walce z gotykiem przechyla szalę zwycięstwa na stronę stylu odrodzenia.

Leone Battista Alberti (1404—1472) z pośród czterech pionierów florenckich architektury klasycznej wyróżniał się nie tylko arystokratycznym pochodzeniem z rodziny starych patrycjuszów miasta, ale przede wszystkim uniwersyteckim wykształceniem. Pan bogaty, zajmował się architekturą nie dla chleba, ale z amatorstwa, to też wykonywanie planów, które sam przygotowywał, innym powierzał. Pisał wiele i on to dopiero dał architekturze renesansowej podkład naukowy; stąd słusznie zwać się może ojcem stylu odrodzenia.

Ogólnie mówiąc, okres budzącego się we Włoszech renesansu wywołał wielki ruch na polu artystyczno-literackim. W krótkim zarysie rozwoju dziejów sztuki nie podobna nam wnikać w treść każdej, w szczególności literackiej, tego okresu pracy; zresztą, dotyczą one prawie wyłącznie techniki jednego z działów sztuk plastycznych, dlatego wystarczy, jak sądzimy, na tem miejscu wymienienie nazwisk autorów i materji, o której pisali. Lorenzo Ghiberti, twórca sławnych drzwi florenckiego baptisterium, które Michał Anioł nazwał „porta coeli“, pozostawił cenne rękopisy, dotyczące życia artystów sienneńskich i florenckich. Filarete pisał o architekturze, Pomponio Gavino o rzeźbie, Paolo Pina napisał „Dialoghi di pittura“, genialny Leonardo da Vinci również „Trattato della pittura.“ O malarstwie także pisali: Lodovico Dolce, Michelangiolo Biondo, Doni, Christoforo Sorta, Gianbattista Armenini, Bernardino Campi. Najznakomitsze wszakże prace w tym przedmiocie zostawili: florencezyk Raffaele Borghini, jakoteż medyolańczyk Giov. Paolo Lomazzo, p. t. „Trattato dell'arte della pittura (1589 r.).

Jak widzimy, wszystkie te prace artystów włoskich były to dzieła fachowe, traktujące o technice pewnej gałęzi sztuki. Dopiero pomiędzy 1550—1568 r. ukazuje się we Florencji znakomite dzieło w 9 tomach p. t. „Vite de' più eccelenti pittori, scultori ed architetti“, które już bezpośrednio ma łączność z dziejami sztuki. Autor jego, Giorgio Vasari z Arezzo (1512—1574), był nadwornym malarzem i architektem Medyceuszów i napisał je na wyraźny rozkaz księcia, wielkiego mecenasu sztuki. Miał on polecone opisać życie i działalność wszystkich artystów włoskich tak żyjących, jako i nieżyjących. Jakoż, o ile ówczesne środki dozwolily, Va-

sari z polecenia jaknajsumienniej się wywiązał. Prawda, że skoro do dzieł Vasari'ego w połowie zeszłego wieku zastosowano metodę krytyczną, wykryto w nich liczne błędy, nieuzasadnione sądy, nawet omyłki chronologiczne, ale bądź co bądź, jeżeli to co pisze Vasari o przeszłości, należy przyjinować krytycznie, w podanych przez niego współczesnych mu faktach, po dziś dzień stanowi on największą powagę. Że zaś żyje w okresie złotym rozwoju sztuki włoskiej, więc praca jego jest dziełem, bez którego żadna większa biblioteka obejść się nie może. Ten wszakże poważny zarzut Vasari'emu uczynić należy, że w dziele swem nie docenia niezmiernej wagi epoki, którą przeżywa, dla rozwoju sztuki. Świeżo jeszcze odniesione zwycięstwo renesansu nad gotykiem wymagało silnego uwydatnienia starcia się i walki obu kierunków, jakoteż tryumfu odrodzenia. O tym pojedynku dwóch kultur: chrześcijańskiej i pogańskiej, o tej tak doniosłej w następstwa epoce, które całe stulecia przetrwać musiały—Vasari milczy. Milczy, bo nie rozumie ważności chwili, którą przeżywa.

Wiek XVII we Włoszech nie dorzucił do skarbnicy badań nad dziejami sztuki. Ograniczono się w nim nowemi wydaniami dzieł w minionych stuleciach ogłoszonych. Dopiero pod koniec XVII w., bo w r. 1697, ukazała się: „Storia universale privata con monumenti e figurata con simboli degli antichi“ Francesco Bianchini'ego, dzieło nie małego znaczenia dla dziejów sztuki.

Od początku XVII w. największa działalność na polu historii poczyna się we Francji. Główna zasługa obudzenia zainteresowania się francuskiego społeczeństwa sztuką i jej dziejami należy się uczonemu Klaudyuszowi Favre Peiresc (1580—1637). Osobliwie podówczas uwydatnił się we Francji ruch w kierunku sztuki rodzimej. Na jego czele stanął wielki narodowy malarz Poussin (1594—1665) i uczony podróżnik Jacques Spon (1647—1685). Jak skuteczną była ich podniosła praca w kierunku obudzenia zamiłowania do sztuki, wystarczy nadmienić, że we Francji o wiele wcześniej, niżli u innych cywilizowanych narodów, bo już w r. 1665, powstaje L'Academie de Peinture et Sculpture, w r. zaś 1679 Colbert otwiera L'Academie des inscriptions et Belles-Lettres.

Pod wpływem Poussin'a i jego kierunkiem jeden z członków obojga Akademij—André Félibien (1619—1695) usiłuje stworzyć plan historii sztuki i jej całokształt rozklasyfikować w dziele p. t. „Entretiens sur les vies et les ouvrages de plus excellents peintres anciens et modernes,“ wydanem w r. 1685. Dzieło to i dziś wartości swej nie utraciło.

Jeszcze większe dla dziejów sztuki we Francyi położył zasługi hr. de Caylus (1692—1765), człowiek olbrzymiej nauki, w którym, rzec można, skupiła się cała ówczesna archeologiczna wiedza. W jego znakomitej pracy p. t. „Recueil d'antiquités égyptiennes, étrusques, grecques, romaines et gauloises,“ w siedmiu tomach, w r. 1752 ogłoszonej, mamy już pierwszą próbę podziału dziejów sztuki na pojedyncze okresy, jakoteż pierwszą próbę krytycznego rozbioru i badania zabytków sztuki.

*

*

*

Niemcy, jeżeli pominiemy drobne prace, a raczej przyczynki do dziejów sztuki Skaligera, Jana Grutera z Heidelberga (1560—1612), jakoteż Ezechiela Spanheima (1629—1710) i Wawrzyńca Begera (1653—1705), ostatni wzięli się do pracy nad dziejami sztuki. Bezstronność jednakże przyznać nakazuje, że skoro pracę rozpoczęli, odrazu wprowadzili historję sztuki na drogę naukową; chociaż, skoro się weźmie pod uwagę ów znaczny postęp, jaki w ciągu XVII w. historia sztuki we Francyi uczyniła, łatwo można było przewidzieć, że blizka jest chwila, w której nauka będzie musiała rozewrzeć wrota i wpuścić do swej świątyni nowo-kreowaną gałąź wiedzy. Olbrzymie zainteresowanie się całego myślącego świata w r. 1748 odkrytymi z pod kilkometrowej warstwy popiołu ruin Herculanium, Pompei i Stabii kazało oczekiwać znacznego postępu dziejów sztuki.

Jakoż istotnie, skoro ogół profanów nasycił głód ciekawości widokiem od osiemnastu wieków zamarłej kultury, przyszła kolej na poważną naukę, na rozwiązywanie licznych zagadnień, które uczonemu światu wyłoniły się z pod wezuwiuszowych popiołów.

Los chciał, że te wszystkie naukowe zagadki rozwiązał niemiecki uczonec Jan Joachim Winckelmann. Metoda zaś naukowa, przez niego w tym celu użyta, wprowadziła historję sztuki na tory już czysto naukowe.

Dokonawszy gruntownych studyów nietylko nad zabytkami Pompei, ale i nad wielu innymi tak we Włoszech, jakoteż w Dalmacyi i Grecyi, jako rezultat studyów ogłosił Winckelmann w roku 1755 dzieło p. t. „Gedanken über die Nachahmung der griechischen Kunst in der Malerei und Bildhauerkunst.“ Epokowym jest

wszakże dla rozwoju dziejów sztuki rok 1764, w którym Winckelmann wydał sławne swoje „Geschichte des Alterthums.“ W tem dziele dowodzi on wyższości sztuki greckiej ponad sztuki wszystkich innych ludów starożytności; w niej widzi wzór i kulminacyjny punkt artystycznej doskonałości, jako też miarę, według której inne dzieła sztuki winny być oceniane.

Dzieło to u ogółu inteligentnego wzbudziło wielkie zainteresowanie, a wśród uczonych obudziło zapał do studyów nad sztuką klasyczną. Najwybitniejsze umysły ówczesne: Goethe, Lessing i cała plejada wejmarskich uczonych hojną daniną ze swego talentu sztuce klasycznej złożyła. Dla twórczości Goethego dzieło Winckelmanna nowe horyzonty rozwarło. Lessing pisze sławne dzieło estetyczno-krytyczne o grupie Laokoona.

Ale i poza granicami Niemiec dzieło Winckelmanna wzniciło niebywały zapał do studyów nad sztuką klasyczną.

We Włoszech stają do pracy: Fea, Lanzi, Nibby, Guattani, Bottari, Visconti. W Rzymie, w końcu XVIII w., tworzy się całe grono różnonarodowe uczonych, złożone z artystów, mecenasów i lubowników klasycznej sztuki, które za cel sobie wytknęło—dalej pracować w duchu Winckelmanna. W tem gronie widzimy tak wybitne nazwiska, jak: Canova, Thorwaldsen, Zoëga, Carstens, Koch, Wagner.

Na Francję ten ruch oddziaływa przeważnie w kierunku teoretycznych studyów nad sztuką. W tym duchu piszą o sztuce: Batteaux, Diderot, Falconet, Henri de Watelet, Cochin, Barthélemy. W praktyce ten ruch powtórnym ku studyom sztuki klasycznej objawia się w stylu dyrektoryatu i cesarstwa.

Wyprawa Napoleona do Egiptu daje początek nowej gałęzi archeologii—egyptologii, której wielu wybitnych uczonych swe zdolności poświęca. Prawie równocześnie rozpoczęto poszukiwania archeologiczne w Azji Mniejszej, które znów stworzyły asyryologię i asyryologów. Sale Luvru bardzo szybko zapełniają się zabytkami sztuki egipskiej, asyryjskiej i chaldejskiej, w ten sposób umożliwiając studia naukowe na miejscu, w stolicy. Słowem, materyał do dziejów sztuki codziennie rośnie i olbrzymieje, zapowiadając swoim rozrostem bliskość chwili, gdy wiedza dla historii sztuki w swoim przybytku będzie zmuszona obszerny i wspaniały lokal wyznaczyć.

*

*

*

Pospolicie tak bywa, że to, co od nas odległe, co do osiągnięcia trudniejsze i mniej dostępne, więcej w nas budzi zainteresowania i ciekawości, aniżeli to, co nam bliskie, co nas otacza, z czem się ustawicznie spotykamy, choćby ów przedmiot był niemniej interesujący i ciekawy. Najlepszym tego dowodem stopniowy rozwój historii sztuki.

Pomimo, że w końcu XVIII i na początku XIX w. zapanał tak wielki ruch na polu archeologii i taki entuzjazm ogarnął wszystkich dla zabytków dawnych, przez długi czas na myśl nikomu nie przyszło zadać sobie pytanie, czy te zabytki przeszłości, które wśród nas się znajdują, któreśmy w sukcesji po przodkach odziedziczyli, a które tak są nam bliskie, nie mogłyby nas równie, a może i więcej jeszcze zainteresować, niżli egipskie, asyryjskie, chaldejskie. Musiały one czekać na swego Winckelmanna. Wydała go Francya w osobie znakomitego badacza Seroux d'Agincourt (1730—1814), ucznia wymienionego wyżej hr. de Caylus.

Winckelmann opracował dzieje sztuki aż do początków ery chrześcijańskiej, Seroux d'Agincourt postanowił je dalej prowadzić. Owocem długoletniej jego pracy było dzieło p. t. „Histoire de l'art depuis la décadance jusqu'à son renouvellement,” w 6-ciu tomach, w r. 1826 wydane.

Abyśmy należycie ocenić mogli, jak wielką rolę to dzieło odegrało nietylko w rozwoju historii sztuki, ale i w całym ruchu umysłowym współczesnej Europy, należy uprzytomnić sobie olbrzymi przewrót duchowy, jaki na początku zeszłego wieku dokonywał się w łonie całego ówczesnego społeczeństwa, bądź to pod wpływem wojen napoleońskich w kierunku nacjonalistycznym, bądź też w poglądach filozoficznych, na które tak wielki podówczas wywierali wpływ idealisci niemieccy, bądź nakoniec w kierunku literackim, gdzie wrzała zacięta walka między klasycyzmem i romantyzmem. Wobec tych duchowych przewrotów nastrój ogólny społeczeństwa był idealistyczny, marzycielski. Zdawało się, że na całą Europę wionął wiatr wiosenny, że narody jej odmłodziły, że świat rozpoczyna nową erę braterstwa i miłości. Schelling z katedry uniwersyteckiej głosił, że każda epoka i każdy naród ma wytknięty sobie przez Opatrzność cel w ogólnym biegu dziejów świata, że dzieje powszechne wszech ludów stanowią jedną wielką epopeję świata. Zgodnie z takim poglądem na dzieje, rozpoczęto wszędzie badania przeszłości własnego narodu, aby śledząc jego dziejowe drogi, przeniknąć cel, przez Opatrzność wytknięty mu w ogólnej epopei świata.

I nie tylko filozofowie, ale i romantycy do badania dziejów własnego narodu nawoływali, szukając w mytach, podaniach i baśniach dla siebie potrzebnego materiału. Rzucono się więc do archiwów i bibliotek publicznych i prywatnych, aby badać przeszłość własnego narodu. I w tych pyłach zapomnienia pokrytych dokumentach odkryto bogatą skarbnicę narodowych podań, rycerskie pieśni trubadurów i minesingerów i niewyczerpaną kopalnię baśni i płodów twórczej fantazyi ludowej.

W chwili takiego ogólnego nastroju ducha i umysłów ukazanie się dzieła, które zawierało w sobie odzwierciedlenie w sztuce wszystkich płodów uczucia i wyobraźni całej narodowej przeszłości, rzecz jasna, musiało być z entuzjazmem przez ogół przyjęte. Przeglądający karty „Histoire de l'art d'Agincourt'a“ przy usposobieniu idealistyczno-nacyonalistycznym musiał w chwili zgłębiania jej treści doznawać silnych duchowych wzruszeń. Te wieki średnie, dotąd uważane za wieki największej ciemnoty i najwstrętniejszego fanatyzmu, teraz nieco inaczej się przedstawiły. Tak, dopiero teraz przy blasku pochodni szczytnego idealizmu, przy ciepłej miłości własnego narodu poznano, zrozumiano i odczuto średniowieczne zabytki sztuki. Teraz dopiero pojęto nadziemską atmosferę strzelających wysoko wieżyc i pinakli wyniosłych świątyń gotyckich i tych legionów świętych zewnątrz i wewnątrz kościołów w niszach stojących; teraz dopiero odczuto mistyczny nastrój płodów pędzla średniowiecznego w gotyckich tryptykach, poliptykach i ankonach, słowem, teraz dopiero rozumiano całą moc i gorącość wiary i całą potęgę uczucia rycerskiego ducha średniowiecza. Zrozumiano tedy zarazem, że go oplwano i spotwarzono, że mu się słusznie należy zadosyćuczynienie, dlatego teraz, nagradzając mu kilkowiekową krzywdę, z dumą, pełną uczucia godności własnej, uznano go za najszczytniejszy wiek, za wiek młodzieńczy, pełen poezyi i rycerskiego ducha, za górny i chmurny wiek własnego narodu.

*

*

*

Na dalszy rozwój historii sztuki bezwątpienia znaczny wpływ wywarł postęp nauk filologicznych. Metoda historyczna, zastosowana przez Wolffa, Grimma, Humboldta do badań filologicznych, a potem przez Niebuhra i innych do historii powszechnej, nie mogła pozostać bez wpływu i na system badań dziejów sztuki. Wprowadzenie zaś do nich tej metody krytycznej znacznie uzupełniało braki dotychczasowego systemu badań Winckelmanna.

Ta metoda historyczna badania zabytków sztuki polega na badaniu dokumentów piśmiennych i źródeł historycznych, odnoszących się do pojedynczych zabytków sztuki, jakoteż na zwracaniu szczególniejszej uwagi wśród badania na odrębność ich cech charakterystycznych tak narodowych, jako też szczepowych.

Studia nad wyodrębnieniem charakterystycznych cech narodowych w zabytkach sztuki wielce ułatwiły podówczas tworzące się licznie zbiory prywatne, a osobliwie publiczne. Tu dopiero można było stwierdzić prawdziwość słów Ed. Gerharda: „*Monumentorum artis, quoniam unum vidit—nullum vidit, qui mille vidit—unum vidit*“ (kto jeden tylko oglądał zabytek sztuki, żadnego nie widział, kto zaś widział ich tysiąc, ten jeden widział).

Do dalszego rozwoju historii sztuki w Niemczech nie mało również przyczynił się Instytut Archeologiczny w tym czasie w Rzymie założony, który zgrupował około siebie niemieckich uczonych, we Włoszech nad dziejami sztuki pracujących. Liczył on w łonie swoim takich znakomitych uczonych, jak: Bunsen (1791—1860), Ed. Gerhard (1795—1867).

Wszakże to wszystko, co dotąd dla rozwoju dziejów sztuki zdziałano, było zaledwie przygotowaniem podłoża dla dziejów sztuki, jako poważnej nauki. Winckelmann i jego następcy historię sztuki doprowadzili tylko do progu świątyni wiedzy, ale do jej wnętrza nie zdołali jej wprowadzić. Metoda historyczna zapoczątkowała krytyczny system badania zabytków, ale historię sztuki była w stanie tylko na progu świątyni wiedzy postawić. Do jej wnętrza wprowadził dopiero historię sztuki uczony niemiecki badacz Karol Fryderyk v. Rumohr (1785—1843). Jego kapitalne dzieło „*Italienische Forschungen*,” pomiędzy 1827—1831 r. ogłoszone, stanowi nową epokę, w której już historia sztuki naukowe laury zdobywa. Rumohr w swej pracy nie ogranicza się, jak Winckelmann, li tylko do badania zabytków sztuki. Cały tom pierwszy poświęca on teorii i krytyce nowych kierunków w sztuce. Wiele miejsca przeznaczona na rozbiór podstawowych estetycznych pojęć: idei, ideału, typu i t. d. Winckelmanowi i Lessingowi zarzuca, że tak szeroko rozwodzą się nad wrażeniami, jakie

zabytki sztuki klasycznej na widzów wywierają, nie dawszy czytelnikom przedewszystkiem należytego pojęcia, czem jest sama sztuka. Aby zaś odpowiedzieć na to pytanie, Rumohr nie błąka się w labiryncie psychologii empirycznej, jak to czynili myśliciele angielscy, nie gubi się w metafizycznych dociekaniach na wzór swoich ziomków, od Baumgartena poczynając a na Heglu kończąc, nie poszukuje on nawet rozwiązania kwestyi na drodze badań doświadczalnych, jak czynili francuscy estetycy. Rumohr, aby znaleźć odpowiedź na pytanie, czem jest sztuka, zstępuje w tym celu do źródła artystycznej twórczości, do duszy ludzkiej i tu na pytanie odnajduje odpowiedź.¹⁾ Uważa on sztukę za zewnętrzny objaw ducha artysty, jego żądz, jego pragnień, jego potrzeb, które tenże artysta w dziele wypowiada.

Rzecz jasna, że taki pogląd na sztukę, dający się zastosować zarówno do sztuki klasycznej, jak średniowiecznej i nowożytnej, konsekwentnie w następnych tomach przez Rumohra stosowany do zabytków sztuki, ustalał punkt widzenia, z którego historyk sztuki ma rozpatrywać zabytki przeszłości, a zarazem dawał możliwość łączenia, niyby cementem krytycznym, wszystkich okresów dziejów sztuki w jeden doskonały całościowy kształt. Jakoż w kilkanaście lat po ogłoszeniu „Italienischen Forschungen“ widzimy już próby wydawnictwa całkowitych dziejów sztuki.

Ta więc metoda Rumohra badania zabytków sztuki polega na stosowaniu do każdego zabytku badanego ogólnych pojęć filozoficzno-estetycznych i zgodnem z temi pojęciami zabytków klasyfikowaniu i grupowaniu.

Pierwszym, który według metody Rumohra odważył się opracować całościowy kształt z historii sztuki, był Franciszek Kugler († 1858). Tytuł dzieła: „Handbuch der Kunstgeschichte,“ 2 tomy, wydane w r. 1847. Był to krótki podręcznik, zawierający raczej tylko plan ogólny podziału szczegółowego całej historii sztuki. Nieomal współcześnie z Kuglerem Schnaasse (1798—1875) ogłosił ośmioto-

¹⁾ Posłuchajmy słów jego własnych: „Die Kunst ist eine dem Begriff oder dem Denken in Begriffen entgegengesetzte, durch hin anschauliche sowol Auffassung als Darstellung von Dingen, welche entweder untergegebenen oder auch unter allen Umständen die menschliche Seele bewegen und bis zum Bedürfniss der Mittheilung erfüllen. Auch ohne alle Erfahrung über die Grösse ihrer Leistungen werden wir demnach schon aus ihrem Begriffeschliessen müssen dass erst *die Kunst das geistige Leben und Wirken vollende; dass sie das Gebiet des Geistes erweitere und ausrunde; dass sie Wünsche und Bedürfnisse der Seele befriedige, welche der Begriff stets unerfüllt lässt.*“

mowe swoje dzieło p. t. „Geschichte der bildenden Künste,“ które obejmuje powszechne dzieje sztuki, ale tylko do Brunelschi'ego, t. j. do w. XV doprowadzone zostało. Za nimi drogą przez Rumohra wytkniętą idą: Passavant († 1861), Waagen (1794—1868), Kotho (1802—1873), Reumont (1808—1887). Osobliwszym darem umiejętnego grupowania dzieł sztuki i bystrym o nich sądem krytycznym wyróżnił się autor sławnego przewodnika dla podróżujących po Włoszech, p. t. „Cicerone,“ Jakób Burhardt z Bazylei. W popularyzowaniu znajomości dziejów sztuki w Niemczech nie mniejsze posiadał zasługi Antoni Springer (1825—1891). Jednym z najznakomitszych badaczy w tej dziedzinie, który przede wszystkim położył zasługi przez nawiązanie węzła pomiędzy historią sztuki i historią kultury, jako też rzucił wiele nowego światła na twórczość kilku najgenialniejszych artystów, jak: Michała Anioła, Rafaela i t. d., jest Hermann Grimm, ur. 1828. Do tej również grupy należą: Unger, Ernest Förster, Eitelberger (1817—1885), Herman Riegel (ur. 1834), Herman Hettner (1821—1882), Wilhelm Lübke (1826—1893); ten ostatni zasłynął również jako popularyzator dziejów sztuki.

Do młodszej generacji w Niemczech należą: Zahn, Thausing, W. Schmidt, Fran. Reber, Alfr. Woltman (1841—1880), Ed. Dobbert, C. v. Lützw, Bucher, Rud. Rahn, I. v. Falke, W. Bode, Robert Dohne (1845—1893), Lippmann, K. Justi, Hub. Janitschek (1847—1893), Lange, Henry, Thode, R. Vischer, Semper, Kraus, Dehio, Schnarsow, Lind, Wolf, Schnütgen, Spahn i inni.

Badaniu dziejów architektury w szczególności poświęcili się architekci: Karol Fryderyk Schinkels (1781—1841), architektury greckiej Karol Bötticher a Godfryd Semper greckiej i rzymskiej, Durm pisał o stylach pod względem technicznym, Hübsch, Lotz, Hase, Essenwein i Adler o architekturze średniowiecznej.

Dziwna rzecz, że w tym olbrzymim, jak widzimy, ruchu w Niemczech, skierowanym ku badaniu zabytków przeszłości, dotąd zaniedbano dokonać tego, od czego właściwie pracę rozpocząć należało. Mamy tu na myśli inwentaryzację zabytków sztuki.

Wszelkie wyniki badań naukowych wtedy dopiero krzepną i z mglistej krainy hipotez w słoneczną, o twardym gruncie, krainę pewników naukowych przechodzą, skoro są w stanie nie jednym sporadycznym, ale wielu analogicznymi faktami uzasadnić swe prawo do pewności i nieomyślności. Takich dowodów historykowi sztuki w jego badaniach nad zabytkami sztuki dostarczyć może jedynie dokładna inwentaryzacja tychże zabytków. Niestety! o niej długo w Niemczech nie pomyślano.

Dopiero w ostatniej ćwierci zeszłego stulecia widzimy w całych Niemczech olbrzymi ruch skierowany w celu zapewnienia tej ważnej luki. Praca to była kolosalna i nader mozolna.

Zapoczątkował ją i dał jej plan ogólny ks. Franc. Kraus w dziele p. t. „Kunst und Alterthum in Elsass-Lothringen“ pomiędzy 1876—1892. Tenże łącznie z Durmem i Wagnerem w r. 1887 wydał spis inwentarza zabytków w ks. Badeńskiego. Saksonię zinwentaryzował w r. 1879 Nordhoff, a w r. 1882 powtórnie Steche. Tenże w r. 1884 dokonał inwentaryzacji Prus Zachodnich, a w r. 1886 Szlezwig-Holsztynu. W tymże roku Lehfeldt ogłosił inwentarz prowincyj Nadreńskich, Kohte i Warschauer w r. 1896 W. Ks. Poznańskiego. Nadto zinwentaryzowano: w r. 1885 Brandeburgię, w r. 1890 Śląsk, w r. 1889 Wirtemberg, w r. 1892 Bawaryę, w r. 1887 w. ks. Hessen, w r. 1902 w. ks. Meklemburg-Schwerin.

Aby wytworzyć sobie dokładne pojęcie o olbrzymim rozwoju studyów nad dziejami sztuki w Niemczech należy również zwrócić uwagę na znaczną ilość wydawnictw peryodycznych, poświęconych wyłącznie temu przedmiotowi. I tak: już w r. 1820 w Sztutgarcie począł wychodzić „Kunstblatt,“ wydawany do 1840 r. Wkrótce potem Lützow zaczął redagować „Zeitschrift für bildende Kunst“ i „Kunstchronik.“ W Lipsku 1866 r. ukazał się „Kunstgewerbeblatt.“ Zahn, poczynając od 1868—1873 r., wydawał: „Jahrbuch für Kunstwissenschaft,“ jakoteż „Repertorium für Kunstwissenschaft.“ W Berlinie od r. 1880 wychodzi rocznik: „Jahrbuch der königl. preus. Kunstsammlung,“ w Wiedniu również „Jahrbuch d. kunsthist. Sammlung d. allerhöchst. Kaiserhauses.“ W roku bieżącym w Lipsku „Monatshefte für Kunstwissenschaft.“ Wymieniliśmy te tylko wydawnictwa peryodyczne, które są przeznaczone i poświęcone całkowitej historii sztuki, niepodobna nam bowiem wyliczać wszystkich, które pewną tylko jej gałąź uwzględniają albo w ogólnym programie i historię sztuki obejmują.

*

*

Należy przyznać, że praca nad rozwojem historii sztuki w ciągu zeszłego wieku wśród innych narodów Europy daleko powolniejszym postępowała krokiem, aniżeli w Niemczech, stąd też bardzo mało przyczyniły się one do udoskonalenia i pogłębienia metody badania zabytków sztuki.

W pracy, mającej na celu wskazać genezę i to tylko, co do dalszego rozwoju historii sztuki przyczynić się mogło, niepodobna jest użyć czytelnika opisem całkowitego rozwoju historii sztuki wśród każdego w szczególności narodu, tem więcej, że dla przedstawienia tego ruchu w Polsce, jako więcej nas interesującego, mamy zamiar uczynić jedyny wyjątek; dlatego o rozwoju historii sztuki wśród innych narodów Europy, dla wytworzenia sobie całkowitego poglądu, krótko tylko wspomnimy.

We Włoszech w końcu XVIII i na początku XIX w. ukazało się kilka prac drobnych, dotyczących pojedynczych zabytków sztuki. Najlepsze z nich: „Lettere Sanesi“ Giuliano della Valle i „Storia del duomo di Orvieto.“ Większą pracę w sześciu tomach ogłosił Lodovico Lanzi (1732—1810) p. t. „Histoire de la peinture en Italie depuis la renaissance des beaux-arts jusqu'à la fin du XVIII siècle,“ Giovanni Rossi (1776—1855) zaś w 4 tomach także „Storia della pittura italiana.“ Ale te prace, żadnej nie wyłączając, nieposiadają naukowej wartości. Nie rozpatrując zabytków w stosunku do powszechnych dziejów sztuki, ale zupełnie oderwanie, nie stosują wcale naukowej metody.

Dopiero Gaye (1804—1840), a potem Bonaini, Carlo, Gaetano, Milanesi, Guasti zaczęli przy studyach uwzględniać metodę naukową i w tym celu czynili mozolne badania archiwalne. Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje zbiorowa praca Anglika J. A. Crowe'go i Giov. Balt. Cavalcasalle p. t. „New History of Painting in Italy,“ wydana w 1864 r., która po dziś dzień i długo jeszcze zapewne będzie miała wielką powagę, mianowicie w kwestyach dotyczących malarstwa włoskiego okresu przedrafaelowskiego.

Do dalszego postępu historii sztuki i do udoskonalenia stosowanej dotąd metody naukowej badania zabytków sztuki wielce się przyczynił genialny krytyk artystyczny Giov. Morelli (1816—1891), piszący pod pseudonimem Lermolieff.

Z zawodu medyk, począł do badania zabytków malarstwa stosować metodę t. zw. doświadczalną. Morelli twierdził mianowicie, że każdy wybitniejszej indywidualności artysta, nie tylko wyróżnia się w ogólnej technice malarskiej odrębnymi, sobie właściwymi cechami, ale że i w szczegółach, w sposobie malowania

członków ciała np. oka, ucha etc. cechuje go odrębna technika. Morelli jest zatem ojcem t. zw. metody doświadczalnej, która polega na tem, że przy badaniu zabytku sztuki należy zwracać szczególniejszą uwagę na technikę artysty, a osobliwie na sposób wykonania drobnych szczegółów.

Gdy mowa o Włoszech, niepodobna też pominąć pisma peryodycznego bardzo dla rozwoju dziejów sztuki zasłużonego p. t. „Archivio storico dell'arte“ wraz z jego uczonymi redaktorami: Cattaneo, Baldoria, Venturim, Boito i Ridolfim.

We Francyi pierwszy, według metody naukowej, rozpoczął studia nad zabytkami sztuki Rio. Następnie świetnie tę metodę rozwijali S-te Beuve, Taine i inni. Również wiele zasług dla dziejów sztuki położyli: Blanc, Eug. Müntz, de Lasteyrie, Courajod, Molinier, Gonse, bądź to w oddzielnych książkach publikując wyniki swoich studyów, bądź też w specjalnych pismach peryodycznych, jak: „Revue archéologique“, „Gazette des beaux-arts“ lub w „Journal de l'art.“

Anglicy, w celu szerzenia wśród ziomków zamiłowania do historii sztuki, już w XVIII w. zawiązali dwa stowarzyszenia: „Dyletantów“ od r. 1734 i „Antykwaryuszów“ od 1770 — 1876 r. W XIX w. zamiłowanie do zabytków sztuki wielce się wzmogło. Na czele tego prądu stali tak wybitni mężowie, jak: Crowe, Eastlake, Westwood, Ruskin.

Niderlandzcy historycy sztuki, jak: Vosmaer, van Someren, A. I. Wauters, de Vries, van der Kellen, zajmowali się prawie wyłącznie tylko zabytkami świetnej w dziejach sztuki przeszłości własnego narodu.

W Rosyi na polu studyów nad historią sztuki odznaczyli się: Siergiej Uwarow (1786—1833), Köhler (1765—1838), Ludwik Stefani (1780 — 1851). Słynie, jako znawca sztuki bizantyńskiej, Kondakow.

*

*

*

U nas to pole naukowej pracy długo odłogiem leżało. Około połowy zeszłego wieku widzimy dość liczne grono uczonych polskich, poświęcających się badaniu zabytków przeszłości tak w Warszawie, jak i w Krakowie. W Warszawie świetnie rozpoczęła się praca i, na podstawie zaczątków, należało się spodziewać, że badacze zabytków przeszłości niezadługo wkroczą na ściśle naukowe tory. Wyborny skład uczonych warszawskiego grona kazał tego oczekiwać. Widzieliśmy w nim wprawdzie idealistę i na polu naukowej pracy, lubującego się w ryzykownej syntezie F. M. Sobieszczańskiego, ale obok niego znajdował się trzeźwy i krytyczny umysł Bolesława Podczaszyńskiego. I dalej, pełnemu ognia, zapału i żądzy czynu, ale dlatego w pracy rozrzuconemu, Edwardowi Rastawieckiemu można było przeciwstawić systematyczny i chłodny umysł Karola Bayera. Jakoż wspaniałe i źródłowe wydawnictwa, które w tym czasie w Warszawie ukazywać się zaczęły, jak: „Wzory sztuki średniowiecznej“ A. Przeździeckiego i E. Rastawieckiego od 1853—1862 (Warszawa—Paryż), „Słownik malarzów polskich“ od 1850—1857 E. Rastawieckiego, „Pamiętnik sztuk“ od 1850—1854, redagowany przez Podczaszyńskiego, „Monety Piastów“ K. Stronczyńskiego 1846, zdawały się zapowiadać, że praca nad historią sztuki w Polsce obiecuje sobie w Warszawie główne siedlisko. Niestety! nieszczęśliwe wypadki krajowe i skutek tego niemożliwość skupienia sił naukowych około jednego środowiska, którem z natury rzeczy winien być uniwersytet, albo jakieś Towarzystwo naukowe, zniweczyła w zarodku dobrze poczętą pracę w Warszawie i w Wilnie, gdzie E. Tyszkiewicz i A. H. Kirkor równie gorliwą na tem polu rozpoczęli działalność. Ze śmiercią tych uczonych wygasa też pod panowaniem rosyjskiem zamiłowanie do badania zabytków przeszłości. Z. Gloger i M. Bersohn to jakoby ostatni maruderzy świętego grona archeologów warszawskich połowy zeszłego stulecia.

Pracę naukową, której warunki polityczne nie pozwoliły rozwinąć się w Królestwie, wzięła w swoje ręce Galicya. Warunki miejscowe sprzyjały zadaniu. Żadne inne miasto na ziemiach polskich nie nadawało się lepiej na siedlisko dziejów sztuki, jak Kraków. Z murami jego najpiękniejsze karty dziejów narodu były związane, on też największą ilość narodowych zabytków sztuki przechował, posiadał muzea, wspaniałe biblioteki, słowem wszystko, co uczonemu badaczowi ułatwia pracę. Świeżo ogłoszona autonomia, dwa uniwersytety polskie, możność organizacyi towarzystw naukowych pozwalały łączyć się w celu wymiany myśli

i systematycznej pracy. Jednego Krakowowi brakowało, brak było... ludzi odpowiednio przygotowanych.

Wprawdzie w tym czasie, gdy grono uczonych warszawskich z wyteżoną energią nad zabytkami przeszłości pracowało i na gruncie krakowskim widzimy kilku uczonych badaczy, jak: Ambroży Grabowski, Kremer, Józef Łepkowski, Żebrowski, a przede wszystkim Paweł Popiel, który, jak pisze jego biograf, „wniósł w atmosferę starego Krakowa wyższy nastrój, miłość i odczucie wartości polskich zabytków i pomników sztuki i stał się duchowym przewodnikiem grona znawców;“ ale wśród tych skądinąd czcigodnych badaczy i niestrudzonych pracowników brakowało takich umysłów i takich charakterów, jakie Warszawa miała w osobie Podczaszyńskiego i Bayera. Było tam wiele pracy, jeszcze więcej zapału, a najwięcej miłości, która niezawsze jest neutralną, w sądach bezstronną, w działaniu taktowną, a w pracy krytyczną.

Prawdziwie naukowa działalność badaczy krakowskich rozpoczyna się dopiero od chwili otwarcia Akademii Umiejętności w r. 1873, a ściślej mówiąc od utworzenia przy niej na wniosek Lucyana Siemieńskiego osobnej Komisji do badania historii sztuki.

Celem tej Komisji było zespolić działalność wszystkich polskich uczonych nad historią sztuki pracujących i podnieść tę gałąź wiedzy na wyżynę na jakiej stała ona na Zachodzie.

Jednym z najczynniejszych i najwięcej zasłużonych członków tej Komisji był Władysław Łuszczkiewicz (1828—1900). Działalność naukowa nieomal całego życia Łuszczkiewicza ma na celu prawie wyłącznie tylko studia nad architekturą romańską w Polsce. Tym studiom 44 lat życia swego poświęcił. Wskutek tego skoncentrowania się Łuszczkiewicz doszedł do bardzo poważnych rezultatów, zebrał plon obfity i w sprawach dotyczących romanizmu w Polsce stał się pod koniec życia najwyższą powagą. Wszakże w działalności na tem polu należy rozróżnić dwa okresy, których granicznym słupem była chwila przyjęcia go do liczby członków Komisji i do badania zabytków sztuki. Prace jego z pierwszego okresu nie wytrzymują jeszcze ścisłej naukowej krytyki. Łuszczkiewicz nie był z zawodu wykwalifikowanym historykiem sztuki. Po dwuletnich studiach w Uniwersytecie Jagiellońskim na wydziale filozoficznym przez rok jeden uczęszczał do paryskiej Akademii „des beaux arts,“ a po powrocie do kraju objął wykłady w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych. W Krakowie wpływ Grabowskiego, Siemieńskiego, Kremera, Żegoty Pauli'ego, a osobliwie Pawła Popiela tak na niego oddziałł silnie, że postanowił

poświęcić się badaniu ojczyznych zabytków. Jak słabo był on przygotowany do tych studyów najlepiej świadczy o tem sam tytuł pierwszej jego pracy w r. 1856 w „Czasie“ ogłoszonej: „Wiadomość o zabytku architektury bizantyńskiej w klasztorze jędrzejowskim.“ O tym pierwszym okresie naukowej działalności Łuszczkiewicza p. Leonard Lepczy w nekrologu jego powiada: „Wysztalcenie dalsze w tym i w innych kierunkach jego wielostronnej wiedzy przypisać należy własnej późniejszej pracy nad sobą.“¹⁾ To też istotnie skoro się porówna tę pierwszą pracę Łuszczkiewicza z historią sztuki z ostatnią jego pracą „Architektura romańska kościoła Ś-go Andrzeja w Krakowie“ cześć i uwielbienie dla jego osoby budzi ten nadludzki wysiłek woli i pracy. Jakże wielkie musiało być umiłowanie przedmiotu, któremu on swe życie poświęcił!

W drugim zaś okresie naukowej działalności stopniowo daje się spostrzegać w pracach Łuszczkiewicza coraz skrupulatniejsze rachowanie się z wymaganiami ścisłej metody krytycznej. Był to widoczny z jednej strony wpływ dyskusyj na posiedzeniach Komisji odbywanych, a z drugiej dowód mozolnej jego pracy nad sobą. Pracował bardzo. D-r Tomkowicz w nekrologu Łuszczkiewicza wylicza 161 artykułów i rozpraw i 34 recenzje z publikacyj artystycznych, któreby mogły zapełnić kilkanaście tomów.

Zaprawdę, było to opatrnościowem dla badań nad dziejami sztuki w Polsce, że w chwili otwarcia przy Akad. Umiejętności komisji do badania zabytków sztuki stanął do pracy młody uczonej historyk sztuki, świetnie w swym zawodzie wyspecjalizowany i pełen zapału dla prac projektowanych — prof. Maryan Sokołowski.

Dotyychczasowe prace naukowe nad zabytkami sztuki krakowskich uczonych tę posiadały kapitalną wadę, że nie rachowały się z naukową metodą na Zachodzie, powszechnie już stosowaną, i dlatego nie posiadały naukowej wartości. Nietylko nie uwzględniano w badaniach ani metody estetycznej i filozoficznej Rumohra, ani doświadczałnej Morelli'ego, ale nawet stosując metodę historyczną Niebuhra do ojczyznych zabytków sztuki, zgodnie z duchem ówczesnej, idealistycznej, historycznej szkoły lelewelskiej, stosowano ją stroniwie, przy silnem zabarwieniu narowego szowinizmu. P. Leonard Lepczy we wspomnianym nekrologu Łuszczkiewicza o badaczach krakowskich tego czasu pisze: „Niezwykła miara szowinizmu, maskującego niewiarę, brak wszelkiej

¹⁾ Sprawozdanie Kom. do bad. hist. szt. T. VII, zesz. I i II, str. III.

ufności w powodzenie poważnych badań, kazała rozgłaszać, że Stwosch i Kulmbach byli krakowianami; mnożyły się ich atrybucye do niebywalej liczby, a nikt nie miał odwagi potępić publicznie to naukowe kłusownictwo, nikt skarcić i wręcz oświadczyć, że z pergaminów spłowiałych wytarte niemieckie wyrazy, wydarte z kodeksów karty, na obrazach wywabione podpisy — to nieuczciwość: że to swawoli i nieuctwa dowody, które ani nam nie przynoszą chluby, ani zwiększą zastępu naszych artystów z przeszłości, ani też nie zmieniają żadnego faktu, a zaciemniają tylko i utrudniają badanie nad istotnem odbudowaniem historii naszej cywilizacji i pomników naszej kultury. Atmosfera to była ciężka, fatalna, bo porywała za sobą i zdrowsze jednostki lub je do tego stopnia onieśmielała, iż nie miały odwagi męskiej, by walkę z nią rozpocząć i pokonać stanowczo tę z fałszywego pojęcia patriotyzmu zrodzoną metodę.“¹⁾ Niewątpliwie, źródło tej błędnej metody było najczystsze — gorąca miłość ojczyzny i pragnienie zwiększenia jej blasku, ale dla tych szlachetnych pobudek stracono z okagodność nauki polskiej, która nie mogła sprzeniewierzyć się „prawdzie,“ zapomniano o zasadzie „amicus mihi Plato, sed magis amica veritas.“

Tym, który do boju wystąpił z owym fałszywym prądem w tonie Komisji, był prof. Maryan Sokołowski. Zamiłowanie prawdy i świetna metoda naukowa, którą, po ukończeniu studyów na uniwersytetach: paryskim, hejdelberskim i wiedeńskim, do kraju przyniósł, były jego bronią pewną i niezawodną. Znakoμίta jego praca p. t. „Ruiny na ostrowie Lednicy“ i t. d., ogłoszona w Pam. wydz. filolog. i filozof. Akad. Umiejętn. III w roku 1876 nieco podobną odegrała rolę w dziedzinie badań nad zabytkami sztuki, jak sławne w swoim czasie „Dzieje Polski w zarysach“ Bobrzyńskiego wśród naszych historyków. Nie wywołała ona tej wrzawy i tej zaciętej dwóch kierunków polemiki, jaką „Dzieje“ wywołały, bo nie była pracą polemiczną, ale ściśle naukową, to też odniosła nad starym kierunkiem zwycięstwo eiche, ale stanowcze, nie treścią bojowniczą, ale wartością naukową. Stała się odtąd wzorem, jak nasze zabytki badać i opracowywać należy.

Ale i w zapale do pracy prof. Sokołowski nie ustępował takim gorącym badaczom, jak Łuszczkiewicz lub P. Popiel. Owszem, i tu górował nad nimi o tyle, że jako wyspecjalizowany historyk sztuki, wiedział co czynić należy, aby na tem polu naukowej pra-

¹⁾ Sprawozd. Kom. do bad. Historii sztuki. T. VII. Zesz. I i II, str. III.

cy stanąć na jednym poziomie z Zachodem. Na posiedzeniu Komisji z d. 3 lutego 1887 r. prof. Sokołowski złożył na ręce przewodniczącego projekt reform Komisji, zamknięty w 19 punktach, a żądający: zwiększenia tak liczby członków Komisji, jak i korespondentów, ogłaszania sprawozdań z posiedzeń tak w rocznikach Komisji, jak i w pismach peryodycznych, rozszerzenia całej działalności Komisji, ułożenia słownika wyrazów polskich, dotyczących sztuki, jakoteż bibliografii dzieł tejże treści i t. d. Projekty jego zostały na posiedzeniu Komisji jednogłośnie przyjęte.

Wpływ Sokołowskiego na członków Komisji był znaczny. Ciekawą jest rzeczą śledzić w sprawozdaniach z posiedzeń, jak dyskusye, prowadzone na sesyach, stopniowo pod tym wpływem coraz skrupulatniej liczyły się z wymaganiami metody naukowej. Dnia 11 lutego 1892 r. Sokołowski zostaje wybrany na prezesa Komisji. Od tej chwili Komisya ze zdwojoną gorliwością pracuje. Znamienną jest rzeczą, że zeszyty „Sprawozdań,“ odtąd ogłaszane, dwu i trzykrotnie objętość swoją zwiększają. Już w marcu 1892 r. staraniem Komisji tworzy się nowe jej grono lwowskie, które dokoła siebie gromadzi takich uczonych jak: Władysław Łoziński, Wojciech hr. Dzieduszycki, Bołoz Antoniewicz, Finkel, Aleksander Czołowski i inni, a które nie mniej energicznie wzięło się do pracy.

Wkrótce też w Krakowie powstaje Tow. miłośników historii i zabytków miasta Krakowa, które od r. 1898 wydaje „Rocznik krakowski,“ obejmujący prace nad zabytkami Krakowa najznakomitszych naszych badaczy.

Liczba uczonych, badaniu zabytków sztuki poświęconych w Galicyi, znakomicie wzrosła. Pociuszającym jest objawem dla stanu tej gałęzi wiedzy, że wśród uczonych krakowskich nastąpiła specjalizacya studyów. Architektura, rzeźba, malarstwo, złotnictwo, tkactwo, numizmatyka, słowem, nieomal każdy dział historii i sztuki posiada przynajmniej jednego znakomitego specjalistę. Wy różniają się nazwiska takich badaczy, jak profesorowie: hr. Mycielski, Konst. Górski, Bienkowski, Demetrykiewicz, dyrektor Muz. Nar. Kopera, Leon Lepszy, Tomkowicz, Muczkowski, Pagaczewski, Odrzywolski, Hendel, Bartynowski, Chmiel, Gumowski, Cecha, nie licząc najmłodszej generacyi uczniów prof. Sokołowskiego, z których dali się już poznać: Nikodem Pajzderski, Fran. Kleju, Konstancya Stępowka.

Nakoniec inwentaryzacya zabytków sztuki w Galicyi ma się już ku końcowi. Tak koło c. k. konserwatorów starożytnych po-

mników Galicyi Wschodniej, jak i grono konserwatorów Galicyi Zachodniej ogłosiły już po dwa wielkie tomy „Teki konserwatorów.“ Wspaniałe te publikacje w niczem nie ustępują najokazalszym tego rodzaju wydawnictwom na Zachodzie.

Oby tylko zawiązane przed dwoma laty w Warszawie Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości zdołało i Królestwo z półwiekowego letargu kulturalnego w sprawie zabytków sztuki ocucić!

KS. WŁADYSŁAW GÓRZYŃSKI.

PIŚMIENNICTWO.

NAUKA I SZTUKA, t. II. *Dante*, napisał Edward Porębowicz (z 73 ilustracjami, str. 170). Wydawnictwo Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych we Lwowie. Altenberg. Warszawa, Wende i Sp.

Z mroków sześciu stuleci wychyla się tajemnicza postać florenckiego wieszca, niby dwulicowy posąg Janusa, jednym obliczem zwróconem ku przeszłości średniowiecznej, w której tkwi wszystkimi korzeniami, a drugim wpatrzonem niespokojnie, napół nieświadomie, ale z natężoną uwagą we wschodzącą zorzę nowego świata, zaledwie wynionego w nadludzkich wizjach. Młodość jego przypada na czas wrzenia i walki. Sam stoi na pograniczu dwu epok, które zasadniczo różnią się od siebie. Takie zaś czasy są zazwyczaj kolebką silnych indywidualności, kołyską geniuszów.

Niewielu poetom danem było tak jak Dantemu i wznieść się ponad poziom współczesnych, i wybitny wziąć udział w polityczno-społecznym życiu swojej ojczyzny, i doniosły wywrzeć wpływ na potomność; jednym słowem połączyć w sobie szczytne miana: poety, obywatela, patrioty, wieszca narodowego, niemal proroka. Wielbiony, choć zarazem srodze przez los dotknięty, wygnaniec florencki stał się, pół tysiąca lat później, dla odradzających się w XIX w. Włoch, prawie że bożyszczem. Jego dzieła w języku ludowym, dające podstawę literaturze narodowej, były niewidomym łącznikiem, który spajał przez pięć stuleci rozbite organizmy polityczne półwyspu apenińskiego, aż je złączył w jedną całość, uświadomioną pod względem kulturalnym i narodowym.

Dante jednak dzieła swe, choć działały na późniejsze pokolenia, pisał przedewszystkiem dla współczesnych, a nie dla potomnych. A jednostka, choćby najgenialniejsza, jest dzieckiem swej

epoki. Ówczesne położenie Italii i stosunki polityczne warunkują jego stanowisko do otoczenia. Ówczesne wyobrażenia i poglądy objaśniają jego życie duchowe, jego wierzenia i sądy. Nieśmiertelne jego twory noszą znak czasu i tylko na tle epoki mogą być zrozumiane. To też najnowsza o Dantem monografia poprzedza rozbiór twórczości i życia poety florenckiego rzutem oka na ówczesny stan Italii, zaznaczając trafnie we wstępie, że „do zrozumienia Dantego potrzeba: zanim się wstąpi w progi stolicy wielkiego ducha, odbyć podróż po jego dziedzinie; uprzytomnić sobie rysy epoki, oswoić się z warunkami, w których geniusz wyrastał i działał.“

Po kolei przesuwa się przed naszymi oczyma tło dziejowe europejskie; tytaniczny bój cesarstwa i papieżstwa, z którego jedno i drugie wyszło osłabione. Poeta, jako monarchista, z boleścią patrzy na upadek jednej i drugiej władzy i skarży się w „Czyściu“ na te stosunki (XVI. 106—115). Gorzej jednak działo się z ojczyzną Dantego, która była ową kością niezgody między walczącymi mocarstwami. Rozkawałkowana na drobne księstwka i rzeczypospolite, żrące się między sobą, odczuwała ona jarzmo coraz to innego najeźdźcy. Na południu panował Arragończyk w Sycylii, Francuz w Neapolu, na północy, w Lombardyi, hordy niemieckie pustoszyły ziemię. W miastach dochodzili do władzy ludzie, niegodni tego imienia, którzy walczyli zbrodniami, aby się utrzymać przy sterze rządów, prześladując politycznych przeciwników z bezwzględną srogością. W Medyolanie rodzina della Torra, w Piacenzy Albert Scotto, w Ferrarze Azzo, a w Weronie Ezzelino, „wcielony dyabeł w ludzkiej postaci,“ jak go nazywają jednogłośnie współcześni kronikarze. To też rozumiemy Dantego, gdy woła z głębi zboląłego serca:

Biedna Italia, bólu gościnnica,
Wśród wielkiej burzy bez sternika nawa;
O, już nie *pani* ludów—nierządnicą!

.....
Ziemia Italii jest pełna tyranów.

(„Czyścić.“ VI. 76 i n.)

Nie lepiej się działo w miastach, które były rzeczypospolitami, jak np. w Wenecyi o ustroju ściśle oligarchicznym lub w rodzinnem mieście poety, Florencyi. I tam tworzyły się partye, które zwalczały się nawzajem z niestęchaną zaciekłością. Stronnictwa Guelfów i Ghibellinów, którym dawniej przypisywano jakieś ogólne zasady polityczne, w gruncie rzeczy powstawały na

na tle waśni rodzinnych, jak to miało miejsce we Florencyi i były jakby dwie choroby zaraźliwe, naprzemian grasujące. To jedno, to drugie stronnictwo dochodziło do władzy, a wówczas następował krwawy obrachunek z przeciwnikami.

Dante służył ojczystemu miastu zarówno orężem pod Campaldino przeciw Aretynom a następnie Ghibellinom z miasta Pizy, jak słowem i piórem. Zasługi jego wynagrodzono później wyborem do kolegium Priorów, najwyższego urzędu w mieście, złożonego z sześciu dostojników. Nie długo jednak poeta cieszył się pomyślnością rodzinnego miasta. Nastąpiły walki Białych i Czarnych. W czasie nieobecności Dantego, stronnictwo przeciwne zwyciężyło. Poetę oskarżono o różne nadużycia i ogłoszono go banitą. Ten sam los spotkał oczywiście całą jego partję. Odtąd Dante błąka się przez lat dziewiętnaście, tęskniąc za ojczystem miastem, które wspomina nieraz w rzewnych słowach („Raj,“ XV, 97, VI). Podczas tej tułaczki krystalizował się pomysł „Boskiej Komedy,“ której opracowanie przypada jednak dopiero na lata 1314—20, t. j. na ostatnie siedm lat życia poety. Umarł w Rawennie, w r. 1321, pełen goryczy i oburzenia na nikczemność współziomków, nie doczekawszy się powrotu, o którym zawsze marzył.

Na tle tych wydarzeń i w związku z ówczesną literaturą prowansalską i włoską następuje rozbiór poszczególnych utworów. Liryka Dantego, zawarta w trzech zbiorach w „Nowem życiu“ („Vita nuova“), „Biesiadzie“ („Convivio,“ względnie „Convito“) i „Piosenniku“ („Canzoniere“), ustępy, odnoszące się do nowego, słodkiego stylu (il dolce stil nuovo), oraz dwa łacińskie dzieła: „O języku ludowym“ („De vulgari eloquentia“) i „O monarchii“ („De monarchia“), złożyły się na trzeci rozdział, zatytułowany „Dzieła mniejsze.“ Część to może najciekawsza i najmniej znana laikom. „Nowe życie“ jest spowiedzią poety ze swej młodzieńczej miłości, a zarazem reakcją do pewnego stopnia przeciw zbyt zmysłowemu kierunkowi liryki prowansalskiej w pojmowaniu i uwielbieniu kobiety. „Dama“ przestaje być istotą ziemską i przeobraża się w symbol. Taką staje się „Donna pietosa“ z „Nowego życia“ w następnym utworze w „Biesiadzie.“

„Boskiej Komedy“ poświęcono osobny rozdział. Pomysł wędrowki zaświatowej miał za sobą już tradycję dwu tysięcy lat. Od Homera, Wergiliusza do „Legendy o św. Patrycyu“ i Houdan'a („La Voy ou le Songe d'Enfer“), całe mnóstwo utworów przewija się w średniowiecznej literaturze. Dante doprowadził ten rodzaj do ostatniej doskonałości, nadawszy swym wizjom niesły-

chanie plastyczne kształty. Wykład idei i budowy artystycznej poematu, do którego powstania, jak poeta sam mówi, „ziemia i niebo rękę przykładają,“ bardzo staranny, miejscami wprost świetny. Ostatnia część książki zajmuje się Dantem, jako artystą i indywidualnością i widzi w nim twórcę o żywiołowej mocy, „który w organizmie mózgu przyniósł na świat fatalny popęd i moc nadawania myślom kształtu, dźwięku i barwy“ (str. 155).

Powyższy zarys daje słabe wyobrażenie o bogactwie szczegółów, zawartych w dziele. Autor, jedyny u nas romanista, wybitny znawca quattrocenta, oddany kultowi florenckiego wieszcza od wielu lat, był jakby przeznaczony do napisania tej książki. Oczywiście nie mogło być mowy o tem, aby niniejsza monografia wzbogaciła nieprzebraną literaturę dantejską nowymi przyczynkami lub odkryciami archiwalnymi. Badania w tym kierunku są już od dawna niemal wyczerpane, a zgoła u nas niemożliwe. Przytem nie zgadzałyby się to z rozmiarami książki, mającej na dziesięciu arkuszach objąć życie i dzieła jednego z najpotężniejszych moczary słowa. Samo już opanowanie odnośnej literatury przedstawia niemałe trudności, a zachowanie miary w ocenie poszczególnych utworów, wykład ich idei i trafny wybór w powodzi hipotez, bardzo często ponętnych, ale nie ugruntowanych na realnych podstawach, nie należą również do łatwych. Prof. Porębowicz wybrnął szczęśliwie z tych trudności, nie obładował swego dzieła zbyt erudycją, ni balastem wątpliwych hipotez, choć w wielu miejscach nawet fachowy badacz znajdzie oryginalne poglądy na zapatrywania religijne, a zwłaszcza polityczne, Dantego i na jego stosunek do otoczenia. Dokładna zaś znajomość epoki i wyrobiony smak estetyczny pozwoliły autorowi wycisnąć na książce indywidualne piętno i stworzyć całość zajmującą, którą się czyta gładko i z wzrastającym zajęciem.

Pozostaje jeszcze słów kilka powiedzieć o zewnętrznej szacie książki, która zasługuje ze wszech miar na wyróżnienie. Drukowana, jak całe wydawnictwo „Nauki i Sztuki“ na wytwornym, pergaminowym papierze bezdrzewnym, ozdobiona licznymi rycinami, bardzo udatnemi, może śmiało rywalizować z zagranicznymi publikacjami tego rodzaju, a stanowczo przewyższa rozpowszechnione u nas „Künstler-Monographien“ Knackfussa lub „Weltgeschichte in Charakterbildern“ Kirchheima.

H. R.

ANTONI EUZEBIUSZ BALICKI. *Dla ludzi*. Powieść (luźne kartki współczesnego rękopisu). Kraków, 1908. Spółka Wydawnicza Polska. Str.261.

Powieść, przesiąknięta nawskroś liryzmem, a nie polująca na żadną sensację aktualną— to zjawisko w dzisiejszych czasach interesujące. Przywykliśmy tak do mocno realistycznych utworów Zoli i Maupassanta, do beznamiętnych studyów Prévosta, do psychologicznych problemów sumienia Bourgeta, względnie do ich naśladowców, że z pewnem niedowierzaniem zabieramy się do powieści, przetkanej wierszami. To jakiś anachronizm w obecnej dobie, anachronizm może zresztą ciekawy. Na całość składa się, oprócz właściwej powieści, nowela, poemat, rozpamiętywania i kilka fragmentów wierszowych. Luźno wtrącone, związane z akcją o tyle, że ilustrują w danej chwili rozpaczliwy stan duszy występujących osób, robią wrażenie *hors d'oeuvre'u*, które znalazło miejsce w książce, bo nie nadawało się osobno do druku.

Bohater, Juliusz Żniatyński, nieodrodny potomek znanych typów romantycznej literatury, wiecznie w rozterce ze sobą, a zwłaszcza ze światem, chory, zdenerwowany, bezsilny, dręczy siebie i innych. Jego stosunek do Janiny przypomina mimowoli stosunek Judyta do bohaterki „Ludzi bezdomnych.“ Romantyczne akcesorya, któremi go autor otacza, wydają się mocno teatralne. Jak Waclaw w „Maryi“ lub hr. Henryk, tak i on błądzi podczas burzy, w ciemnej nocy, uganiając się z wichrem, dysputując z chmurami. Nie bez wyraźnej reminiscencyi z „Nieboskiej“ czytamy: „Pisz poemat, pisz dramat—natrzęsały się z niego wszystkie nerwy jego.—Będzie wielki, potężny! No, zacznij—posłyszal zjadliwy rozkaz, zmieszany z przeraźliwym świstem pędzącej za nim zbitej kolumny wichru!“

„Pozdrowione mi bądźcie burze i pioruny, gdyż w was tylko dla duszy mej krwawej (!) ukojenie anielskie znajduję! Pozdrowiony bądź wicherze przemożny, gdy chłodziś me czoło żarzące, gdy świstem swym długim, przeciągłym zagłuszasz we mnie myśli rozpaczne i nieutulone! Pozdrowiony mi bądź także i za to, że chmury ciemnością brzemiennie nad ziemią roztaczasz, by w mroku tym nie była widoczna nędza i walka życia człowieka. W mocy twej, łamiącej wszystko, co w drodze i pędzie oporem ci stanie, potęgę twą widzę i wielbię cię za nią, gdyż przed nią się wszelkie stworzenie uchylić i ukorzyć musi!“ (str. 111).

(Przytoczyłem dłuższy wyjątek, aby dać przykład nastroju i stylu powyższej powieści.)

Bohater choruje tedy na manię wielkości, chciałby pracować dla ludzi, wstępuje nawet do kółka „Pomocy,” mającego nieść ludowi kaganiec oświaty. Wstąpił, choć bez przekonania, bo go tam zaciągnął kolega, przestał pracować (nie wiemy, czy naprawdę zaczął wogóle) i znienawidził przyjaciela, bo się kółko rozwiązało, nie widząc żadnych owoców swej pracy. Istne popychadełko. Juliusz jest jednak poetą. Pisze tedy poemat p. t. „Noc,” który śladem Prometeusza, Goethego, Lucyfera i innych zbuntowanych przeciw Bogu duchów wyrzuca Stwórcy okrucieństwo i brak liłości w stosunku do ludzi. Jako patriota, miłujący swój kraj, nie może bez oburzenia czytać ksiązek, źle mówiących o Polsce i oburzeniu swemu daje dosadny wyraz. „Wreszcie przyszedł jeden wieczór, w którym książki wszystkie, swoje i pożyczone, kazał wynieść lokajowi na podwórze, tam ułożył je w misterny stos, oblał naftą, podpalając wszystkie z wściekłością...” (str. 159).

Obok Żułatyńskiego występuje gromadka oryginałów, jak „Napoleonista“ i hr. Zagórski, do których bohater czuje najwięcej sympatyj. Innych nienawidzi lub nimi gardzi. Im akcja dalej się toczy, tem pesymizm jego staje się nieznośniejszy, dochodzi do tego, że Juliusz przykłada już rewolwer do skroni, „wtęm we drzwi ktoś silnie zapukał.“ To jego dawny przyjaciel, z którym już nie widział się od roku. Przynosi mu wezwanie od prof. Melsztyńskiego. Po rozmowie z nim, myśl o samobójstwie znika, Juliusz weźmie się raz jeszcze do pracy, z zarodkiem jednak zwątpień w sercu i kończy się powieść słowami: „zobaczymy, co dalszy ciąg życia przyniesie,” co wkłada na recenzenta obowiązek, aby powstrzymał się z ogólnym sądem, aż do pojawienia się drugiej części.

DR. H. REINHOLD.

Kronika miesięczna.

Dwudziestopięćciecie J. E. arcybiskupa warszawskiego, Chościak-Popieła. — Ton w polemikach dziennikarskich. — Z chwili obecnej. — Skarga na barbarzyństwo. — Historia i geografia w szkołach początkowych. — Kasy Raiffeisena w Galicyi.

Najwyższy dostojnik kościoła katolickiego w naszym kraju, J. E. ks. arcybiskup Wincenty Chościak-Popiel, ukończył, jak wiadomo, w dn. 17 czerwca r. b. dwudziestopięćciecie rządów swoich archidiecezją warszawską. Chwila ta jednak, ze względu na zły stan zdrowia sędziwego jubilata nie była należycie uczczona. Hołd winny społeczeństwo złożyło swemu arcypasterzowi dopiero w dn. 20 września r. b., biorąc w osobach wybitniejszych swoich przedstawicieli udział w skromnej nroczystości jubileuszowej, urządzonej przez zawiązany w tym celu komitet z Feliksem hr. Czackim na czele.

Nie opisujemy tu uroczystości jubileuszowych. Pragniemy tylko do słów, wypowiedzianych w adresach i przemówieniach, dodać kilka wyrazów własnych.

Chwila, w której dostojny jubilat obejmował rządy w archidiecezji warszawskiej, należała niewątpliwie do bardzo ciężkich dla narodu. Znane są wszystkim rozpacz i przygnębienie, jakie panowały w kraju przez długi szereg lat po upadku ostatniego powstania. Znane są też metody, mające rzekomo doprowadzić do ściślejszego zespolenia kraju z państwem. W tej epoce sprawować rządy na stolicy arcybiskupiej było rzeczą niezmiernie trudną i odpowiedzialną potrójnie—wobec Boga, wobec narodu i wobec władzy świeckiej, której ingerencya do spraw wewnętrznych kościoła stawała się coraz natarczywszą, coraz mniej oględną. To trudne zadanie spadło całkowicie na barki J. E. arcybiskupa

Popieła. Podolał On mu zupełnie. Oczywiście, nie bez ofiar, nie bez ciężkich walk, nie bez doświadczeń gorzkich, których Mu życie nie szczędziło. Pełen męskiego hartu, potrafił jednak trzymać silną ręką ster powierzonej sobie nawy i prowadził ją umiejętnie przez odnęt, najeżony rafami.

Rzeczą przyszłego historyka tej doby będzie ścisła ocena większej lub mniejszej trafności w wyborze dróg i w postępowaniu arcybiskupa. My, współcześni, możemy tylko schylić czoło przed Jego głębokim doświadczeniem, ostrożnym rozumem i nieugiętym charakterem, który Mu pozwolił spełnić wszystkie obowiązki sumiennie. Za to należy Mu się hołd i uznanie współziomków i współobywateli, umiających czczyć prawość i zasługę.

*

*

*

Mniej więcej od dwóch miesięcy jesteśmy świadkami rozłamu, jaki dokonywa się w łonie jednego ze stronnictw, rozłamu zasadniczego. Nie będziemy jednak zastanawiali się nad tem, jakie przyczyny ten rozłam wywołały. Są one bądź znane powszechnie, bądź nie nadają się do omówienia w szczupłych ramach artykułu kronikarskiego. Wstrzymując się więc od wnikania w istotę rzeczy, chcemy jedynie wypowiedzieć słów kilka w kwestyi ubocznej, która niewątpliwie nastęrcza się każdemu, kto śledzi uważnie bieg naszego życia politycznego w chwili obecnej.

Stało się tak, że sprawa wewnętrzna stronnictwa przestała być jego sprawą wewnętrzną. Walka, która początkowo była walką domową, z konieczności musiała przenieść się na łamy czasopism. Publicyści obydwóch obozów naostrzyli pióra i stanęli w szrankach, aby z istotą swojego sporu zaznajomić ogół społeczeństwa, mający niezaprzeczone prawo do tego, aby dokładnie znać kierunek współzawodniczących z sobą prądów myśli politycznej.

Należało spodziewać się rzeczowej, spokojnej dyskusji, bardzo pożądanej i bardzo pożytecznej, a tonem swoim odpowiadającej powadze chwili i doniosłości sprawy. Zamiast jednak tej dyskusji wywiązała się polemika namiętna i ostra, prowadzona w sposób jaskrawy.

Okres rewolucyjny, który przyniósł nam z sobą tyle podniecenia, tyle chaosu i zamętu, kłótni i swarów, przemija. Wlecze

się atoli za nim cały tabor skutków, które wniosły do naszego życia zbiorowego nieład i na długo wytrąciły je z równowagi. Jednym z takich skutków jest niewątpliwie roznamiętnienie partyjne, uniemożliwiające bardziej nerwowym jednostkom spokojne traktowanie spraw i zagadnień polityki bieżącej. Można by powiedzieć, że przestaliśmy niemal zupełnie rozważać i sądzić, myśleć i decydować po namyśle, potrafimy natomiast tylko kłócić się i iść za odruchami.

Dawniej, za czasów sejmików polskich, miewaliśmy temperamenty krewkie, miewaliśmy ludzi, którzy z lada jakiego powodu wyciągali serpentynę i znaczyli swego przeciwnika mniej lub więcej dotkliwą kreską. Dzisiaj mamy temperamenty histeryczne.

Tanto było złe, ale to pono jest jeszcze gorsze, łatwiej bowiem ułagodzić można krewkiego rębajłę, niż utrzymać na wodzy rozigraną histeryę. Tymczasem trzymać ją na wodzy trzeba, tam zwłaszcza, gdzie idzie o sprawy publiczne.

Prasa jest kierowniczką opinii zbiorowej. Pod jej wpływem opinia ta kształtuje się, urabia, nawet dojrzewa. Z tego względu prasa musi dbać o zachowanie pewnego poziomu we wszelkiej dyskusji. Niewolno jej bez szkody wyraźnej dla społeczeństwa poziomu tego obniżać, gdyż obowiązkiem jej jest wnosić raczej do życia zbiorowego ton wyższy. Niestety, w polemice, o której mówimy, brak właśnie było tonów wyższych. Toczyła się ona namiętnie i przybierała chwilami charakter *swaru*, charakter wprost niedopuszczalny tam, gdzie szło nie o załatwienie tych lub innych porachunków osobistych, ale o wszechstronne i poważne wyjaśnienie sprawy, mającej duże znaczenie dla społeczeństwa. Społeczeństwo to przeżywa chwilę ciężką, nie może jeszcze zebrać swoich rozbitych sił, nie może zająć się pracą twórczą, tak niezbędną dla odrodzenia narodu. Myśl zbiorowa, niewyrobiona jeszcze w zakresie samodzielnego wybierania sobie kierunków najwłaściwszych w polityce, szuka ich i potrzebuje orientacji. Nie da zaś jej i nie przyniesie z sobą ten, kto zamiast wyświeślać i uczyć, przekonywać i uzasadniać, budzi tylko namiętności i ich płomieniem chce rozświecić drogę, prowadzącą w przyszłość.

*

*

*

Całokształt naszego życia przedstawia się w chwili obecnej dość szaro i smętnie. Z jednej strony widzimy w społeczeństwie znaczny upadek energii i obniżenie wszystkich aspiracyj, z drugiej—ciągle jeszcze mamy do czynienia z resztkami fermentu rewolucyjnego, a chociaż te resztki są już właściwie tylko grzmotami oddalającej się burzy, to jednak przeszkadzają one w znacznym stopniu do tego, aby można było mówić o powrocie do stosunków normalnych.

Przeciwnie, stosunki te są ciągle jeszcze anormalne, zwłaszcza w najbardziej zaognionej swojej dziedzinie, w zakresie spraw robotniczych. Mogłoby się zdawać, że obie strony, prowadzące walkę, powinnyby już dojść ostatecznie do porozumienia, że fabrykanci i robotnicy, widząc owoce swoich długich zatargów, wzajemne powinni sobie poczynić ustępstwa i pójść ręka w rękę w kierunku dźwigania kraju z ruiny ekonomicznej.

Tymczasem dzieje się inaczej. Fabrykanci, którzy w najgroźniejszych momentach rewolucyi, pod wpływem teroru, okazywali skłonność do zbyt daleko idących ustępstw, obecnie, czując swoją przewagę, rozpoczęli cofać dawne przyrzeczenia i obietnice, zmniejszać zapłatę i żądać większej ilości godzin pracy. Świeże wypadki, jakie zaszły w fabryce „Labor,“ świadczą bardzo wymownie o tem, że pomiędzy kapitałem a pracą zaostrza się znów antagonizm, który może doprowadzić albo do ponownych strajków, albo do ponownych lokautów. Zapobiedz temu—oto najpierwszy obowiązek obywatelski wszystkich, którzy mają możliwość oddziaływania na obie strony. Opinia publiczna dała już oddawna swoją sankcję sądom rozjemczym i zgodnie uznała te sądy za jedyne instytucje, powołane do rozstrzygania sporów, powtarzających się na tle ekonomicznem pomiędzy pracodawcami a pracobiercami. Na sądy te patrzą jednak niechętnie fabrykanci i uchylają się od nich, dążąc do rozstrzygania sporów na własną rękę, nawet bez udziału związków zawodowych.

Przykład fabryki „Labor“ jest niewątpliwą przestrogą w tym kierunku i ujawnia niebezpieczeństwo, wobec którego kraj może stanąć ponownie, jeżeli zdrowa opinia społeczna nie odniesie zwycięstwa i nie zmusi właścicieli wielkich fabryk do liczenia się nie tylko z własnymi interesami, ale także z interesami ogółu. W interesach zaś ogółu leży, aby kraj mógł jak najprędzej podnieść swoją wytwórczość i wprowadzić ją na tory, umożliwiające współzawodnictwo z produkcją obcą, a zwłaszcza z produkcją niemiecką, której bojkot staje się hasłem coraz popularniejszym.

Nie jest wprawdzie dla nas nadzwyczajną pociechą ani po-
krzepieniem to, że kupcy i przemysłowcy polscy starają się obe-
nie zawrzeć stosunki z Anglią, Francją i Austryą, bądź co bądź
jednak jest niewątpliwą z ich strony zasługą podjęcie inicjatywy
w kierunku zrealizowania teoretycznych przesłanek bojkotu, w gra-
nicach, możliwych do osiągnięcia w najbliższej przyszłości, t. j. do
czasu, dopóki bojkot nie będzie mógł oprzeć się na przemyśle kra-
jowym, jako jedynej, istotnej dźwigni dobrobytu i jedynym wła-
ściwym środkiem do wyzwolenia się z dotychczasowej niewoli eko-
nomicznej.

Wiele jednak wody upłynie, zanim to nastąpi—i dlatego na
razie musimy uważać już za znaczny krok naprzód obecną ruchli-
wość naszego kupiectwa, zmierzającą do nawiązania nowych sto-
sunków handlowych, omijających kosztowne pośrednictwo nie-
mieckie.

Zresztą, podjęte niedawno wycieczki handlowo-turystyczne
do Pragi Czeskiej, do Londynu i do Wiednia mają dla naszego
kupiectwa jeszcze inne znaczenie doniosłe. Są one niewątpliwie
wycieczkami pedagogicznymi. W wielkich środowiskach handlu
światowego zobaczyć dopiero można, czem jest ten handel i jakie
daje wyniki. Tam widać najlepiej ściśły i nierozzerwalny związek,
jaki zachodzi pomiędzy bogactwem materialnem kraju, a jego
kulturą, która dla swojego wzrostu i rozwoju potrzebuje podłoża,
przygotowanego rękami robotników, przemysłowców i kupców.
Tam otwierają się szerzej oczy na świat i ogarniają horyzonty,
które nie każdy dostrzega, siedząc spokojnie w oczekiwaniu klie-
nta w swoim kantorze. Tam, wreszcie, przekonać się łatwo o tem,
co to jest dobra organizacja handlu i umiejętność pracy.

Wszystko to nie może pozostać bez wpływu na kupców pol-
skich, zbyt rzadko dotąd wyruszających w świat dla celów han-
dlowych.

Nietylko jednak kupcy powinni się kształcić i rozszerzać
swoje widnokregi. Kształcenia tego w zakresie umiejętnej oce-
ny i zrozumienia ekonomicznego stanu kraju potrzebują także
i szersze warstwy społeczeństwa i dlatego dobrze, że pomyślano
u nas zawczasu o stworzeniu popularnego ogniska takiej nauki.

Ogniskiem tem jest świeżo założone pismo p. t. *Patryotyzm
polski przemysłowy, handlowy i fabryczny*.

Pismo to zajmuje placówkę ważną i stawia sobie za zada-
nie cele następujące: obudzenie w społeczeństwie polskiem zwar-
tej, świadomej celu i należyte zorganizowanej *odporności i czuj-
ności na polu przemysłu, handlu i rzemiosł*, dzięki czemu wzmoże

się dobrobyt we wszystkich warstwach narodu; zainteresowanie szerokich kół społeczeństwa polskiego zagadnieniami natury gospodarczej i zaszczepienie wskazań, że obowiązkiem narodowym Polaków jest nie tylko żyć myślą rodzimą i kierować się uczuciem narodowym, lecz że należy także spożywać i użytkować przede wszystkim owoce własnej ziemi i wytwory rąk polskich; popieranie przemysłu, handlu i rzemiosł Królestwa Polskiego przez wskazywanie źródeł i środków, z których pomocą stopniowo lecz wytrwale zdążać możemy do zastąpienia u siebie w kraju towarów obcych wyrobami swojskimi, a także przez podawanie do wiadomości szerokiego ogółu szczegółowych danych o wszystkich firmach, fabrykach, handlach i warsztatach krajowych i dawanie ciągłych a dokładnych wiadomości, mających na celu wzajemną wymianę wyrobów Król. Polskiego z wyrobami wszystkich innych ziem polskich; informowanie o sposobach wzmoczenia wywozu wytwórczości polskiej na rynki cudzoziemskie; wskazywanie źródeł cudzoziemskich, skąd, z pominięciem rynków niemieckich, niezbędne, a nie dające się zastąpić swojskimi, towary sprowadzać można, w szczególności zaś informowanie ciągłe i dokładne o przemysle w krajach słowiańskich; podejmowanie inicjatywy i informowanie o potrzebie zakładania sklepów, fabryk, pracowni rzemieślniczych, stowarzyszeń kredytowych, spółek i t. d., a także wskazywanie niewyzyskanych dotąd należycie bogactw naturalnych w kraju; wreszcie zachęcanie do rozwijania polskiego przemysłu drobnego, ludowego i kobiecego, za pomocą szerzenia wiadomości o nim, a zarazem popieranie stowarzyszeń, które nad tym przemysłem mają opiekę najbliższą.

Tak wszechstronna działalność wymagać będzie od pisma wielkiej troskliwości i dbałości o zdobycie i dobór odpowiedniego materiału. Ufając jednak w siły redakcyi, wierzymy, że spełni ona swoje zadanie i przyczyni się do zaznajomienia szerokich kół społeczeństwa z tem, co kraj wytwarza i co mógłby wytwarzać, jaki jest jego majątek i jakie otwierają się przed nim drogi, któremi może kroczyć ku pełniejszemu i doskonałemu swemu rozwojowi.

*

*

*

Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości nadesłało nam odezwę, która jest jedną więcej skargą z szeregu tych skarg, jakie brznią w kraju naszym nieustannie, ale i zarazem bezskutecznie. Bolesną jest rzeczą uświadomić to sobie, a jednak niepodobna taić prawdy. Stajemy się społeczeństwem, nieczułym na zarzuty, na ciężkie nawet oskarżenia. Puszczamy wszystko mimo uszu i brniemy dalej po drodze, która prowadzi nas do coraz większego rozbratu z kulturą.

Posłuchajmy jednak, co mówi odezwa.

„Prosimy o użyczenie miejsca—czytamy na wstępie—*dla poruszenia sprawy, której pominięcie milczeniem byłoby karygodnym tolerowaniem barbarzyńskich czynów gwałtu*, dokonywanych świadomie na jednym z najdroższych nam, jako ludziom i obywatelom kraju, posiadań, na kulturalnym dorobku narodowym.

Fakty, trudne wprost do uwierzenia, które poniżej przytaczamy, wskazują, że wszelkie zabiegi społeczeństwa, skierowane ku ochronie pamiątek, okazać się mogą bezowocnymi, jeżeli się będą działy czyny samowoli i uporu ze strony jednostek, zwłaszcza takich, które pierwsze właśnie powinnyby stanąć w obronie tych pamiątek.

Z powodu samowoli, o której mowa, świeżo a bezpowrotnie zginęły dwa cenne zabytki budownictwa naszego, murowanego i drewnianego — kościoły: w Brzeźnicy (w pow. noworadomskim) i w Białyninie (w pow. skierniewickim).

Pierwszy, prócz znaczenia architektonicznego, jakie posiadał, był wyjątkowo cenną pamiątką historyczną. W nim to bowiem ochrzczony był wielki nasz historyk, Długosz, którego ojciec, zasłużony pod Grunwaldem rycerz, był burgrabią nieistniejącego już zamku w Brzeźnicy i tam to w aktach metrycznych poraz pierwszy uwiecznione zostało imię, jedno z najgłośniejszych dzisiaj w historii.

W ciągu lat ostatnich, wobec zamierzonego powiększenia kościoła, które mogło być dokonane z zachowaniem murów dawnych, nie bacząc na jego doniosłe znaczenie historyczne, zburzono całkowicie typową jego nawę i temu samemu losowi postanowiono poddać pozostałe jeszcze i najciekawsze części budowli kościelnej—presbiteryum i wieżę.

Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości, dowiedziawszy się o fakcie zniszczenia tej pamiątki i o zamiarach dalszych, niezwłocznie zawiadomiło o tem władze dycezyjalne we Włocławku i jednocześnie wysłało do Brzeźnicy komisję dla zbadania rzeczy na miejscu. Wbrew jednak kategorycznemu zakazowi ze strony

władz dycieczalnych i wbrew orzeczeniu komisji Towarzystwa, która uznała presbiterium i wieżę za niezwykle piękny i cenny zabytek budownictwa z początków XV w., nad wyraz dobrze zachowany i nie wymagający żadnych poważniejszych robót przy restauracji, zarządzający parafią ks. Jankowski wraz z budowniczym, p. Gajewskim, postanowień swoich nie zaniechali i dzieło zniszczenia do końca doprowadzili.

Współcześnie z powyższem, również wbrew zaleceniu ze strony władzy duchownej w Warszawie, jako też wbrew orzeczeniu Towarzystwa i budowniczego, mającego prowadzić budowę kościoła nowego, dla *blahych i prywatnej natury względów*, miejscowy proboszcz pozwolił rozebrać stary, z początków w. XVI, kościół w Białymynie, charakterystyczny właściwemi mu kształtami i szczegółami zdobniczymi.

W szeregu lat minionych, jak ból chroniczny, wobec coraz powszechniejszej zagłady pamiątek, odzywały się głosy publiczne, nawołujące do ich ratowania. Myślano też o akcie społecznym, zbiorowym — o powołaniu do życia instytucji, któraby nietylko powstrzymała świętokradczą, rujnującą w niedocenienu czynu swojego rękę prostaka, lecz zdolna była nadto przeciwdziałać niszczącej sile czasu i ocalić to, co jest owocem pracy wieków, najwymowniejszem świadectwem naszej roli w dziejach kultury, co było wykwitem żywotności narodowej, objawem szlachetnej ambicji i ofiarności przodków naszych, a co dzisiaj stało się pamiątką i cenną skarbnicą wiedzy historycznej.

Pragnienia ogółu inteligentnego urzeczywistniły się. Zbiorowemi siłami powstało Towarzystwo opieki nad zabytkami, które pod przewodnictwem swego prezesa, Adama hr. Krasińskiego, gorliwie zabrało się do pracy i, jak może, z trudnych zadań swoich się wywiązuje. Spieszmy ono chętnie z radą, wskazówkami i pomocą wszędzie, gdzie dostrzega możność działania. Przypuszczaby więc należało, że objawy systematycznie dawniej dokonywanego wandalizmu powinnyby ustać.

Przytoczone jednak jaskrawe przykłady niczem nie usprawiedliwionego niszczycielstwa wskazują, że jest inaczej, że są jednostki, dla których wszystko, co kiedykolwiek w tej sprawie było mówione i uczynione, pozostało grochem, rzuconym o ścianę. Wbrew rozporządzeniu władz dycieczalnych i wbrew orzeczeniom komisji Towarzystwa opieki postąpiono świeżo w dwóch wypadkach, zatracając dwa piękne pomniki starodawnej kultury polskiej, już nie przez rozbrajającą nieświadomość, ale przez lekkomyślność, godną napiętnowania.

Przeciw tej lekkomyślności, graniczącej niemal z wyraźną złą wolą, obrócić się musi opinia całego inteligentnego ogółu i nie dopuścić do powtórzenia się w przyszłości tego rodzaju zamachów na dobro, które jest własnością całego narodu i o którym nie może decydować ani przygodny proboszcz danej parafii, ani spekulant-budowniczy.

*

*

*

Inspekcya szkół m. Warszawy rozpoczęła swój „rok szkolny“ od wydania okólnika, rozesłanego utrzymującym w mieście prywatne *początkowe* szkoły polskie. Okólnik ten z uwagi, że jest charakterystycznym dokumentem chwili, powtarzamy poniżej. Brzmi on, jak następuje:

„Załączając przy niniejszem kopię rozporządzenia J. E. p. kuratora Okręgu z dn. 14 czerwca r. b. za № 13156, które to rozporządzenie należy wykonywać ściśle, proszę zastosować się do wskazówek następujących:

1) Lekcyje we wszystkich prywatnych szkołach początkowych powinny się odbywać podług „Planu kształcenia,“ zatwierdzonego przez Ministerjum oświaty dla rządowych szkół początkowych, z zachowaniem art. 3763.

2) Książki szkolne winny być wybierane z załączonego przy niniejszem wykazu podręczników, zaaprobowanych przez Komitet specjalny, z uwzględnieniem art. 3762, t. XI, cz. I Zb. pr.

3) Wyjątki w stosowaniu wskazówek, wyluszczonej w p. 1 rozporządzenia niniejszego czynione być mogą jedynie przy uwzględnieniu wymagań, które stawia art. 3761, t. XI, cz. I Zb. pr.

4) Sporządzone według ustanowionego przez inspekcję wzoru wykazy osób, powołanych do udzielania lekcyi, winny być przedstawione do zatwierdzenia, przytem termin przedstawienia wyznacza się na 1 września.

5) W szkołach dwuklasowych, w klasie drugiej, gdzie historia i geografia mają być wykładane, jako przedmioty samoistne, na lekcyje tych przedmiotów winna być przeznaczona dostateczna liczba godzin wykładowych podług programów, objętych „Planem kształcenia.“ *Do wykładu tych przedmiotów (historyi i geografii) powinny być powołane osoby pochodzenia rosyjskiego.*

6) Żądanie powyższe winno być wykonane również i w zakresie wykładów języka rosyjskiego—w szkołach, utrzymywanych przez stowarzyszenia, dalej w szkołach, w których utrzymujący te zakłady naukowe nie posiadają prawa udzielania lekcji i powołują w tym celu wynajętych nauczycieli, wreszcie w szkołach, w których utrzymujący powołują dla siebie do pomocy nauczycieli obcych i w których lekcye odbywają się nie podług podziału na klasy, lecz na przedmioty. Dodać należy, że wymienione w pomienionym punkcie pierwszym wskazówki dotyczą tak jednoklasowych, jak i dwuklasowych szkół początkowych.

Zalecając powyższe do wykonania, poczynuję za konieczne uprzedzić, że lekcye będą mogły się rozpocząć jedynie w razie ścisłego wykonania warunków pomienionych. W razie przeciwnym będą niezwłocznie poczynione kroki w celu zamknięcia szkoły.“

Zamiast komentować niniejszy okólnik, pozwolimy sobie przypomnieć czytelnikom wydrukowane w zeszycie sierpniowym *Biblioteki* postanowienie Rady ministrów w sprawie wykładu w prywatnych szkołach polskich języka rosyjskiego oraz historii i geografii. W postanowieniu tem wyraźnie jest mowa o *szkołach średnich* i p. kurator okręgu naukowego, opierając się na tem postanowieniu, mógł być jedynie do *szkół średnich* okólnik w tej sprawie rozesłać.

W jaki sposób okólnik ten trafił do prywatnych szkół *początkowych*, które są szkołami niższemi, elementarnemi, tego przesądzać nie możemy. To pewna jednak, że ściśle wykonanie jego zaleceń napotka w praktyce na przeszkody, być może, nieprzewidziane. Dość powiedzieć, że szkoły tego typu jedno i dwuklasowe, muszą się zazwyczaj zadowalać jednym lub conajwyżej dwoma nauczycielami. Gdyby więc rozporządzenie p. kuratora okręgu naukowego miało być wykonane, to wszystkich nauczycieli Polaków, jacy w tych szkołach wykładają, należałoby niezwłocznie zastąpić nauczycielami „pochodzenia rosyjskiego,“ lub — na mocy rygoru, zawartego w końcowym ustępie okólnika — szkoły zamknąć z powodu braku nauczycieli.

Wśród instytucyj, najniezbędniejszych dla naszego włościaństwa, jedno z pierwszych miejsc zajmują niewątpliwie instytucje, ułatwiające drobnym rolnikom korzystanie z taniego i zdrowego kredytu. Instytucyj takich Królestwo Polskie posiada bardzo mało, znacznie mniej, niż sąsiednia, uboga i — w mniemaniu ogólnem — niedołączna na polu życia ekonomicznego — Galicya, nie mówiąc już o W. Ks. Poznańskiem.

Stąd przykład Galicyi i Poznańskiego niejednokrotnie mógłby i powinien być dla nas zachęcającym i pouczającym.

Oto mamy właśnie przed sobą ostatnie sprawozdanie z działalności tamtejszych kas włościańskich systemu Raiffeisena, kas bardzo popularnych w Niemczech, a stamtąd przeszczepionych na grunt galicyjski zaledwie przed laty osiemnastu.

Pierwsza tego typu kasa powstała w r. 1890 w Czernichowie, z inicjatywy d-ra Stefczyka. Dzisiaj istnieje już w Galicyi 723 kas Raiffeisenowskich, nad którymi od r. 1899 rozpostarł swój patronat Wydział Krajowy.

Tak szybki wzrost ich liczby, oraz łatwość, z jaką ludność włościańska przyswoiła sobie ideę samopomocy ekonomicznej, przez te kasy propagowanej, same przez się budzą już ciekawość i nie pozwalają przejść obojętnie obok sprawozdania, zawierającego szereg danych, ilustrujących wielostronną i pożyteczną działalność instytucyj kredytowych włościańskich.

Przyjrzyjmy się tej działalności bliżej.

W roku sprawozdawczym (1907) nowych spółek systemu Raiffeisena powstało w Galicyi 117.

Spółki istniejące obejmowały 2,347 gmin, przeciętnie zatem jedna spółka przypada na 3—4 gmin.

Kierownikami spółek są przeważnie włościanie, którzy równie dobrze wywiązują się z obowiązków kasyerskich, jak z obowiązków przewodniczących w radach nadzorczych i przełożonych zarządu.

W 688 spółkach, które nadesłały patronatowi sprawozdanie za r. 1907, było ogółem 134,932 członków, co w zestawieniu z rokiem poprzednim wykazuje przyrost 28,940 członków.

Suma wpłaconych w r. 1907 udziałów wynosiła 1,131,275 kor., wzrastając w ciągu roku o 239,044 kor.

Stan wkładek podniósł się bardzo wybitnie, bo o kwotę 6,637,238 kor. i wynosił z końcem roku sprawozdawczego 25,542,378 k. Skutkiem tego wzrosła też znacznie przeciętna kwota wkładek oszczędności, zgromadzonych w jednej spółce z 33,880 kor. na 38,237 kor.

Faktem niewątpliwie bardzo znamionym jest, że między spółkami istnieją już zupełnie poważne instytucje finansowe, rozporządzające krociowym kapitałem wkładkowym, jak np. Spółka w Radzie Narodowej (471,333 kor. wkładek), w Posadzie olchowskiej pod Sanokiem (205,340 kor.) i in. Równocześnie jednak należy zaznaczyć, że są spółki, które posiadają bardzo nieznaczne wkładki, lub nawet—w wyjątkowych wypadkach — nie posiadają ich wcale.

O ile do obrotu nie wystarczają własne fundusze i składki oszczędności, spółki pomagają sobie przez zaciąganie pożyczek na skrypty dłużne, płatne ratami. Suma takich pożyczek, zaciągniętych w r. 1907, wynosiła 1,181,700 kor., zaś stan dłużny spółek z końcem r. 1907 z tytułu pożyczek zaciągniętych doszedł do kwoty 3,087,410 kor. Ciekawą i charakterystyczną jest rzeczą, że największa ilość pożyczek przypada na kasy, znajdujące się w Galicyi wschodniej, mającej przewagę ludności ruskiej. Różnica pomiędzy Galicyą wschodnią, a zachodnią jest tu bardzo wybitna, podczas bowiem gdy kasy pierwszej zaciągnęły pożyczek na kwotę 1,342,515 kor., kasy zachodniej tylko na 641,095 kor. Reszta długów przypada na kasy Galicyi środkowej.

Suma ogólna zapasów kasowych spółek, umieszczonych w innych instytucjach finansowych, z Bankiem krajowym na czele, wynosiła 4,163,286 kor., z czego 98% należy do spółek Galicyi zachodniej.

Depozyty spółek środkowo i wschodnio galicyjskich zmniejszyły się znacznie od r. 1906, co przypisać należy klęsce nieurodzajów i konieczności wycofywania przez włościan wkładów na zakup zboża, paszy i t. d.

Pożyczki, udzielone członkom w r. 1907, stanowią kwotę 15,985,840 kor. Z pożyczek tych 38% przeznaczonych było na zakup gruntów, 13% na budynki, 25% na spłatę uciążliwych długów, 6% na spłatę rodziny, 8% na zakup inwentarza, a tylko 16% na inne cele.

Koszty administracji wyniosły ogółem 198,629 kor., a chociaż w porównaniu z r. 1906 wzrosły o 37,265 kor., to jednak w porównaniu ze wzrostem kapitału obrotowego zmniejszyły się znacznie.

Co do zysków, to 647 spółek zamknęło rachunki czystym zyskiem w kwocie łącznej 240,380 kor., przeciętny zatem zysk jednej spółki wynosił 371 kor.

Drobne straty na kwotę ogólną 614 kor. wykazało tylko 21 spółek.

Bardzo ważna w tego rodzaju instytucjach pozycja funduszków rezerwowych wykazuje stałą tendencję do wzrostu. W roku sprawozdawczym fundusze te podniosły się z kwoty 673,625 kor. do 904,454 kor.

Obroty kasowe 668 spółek wynosiły razem 65,785,445 kor. Obrót roczny poszczególnych spółek jest rozmaity. Najpomysłniej przedstawia się on w Szczyrzycach, gdzie doszedł do kwoty 936,773 kor., najskromniej w Zawiszni, gdzie wynosił zaledwie 3,707 kor.

Oto są dane, na których podstawie można już wysnuwać pewne wnioski: Przedewszystkiem znaczne stosunkowo sumy, jakie widzieliśmy zgromadzone w kasach drogą wkładów, świadczą o tem, że ludność włościańska w Galicyi zaczyna rozumieć potrzebę oszczędności, oraz, co jeszcze ważniejsze, że może oszczędzać. Wprawdzie przeciętne wkłady są jeszcze bardzo niewielkie, bądź co bądź jednak wynoszą już w niektórych kasach po kilkaset koron na jednostkę, a nawet sięgają kilku tysięcy.

Jeżeli porównamy to z tem, co było w Galicyi do niedawna, a co bardzo częstem zjawiskiem jest jeszcze u nas, gdzie włościanin albo jest w takiej biedzie, że niema z czego oszczędzać, albo, jeżeli oszczędza, to przechowuje swoje oszczędności w historycznym „garnku z popiołem,” nie mając żadnego pożytku z gotówki, leżącej bez procentu i narażonej nadto na kradzież lub nieopatrzne zniszczenie—to musimy sobie powiedzieć, że kasy Raiffeisena, dając ludowi możliwość odpowiedniego lokowania oszczędności i ułatwiając mu tę czynność, zrobiły już bardzo wiele.

Idźmy jednak dalej. Z przytoczonych powyżej danych widzieliśmy, że włościanin pożyczka przedewszystkiem w dwóch celach: naprzód, ażeby kupić ziemię (38% pożyczek), potem, aby spłacić uciążliwe długi. Pożyczki pierwszej kategorii świadczą o tem, jak ogromnie potrzebny jest tani kredyt drobnym rolnikom i jak żywiołowa jest wśród ludu chęć zdobycia ziemi w ilości, odpowiadającej jego potrzebom. Pożyczki drugiej kategorii mówią nam natomiast o niezdrowych stosunkach kredytowych, panujących dotychczas, pojęcie bowiem „uciążliwych“ długów łączy się niewątpliwie z pojęciem długów wysoko oprocentowanych, a więc lichwiarskich. Wydobyć ludu z matni, w jaką wprowadzają go łatwo kapitaliści kapotowi z małych miasteczek, jest tedy jednym z najwładźniejszych zadań, jakie mają do spełnienia kasy Raiffeisenowskie.

Ale i na tem jeszcze nie koniec. Wciągając lud do samodzielnej pracy, ucząc go administrować rozważnie pieniędzmi, należą-

cemi do szerszego grona współpracowników, kasy Raiffeisena są razem doskonałą szkołą obywatelską. Jako ich uczestnik, właścianin zaczyna rozumieć doniosłość i pożytek zrzeszania się, zdaje sobie sprawę z tego, co to jest samopomoc i nabiera wiary w siły własne.

U nas, gdzie idea kooperacyi zaledwie że zaczyna się przyjmować, gdzie lud tak mało jeszcze posiada uzdolnień do pracy zbiorowej, do łączenia się w kółka i stowarzyszenia, gdzie tak trudno zorganizować jakąkolwiek spółkę, mającą na celu, czy to zakup narzędzi rolniczych i zboża do siewu, czy towarów do sklepu, prowadzonego wspólnemi siłami—ogromny jest brak tej właśnie szkoły przygotowawczej, jaką stanowią w Galicyi kasy Raiffeisena.

Przeszczepienie ich na grunt Królestwa Polskiego byłoby też niewątpliwie rzeczą bardzo dla naszego ludu pożądaną.

Oczywiście, nie idzie tu o niewolnicze trzymanie się wzorów niemieckich, a choćby nawet galicyjskich, ale o przejęcie się samą idea, która w zupełności zasługuje na to, aby znalazła wśród nas nietylko swoich teoretycznych wyznawców, ale i wykonawców, umiejących sprowadzić ją na ziemię i praktycznie w życiu zastosować.

WSPOMNIENIE POZGONNE.

Ś. p. Jadwiga Łuszczewska

(DEOTYMA).

W 74 roku życia zmarła w Warszawie dn. 23 września r. b. ś. p. Jadwiga Łuszczewska, znakomita poetka, znana w całej Polsce pod pseudonimem Deotymy.

Urodzona 1 sierpnia 1834 r., Deotyma była córką Wacława i Magdaleny z Żółtowskich małż. Łuszczewskich, których dom stanowił w swoim czasie jedno z wybitniejszych ognisk życia umysłowego Warszawy. Dzięki starannemu wychowaniu i przebywaniu w środowisku artystyczno-literackim, Deotyma, będąc jeszcze niemal dzieckiem, już zwracała na siebie uwagę niepospolitym rozwojem umysłu i wybitnym talentem poetyckim. Młodzieńcze jej improwizacje budziły podziw, mimo, że miały charakter więcej retoryczny i rzadko wkraczały w dziedzinę poezji prawdziwej. Jednały też one młodej poetce rozgłos, ale nie były zrębem istotnej jej zasługi w dziedzinie twórczości polskiej.

Zasługa ta zaczyna się dopiero od podjęcia szerokich tematów narodowych w „Lechu,” „Wojnie olbrzymów,” „Wyszymirze,” „Dwunastu wojewodach” i „Gonitwach w dolinie Prądnika” (Kra-kus i Wanda), które razem odtworzyć miały „Polskę w pieśni.” I tu jeszcze wprawdzie retoryka górowała nad poezją, ale odzywały się jednocześnie tony głębsze i piękniejsze, bardziej natchnione, bo wysnute ze szczerzego odczucia doli i niedoli narodu. I nie dziw—pieśni te płynęły bowiem już nie ze strun lutni, którą bawiły się ręce „cudownej panienki” (*Wunderfräulein*, jak ją nazwano w Niemczech), ale z harfy, którą trzymała Polka, żyjąca w jo-

dnym z najcięższych i najboleśniejszych okresów w dziejach narodu. Czy jej widziały wiele, a serce jej odczuło i przecierpiało nie mniej, czy to wówczas, gdy towarzyszyła rodzicom na wygnaniu, czy też po powrocie do kraju...

Droga na wschód, którą przebyła wcześniej, pozostawić musiała w jej duszy i wyobraźni ślady niezatarte. Odezwały się one potem i niewątpliwą jest rzeczą, że przystępując do pisania wielkiej swojej powieści p. t. „Branki w jassyrze“, całą jej stronę opisową wzięła poetka z własnych wspomnień, bogatych w szczegóły, niedostępne dla fantazyi, nieopartej o podłoże rzeczywistości.

W powieści tej Deotyma dała dowód nie tylko talentu, ale i wprost niezwykłej sumiennosci autorskiej. Rozległe studia, jakie czyniła nad światem mongolskim, aby dać dokładny jego obraz, zaprowadziły ją może zbyt daleko i odbiły się niekorzystnie na całości dzieła, zwiększając znacznie jego rozmiary i przeładowując faktami, należącymi raczej do historii i etnografii, niż do sztuki. Nie mniej jednak „Branki w jassyrze“ pozostaną w literaturze naszej na długo jedną z lepszych powieści historycznych, zachęcającą naród do poświęcenia i wytrwałości przez pokazanie mu pięknych i wzruszających przykładów z przeszłości.

Przeszłość tę miłowała Deotyma nad wszystko i w niej też w latach dojrzałej twórczości szukała przedewszystkiem natchnienia dla swego talentu, pisząc naprzód wdzięczne opowiadania z dziejów Gdańska p. t. „Panienka z okienka“, potem — największy i najwspanialszy swój utwór, epos bohaterski — „Sobieskiego pod Wiedniem.“

Utwór ten wymaga szczegółowego rozbioru, niepodobna bowiem w kilku słowach ani wykazać jego wad, ani tembardziej uwypuklić wprost niepospolitej piękności niektórych jego ustępów. Wyborny język, kunsztowny wiersz, bogata obrazowość, zdumiewające odczucie ducha rycerskiego epoki, odczucie, które można mieć w sobie tylko razem z krwią żołnierską w żyłach, wreszcie erudycya, która pozwoliła autorce zgromadzić w poemacie cały nasz dorobek historyczny, dotyczący „potrzeby“ wiedeńskiej i stosunków Polski z półksiężycem — wszystko to, razem wzięte, w połączeniu z miłością ojczyzny, jaka bądź tętni w każdej strofie poematu, bądź idzie przez jego rapsody, jak poszum skrzydeł husarskich i furkot chorągiewek u kopij — czyni z „Sobieskiego“ dzieło, poczęte w prawdziwym natchnieniu i świadczące o tem, że talent Deotymy rozwijał się nieustannie, krzepł i męźniał aż do ostatnich lat jej życia, kiedy niemoc, spowodowana ciężkiem cierpieniem, wytrąciła jej pióro z ręki.

Poetka nie skończyła swojego umiłowanego poematu. Po za wydanemi jego częściami, pozostawiła jednak niewątpliwie w rękopisach liczne fragmenty, które pozwolą zapewne krytyce ocenić należycie całość i wyznaczyć jej miejsce należne w skarbcu poezji polskiej.

Wówczas dopiero ocenimy także stratę, jaką naród w tej chwili ponosi przez śmierć ś. p. Jadwigi Łuszczewskiej.

Cześć Jej pamięci!

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— GRONO KONSERWATORÓW GALICJI WSCHODNIEJ, dzięki niestrudzonej energii kilku ze swoich członków, zakreśla coraz to obszerniejszy krąg swojej działalności.

Na ostatniem posiedzeniu, odbytem 18 lipca b. r. konserwator d-r Hadaček złożył sprawozdanie z wycieczki archeologicznej do powiatów: horodeńskiego, buczackiego i tłumackiego. W Chocimierzu oglądał i odfotografował grób urnowy, znaleziony w kamieniołomie, przy gościńcu, wiodącym do Tlumacza. Wykopalisko składa się z urny z czarnej gliny o powierzchni lśniącej, zawierającej popioły zmarłego, a nadto dzidy, umbra od tarczy, ostróg i sprzążki w kształcie kółka; jest to zabytek germański, prawdopodobnie z I wieku po Chrystusie.

W Chocimierzu wymagają zbadania mogiły i osady neolityczne, których ślady widoczne są w dwóch miejscach. Przed dwoma laty znaleziono w tej miejscowości grób podpłytowy ze szkieletem. Nierozkopana dotąd mogiła znajduje się w sąsiednich Puźnikach.

W Koropcu zwraca na się uwagę wzgórze za kościołem, na którego stokach znajdują się fragmenty malowanych naczyń i kości przedpotopowych zwierząt, tudzież mogiła, zwana „hanową.“ W jarze Koropca, w pewnej odległości od wsi, zachowały się cztery waly dawnego grodziska (wał główny w części z kamienia), bliżej wsi jest drugie grodzisko z dwomawałami. Nadto odkrył p. konserwator ślady dwóch niezanotowanych dotąd w literaturze osad neolitycznych. Taką osadę posiada po drugiej stronie Dniestru wieś Delawa. Uwagi godne są jaskinie w skałach obok Delawy i w Ściance, mogiły w Koropcu przy drodze do Nowosiółki; w Horyhladach zaś resztki zamczyska i jaskinie naddniestrzańskie, z których jedna, najobszerniejsza, jest wykuta ręką ludzką. W Baryszu znajdują się mogiły samotne lub w grupach po kilka, a przy drodze ku Zalesiu zwraca uwagę kamień pochyły, z podstawą przysypaną ziemią, który lud nazywa „babą.“

W Niżniowie, przy drodze do Kutysk, znaleziono przed kilku laty grób podpłytowy ze szkieletem w pozycji siedzącej, z toporkiem i naczyniami, czerwono malowanemi. Obok jest drugi grób podpłytowy, którego dotąd nie tykano. W Przewłocze mają znajdować się jaskinie, w których znaleziono rogi jelenie.

Postanowiono zbadać komisyjnie kaplicę Boimów we Lwowie, gdzie prof. Kühn odnawia portrety, umieszczone na zewnętrznej ścianie od ulicy Halickiej, oraz plany restauracji kościoła Dominikanów. W skład komisji wchodzi, prócz przewodniczącego kons. d-ra Abrahama, kons. d-r Finkel i kons. Talowski.

Wydelegowano kons. d-ra Hadaczka do wzięcia udziału w komisji w Haliczu, mającej zająć się zbadaniem, czy cegielnia, założona obok zamku, zagrożą całości tego zabytku. Również uproszono kons. d-ra Hadaczka do oceny wartości zabytkowej kamieni cmentarnych, rzekomo aryańskich, znajdujących się w Dublinach.

Grono konserwatorskie odmówiło swej aprobaty wykonanym przez pana Flecka planom nowej polichromii synagogi Złotej Róży we Lwowie i uznało je za zupełnie nieodpowiednie.

Kons. d-r Czołowski doniósł, że dwa sarkofagi marmurowe, przeznaczone na pomieszczenie prochów hetmana Żółkiewskiego i innych osób, w podziemiach fary żółkiewskiej pogrzebanych, już ukończone i będą w ciągu tygodnia odstawione do Żółkwi. Uroczystość z powodu uporządkowania grobów żółkiewskich odbędzie się we wrześniu.

Po wyczerpaniu porządku dziennego posiedzenia odbyło się walne zgromadzenie, na którym wybrano zarząd Grona na trzecieletnie 1908 do 1910 roku w dotychczasowym składzie. Przewodniczącym Grona pozostał tedy nadal kons. prof. d-r Władysław Abraham, zastępcą przewodniczącego kons. d-r Wojciech Kętrzyński, sekretarzem kons. d-r Aleksander Czołowski.

N O W E K S I Ą Z K I.

— MONOGRAFIA KS. KS. SANGUSZKÓW, oraz innych potomków Lubarta-Fedora Olgerdowicza ks. Ratneńskiego. Tom I, opracował *Z. L. Radzyński*. Lwów, 1906. 4-o, str. XI + 535. T. III-ci, Gałęź Koszyrska, opracował *Bronisław Gorczak*, konserwator archiwum Sławnekiego. Lwów, 1906. 4-o, str. 327.

W rządzie najpoważniejszych naukowych heraldyczno-monograficznych studyów wybitne miejsce zajmie niniejsza publikacya, stanowiąca pierwszorzędną i niezbędną źródło dla badań nad historią potężnego niegdyś rodu Sanguszków, jakoteż dla studyów nad dziejami politycznemi i wewnętrznemi Wołynia, dzielnicy, w której przemożny i w przeszłości zbawienny wpływ wywierał książęcy ród Sanguszków. Dwa tomy, obecnie wydane—owoc żmudnej wieloletniej pracy p. Zygmunta Luby Radzyńskiego i p. Br. Gorczaka stanowi dopiero część wielkiego dzieła, obliczonego na pięć, jak dotąd, tomów. Tom pierwszy zawiera, oprócz przedmowy i słowa wstępnego, szkice monograficzne Lubarta-Fedora Olgerdowicza, księcia Ratneńskiego, protoplasty ro-

du Sanguszków i syna jego, ks. Fedoszka Włodzimierskiego, następnie monografie rodów książęcych, wywodzących się od Lubarta Olgerdowicza, mianowicie: kniaziów Kobryńskich, Krosnocyńskich, Sanguszków i Sanguszkowiczów Ratneńskich, oraz linii Koszyrsko-Niesuchojeżskiej Sanguszków, a tom III-ci monografię gałęzi Koszyrskiej Sanguszków. Tom drugi, który ma się wkrótce ukazać, obejmie dalszy ciąg dziejów gałęzi Niesuchojeżskiej od Fedora i małżonki jego Despotówny Hanny, aż do śmierci ks. Romana Fedora (1591) i jego córek. Tom czwarty poświęcony będzie dziejom linii Kowelskiej, piąty historii Ordynacyi Ostrojskiej.

Pierwsze rozdziały tomu pierwszego poświęcone są wyjaśnieniu bardzo zawilej kwestyi początku rodu Sanguszków. Pan Zygmunt Luba Radzyński na podstawie bardzo długich i sumiennych studyów archiwalnych doszedł do przekonań różniących się nie mało od hipotez, postawionych swego czasu przez Kaz. Stadnickiego i Józefa Wolffa, a uświęconych powagą tych uczonych i za pewnik przyjętych. Przesłедzenie dowodów, przytoczonych przez autora dla potwierdzenia jego tezy, wymagałoby obszernych studyów specjalnych i stanowiłoby ponętne pole dla badań krytycznych i porównawczych nad niezwykle ciekawą w historii Litwy i Wołynia epoką przełomu XIV na XV wiek. Nie wchodząc w sprawozdaniu niniejszem w ten misterny labirynt dociekań genealogicznych, jaki autor z prawdziwem wirtuozostwem roztacza, obracając się w znakomicie przez siebie znanym świecie ówczesnym, nie możemy się powstrzymać, aby nie wskazać na wyniki jego badań, streszczone w dwóch niezwykle interesujących rozdziałach naczelnych pierwszego tomu. Znajdujemy tu: 1). Rozgraniczenie działalności trzech współczesnych sobie i często na jednym prawie terenie się spotykających i nawet przez wielu za jednego branych Fedorów: a) Lubarta Fedka Feduszka Olgerdowicza na Ratnie i Żydaczowie; b) Feduszka Lubartowicza Gedyminowicza na Włodzimierzu, Łucku, Siewierzu i c) Feduszka Fedkowicza Olgerdowicza na Włodzimierzu. 2). Wykrycie dwóch nieznanych dotąd, jako takich, synów Fedora Lubartowicza Gedyminowicza. 3). Odtworzenie i należyte oświetlenie na podstawie aktów potomstwa ks. Hurka Fedkowicza Olgerdowicza ks. ks. Krosnocyńskich. 4). Ostateczne skonstatowanie, że ojcem kniazia Sanguszka Fedkowicza jest nie inny Fedor, jak Olgerdowicz, ów wzmiankowany w nadaniu monasteru Uniowskiego 1443 r. „*princeps dux Fethko, germanus*“ Władysława Jagielly, a przed chrztem noszący pogańskie imię Lubarta.

Na podstawie tych wywodów i obficie cytowanych wyjątków z aktów ów książę Lubart Fedor Olgerdowicz Ratneński, dotąd postać niemal mityczna, wyłania się z mroków przeszłości w konturach wyraźnych i prawdziwych, tak samo nabiera charakterystyki i właściwe w genealogii Sanguszków zabiera miejsce syn poprzedniego, rodzony bratanek Jagielly, Feduszko, bohater z pod Grunwaldu, w pracy niniejszej po raz pierwszy do rodu Olgerdowiczów zaliczony.

Po tych dwu naczelnych rozdziałach, stanowiących jakoby koronę dzieła, następuje cały szereg treściwych, ścisłych, tylko na dokumentach opartych monografij. Odmalowują one nie tylko życie pojedynczych osób z rodu książęcego, ale stanowią także bogatą wiązkę charakterystycznych dla epoki i ludzi ówczes-

snych epizodów życia wewnętrznego Wołynia i w łączności z pięciu dotychczas wydanymi tomami Archiwum ks. ks. Sanguszków stanowią niezwykle bogaty materiał dla historyi obyczajowości i stosunków wewnętrznych. Zaslugę podjęcia tych dwu olbrzymich rozmiarów wydawnictw (Monografia Sanguszków i Archiwum ks. ks. Sanguszków) i tyle sumiennego wykonania tej benedyktyńskiej iscie pracy, dzielą między sobą p. Zygmunt Luba Radzyński i p. Bron. Gorczak, a praca ich, na tak szeroki zakres pomyślana, mogła być tylko wykonaną dzięki hojnemu bardzo poparciu ze strony ks. Romana Sanguszki, wydawcy tych cennych tomów.

Życzyć należy, aby zamierzone jeszcze tomy jaknajprędzej się ukazały i stanowiły wzór i zachętę dla innych w podobnej pracy i poświęceniu.

F.

— JULES HURET. EN ALLEMAGNE. DE HAMBOURG AUX MARCHES DE POLOGNE. Paris, 1908. 8-o, str. 497.

Niezwykle spostrzegawczy podróżnik i korespondent dziennika „Figaro“ wydał w dwu tomach opis swojej podróży po Niemczech. Z ogromnem zajęciem czyta się stronicę tej książki, pełne trafnych spostrzeżeń, reasumujące wyniki ciągłej pracy organizacyjnej i rozrostu ekonomicznego państwa „bojaźni bożej“, a nie pozbawione ironicznego uśmiechu wytwornego Francuza wobec niejednego rysu parweniuszowskiego wzbogaconych bürgerów, który zawsze potrafi dojrzeć i wyśmiać. Autor stara się być bezstronnym, a nawet więcej, jest nieraz przychylnym dla Niemiec, a kraj swój ostro krytykuje i kulturę niemiecką stawia za przykład dla Francji. Gdy w końcówkach rozdziałach przystępuje do wyjaśnienia sprawy polskiej i opisu Poznańskiego, staje już wyraźnie po stronie niemieckiej, bo tak mu rozmowa z dostojnikami Hakaty i ks. Bülowem do smaku przypada. To nie przeszkadza jednak, że ostatnie szczególnie rozdziały dla czytelnika polskiego stanowią niezwykle ciekawą lekturę i mają nawet pewnego rodzaju wartość jako sąd obcego wędrowca, który na teren walk przybyły, i więcej dający ucha informatorom rządowym, nie w jednym miejscu uznaje siłę polskiego elementu, rozwój jego zaznacza, dziwi się mu, a co do rezultatów walki poważne wątpliwości wyraża. Charakterystyczne jednak—mniej republikanina francuskiego rażą wyjątkowe prawa w Poznańskiem, mniej go dziwi cały szereg zarządzeń, gwałcących równość obywatelską—aniżeli nie dość salonowe zachowywanie się bogatych mieszczan, osobliwie używających wykałaczek lub popełniających inne grzechy przeciw savoir vivre.

— JULIUSZ PODERZANI WEBER. Das Blutgericht. Erzählung aus der Zeit der Polenherchaft in Preussen. Berlin, Herman I. Meidinger, 1908.

Z kuźnicy nowej szkoły historycznej niemieckiej, będącej na żołądziej polityki i interesów chwili, zaznaczyć należy powyższe wydawnictwo, jako jeden jeszcze polakożerczy produkt w obfitej, już t. zw. „Polenliteratury.“ Książka mniejsza, oparta na świadomych lub sugestyonowanych sobie fałszach

historycznych, któremi autor operuje, jest przez niego samego scharakteryzowaną dostatecznie w dwóch nagłówkach, które na pierwszych stronach umieścił. Brzmią one w oryginale: Ich bin ein Bettler geworden—die Polen raubten mir alles—to pod obrazkiem, a dalej z Szyllera: Den Mördern bringt die Untat nicht Gewinn! Wohl uns, das wir am Reiche treu gehalten. Jetzt ist zu hoffen auf Gerechtigkeit.“ Na tę nutę cała śpiewka.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— **ATENEUM POLSKIE**, miesięcznik poświęcony sprawom kultury, pod redakcją Stanisława Zakrzewskiego. Lwów. Tom III, zeszyt sierpień i wrzesień 1908. Joachim Bartoszewicz: Co to jest naród;—Fragmenty Safony, w przekładzie Jana Pietrzyckiego;—Marceli Chlamtacz: O potrzebie reformy studyów prawniczych;—Jadwiga Marcinowska: Sceny z 1-go aktu dramatu „Sejm Wielki;—D-r Zygmunt Gargas: Stosunek Polski z Ameryką;—Stanisław Grabowski: Studya polityczno-agnarne;—D-r Józef Siemiradzki: Zwierzęta przedpotopowe w Polsce;—Zygmunt Wasilewski: O człowieku centralnym i prometeizmie;—W. Jankowski: Zapomniany poeta;—Wł. Łusakowski: Rosyjski dramat realistyczny;—D-r W. Rabczyński: Nowe usiłowania oparcia wiary religijnej na uczuciu w połączeniu z pewnymi motywami umysłowymi;—A. Szelański: Początek narodu i cywilizacji hiszpańskiej;—F. W. Robertson Butler: O muzyce w Anglii;—L. German: Ubiegła sesja parlamentu;—A. S.: Międzynarodowy kongres historyków w Berlinie;—L. H.: Towarzystwo szkoły ludowej;—Marian Olszewski: Książki nie ulegające krytyce;—M. Mieses: Geneza wyrazu: cham;—Fr. Kreczek: Języki i społeczeństwo;—Przegląd prasy;—Zapiski bibliograficzne.

— **NASZA PRZYSZŁOŚĆ**. Kijów. Czasopismo naukowo-literackie, społeczne i polityczne. Redaktor i wydawca Otto Glinka. Lipiec, 1908. Zeszyt III. Józef Kaz. Ign. Rulikowski: Rokosz pułku Czernihowskiego. Wyjątek ze wspomnień 1825 r.;—J. Długosz: Neoslawizm;—Edward Ligocki: Literatura i krytyka;—Nowe książki: Kwiaty życia, Nowe prace krytyczne;—Poezye. H. K.: Dumka podolska;—Irena Piskorska: Wolna myśl—*;*;—Ksawery Glinka: Sonet;—Edward Ligocki: D-r V. Jagiez, sławista jubilat;—T.: W Złotej Pradze i u podnóża Góry Wawelskiej;—Lechita: Wycieczka gości polskich do Pragi czeskiej;—Odeszli w Bogu (nekrologi);—Trz.: Na dziś (spostrzeżenia, porachunki, uwagi nadesłane);—T.: Z widowni międzynarodowej;—Książki nadesłane;—Odpowiedzi od redakcyi;—Ogłoszenia.

— **NOWE TORY**, miesięcznik poświęcony sprawom oświaty i wychowania, wychodzi 10 razy na rok (oprócz 2 miesięcy wakacyjnych), pod kierunkiem literackim Anieli Szcówny. Rok III, zeszyt VI. Sierpień, 1908. Stefan Fr.: W czterdziestolecie galicyjskiej Rady szkolnej krajowej;—I. Moszczeńska: Aktualność w wychowaniu;—M. Biegańska: Kilka uwag o pokazach szkolnych;—Jadwiga Mayówna: Listy z Anglii i Petersfield;—Anna Nalkowska i Paweł Sosnowski: Kwestyonaryusz w sprawie nauczania geografii;—Sprawy szkolne;—

Z literatury;—Dzieła pedagogiczne w obcych językach;—Kronika;—Kronika zagranicza;—Sprawy związków i stowarzyszeń.

— PAMIĘTNIK LITERACKI. Czasopismo kwartalne, poświęcone historii i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Towarzystwo Literackie Imienia Adama Mickiewicza, pod redakcją Ludwika Bernackiego. Rocznik VII. Zeszyt I i II. Lwów. Stanisław Wyspiański: Święty Stanisław (wydał A. Chmiel);—Rozprawy. Dr. Ks. Jan Fijałek: Moderniści katolicycy kościoła lwowskiego w wieku XVI;—Jarecki Kazimierz: Pierwsze polskie tłumaczenie Anakreonta;—Kallenbach Józef: O nieznanym utworach młodzieńczych Adama Mickiewicza;—Pawlikowski Jan Gwalbert: Źródła i pokrewieństwa towarzyszenia i mistyki Słowackiego;—Lack Stanisław: Stanisław Wyspiański. Notatki;—Miaskowski Kazimierz Ks.: Z teki bibliograficznej, VII;—Krętek Franciszek, Dr.: Nieznana kolenda (okrucieństwa hymnologiczne, III);—Simonówna Alicja: Pieśń Kochanowskiego „Nadziei nie trzeba tracić“ w tłumaczeniu niemieckim z XVII w.;—Pszon Stanisław: Reminiscencye w „Monachomachii“ i „Wojnie chocimskiej“ Krasickiego;—Wojciechowski Konstanty: Polak w Paryżu a Nowa Heloiza;—Wasylewski Stanisław: Klub piśmienniczy Tymona Zaborowskiego;—Materiały. Bernacki Ludwik: Dyalog na Wielki Piątek;—Mączewski Przemysław, Dr.: Z pamiętnika Feliksa Niemojewskiego;—C. Norwid o genezie swej broszury p. t. „O sztuce“;—Pawlikowski Michał: Nieznany list Kornela Ujejskiego;—Recenzje i sprawozdania;—Bibliografia czasopism polskich.

— PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany przez Towarzystwo Miłośników Historii w Warszawie, pod redakcją J. K. Kochanowskiego. Tom VII, zeszyt I. Lipiec—Sierpień 1908. Treść: Ludwik Gumpłowicz: Cywilizacja;—Adam Szelągowski: Zlewisko Bałtyckie, a cywilizacja Śródziemnomorska;—I. Szczęsny Ptaszycki: Ze studyów nad memoriałem Ostroroga;—Ignacy Tadeusz Baranowski: Podlasie w przededniu Unii Lubelskiej (I. Szlachta);—Antoni Prohaska: Z życia biskupa przemyskiego (Aleksandra Trzebieńskiego). H. M.: Ostateczny koniec Aryan polskich;—Wł. M. Kozłowski: Zarys historii powstania Legii Narodowej;—Władysław Smoleński: Bracia Mostowscy;—Adam Klodziński: Sprawozdanie z Literatury Historycznej Czeskiej (190—1907);—Fr. Giedroyc: Wodociągi i kanalizacje miejskie (z dziejów higieny w dawnej Polsce), ciąg dalszy;—Kazimierz Marcinkowski: Inwentarz Zamku Warszawskiego, sporządzony w r. 1769.

— PRZEGLĄD NARODOWY. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym, naukowym, społecznym, literackim i artystycznym, pod kierunkiem Zygmunta Balickiego. Rok I. № 8. Sierpień, 1908. Redaktor i wydawca Wacław Dunin. Warszawa. Sk.: Przeobrażenie polityczne Wschodu;—Zygmunt Miłkowski: Ukrainizm galicyjski;—Adam Szelągowski: Rasa i cywilizacja;—Jan Purwin: Sprawa polska w Prusach;—Jadwiga Marciniowska: Mieczysław Romanowski;—Z ruchu oświatowego w Japonii;—Antoni Sadzewicz: Przegląd spraw polskich;—Bohdan Wasintyński: Przegląd polityki zagranicznej;—Z prasy;—Walory humanistyczne;—Bibliografia.

— PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA. Z piśmiennictwa Polskiego. C. Wagner. Dzieło uwiecznione przez Akademię francuską. Wydanie II. (D-r. Roman Jamrógiewicz; — Henryk Flis. Powieść. Stanisław Antoni Mueller (W. Gostomski); — Przew Głębinę. Marya Konopnicka (Ján Waręż). (W. Gostomski); — Na Synaju. Ks. Władysław Szczepański. Na podstawie pod żyzy z r. 1906. (Ks. D-r. Jan Korzonkiewicz); — Z piśmiennictw obcych; — Zapiski bibliograficzne; — Sprawozdania z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

— PRZEGLĄD POLSKI pismo naukowe i literackie, wychodzi rok czterdziesty trzeci w Krakowie, pod redakcją prof. D-r. Jerzego hr. Mycielskiego. Miesiąc sierpień, 1908. Treść: D-r. Bronisław Dembiński: Szujski i jego synteza dziejów; — Ottonówna: Podlasie „Hospody pomyśluj“—1872—1905; — Stanisław Tarnowski: Julian Klaczko (ciąg dalszy); — D-r. Roman Dybowski: Konstytucja angielska w fazie dzisiejszej; — Konrad Ostrowski: Listy z Francji. Kronika literacka; — T. Grabowski: Literatura aryańska w Polsce 1560—1660; — M. Szykowski: „Génie du Christianisme“ a prądy umysłowe w Polsce porobiorowej; — J. Flach: Byron. Życie i dzieła; — F. Brunetiére: Honoré de Balzac; — E. Lepelletier: Paul Verlaine; — R. Bazin: Questions littéraires et sociales; — F. Paulsen: Moderne Erziehung und geschlechtliche Sittlichkeit; — E. Guglia: Wien. Z literatury powieściowej; — A. Schnitzler: Der Weg ins Freie; — E. Köhler: Ein Sieger; — C. Ceapinelli: „Otterbrän; — Przegląd polityczny.

— PRZEGLĄD Powszechny. Kraków. Rok dwudziesty piąty. Zeszyt 8. Sierpień, 1908. Treść: Eliza Orzeszkowa: Współczesna cywilizacja; — D-r. Leopold Caro: Nasi wychodźcy zamorsey; — Z papierów pośmiertnych ks. Maryana Morawskiego T. I.: Ostatni dzień Flawiuszów; — Ks. D-r. Fr. Gabryel: Wieczność świata wobec nauki dzisiejszej; — Lucyan Rydel: Po zwycięskiej wojnie. Wielkie Dionysea; — Ks. Leonard Lipke T. I.: Proroicy i ideał Mestański w Izraelu (Dokończenie).

— SFINKS. Czasopismo literacko-artystyczne i naukowe, wychodzi w Warszawie w odstępach miesięcznych, pod redakcją Władysława Bukowińskiego. Rok I, zeszyt VIII i IX. Sierpień — Wrzesień, 1908. Treść: Wł. Bukowiński: Poeta melodyi i głębin (w jedenastą rocznicę zgonu Asnyka); — Adam Asnyk: Z utworów, nieobjętych wydaniem zbiorowym (Szkic do współczesnego obrazu „Na polach Karłagi“); — Zofia Rygier-Nalkowska: Rówieśnice (powieść, ciąg dalszy); — Cypryan Norwid: Odezyty o Juliuszu Słowackim (III i IV); — Stanisław Przybyszewski: Szlakiem Kaina; — Władysł. Bukowiński: Echa (poemat); — Jan Kleczyński: Rzeźba współczesna (ciąg dalszy); — Z przemówień Adama Mickiewicza; — Hr. A. Gobineau: Z cyklu „Michał Anioł.“ Tłómaczył Ignacy Grabowski; — Antoni Szech: Pamięci Jana Adamowicza; — Róża Hempłówna: Po przebudzeniu. Poezja. Wacław Wolski: Z cyklu „Mistica“ („Samotność“); — Józef Ruffer: Z Ogrójca róż miłości („Taneczny kwiat.“ „Junak“); — Savitri: O północnej godzinie; — Kazimierz Gronkiewicz: Muza; — Jadwiga Lipińska: Wśród zbóż kwitnących; — Stefan Popowski: Sonet; — Maryla Czerkawska: Klejnot; — Jan Iwański: Nad przepaścią; — A. Szczęsny: Najlepszy w żalu tren; — Walenty Zieliński: Pytasz; — Henryk Koral: W szumiącym lesie; — Stanisław I.

Kozłowski: Śmieje się pajacu! Owidiusz: Sztuka kochania (Ars amatoria) przełożył Józef Jankowski;—Edward Abramowski: Paradoxy pamięci wzruszeniewej;—Roman Kreczmar: Scena niesceniczna;—Marya Rakowska: Spadkobiercy romantyzmu;—Tadeusz Miciński: Nietota, powieść z tajemnej księgi Tatr (ciąg dalszy);—Oceny i Sprawozdania;—Dodatki artystyczne;—Dodana osobno reprodukcyja portretu Asnyka, według fotografii z obrazu Jacka Malczewskiego.

B I B L I O G R A F I A.

POWIEŚĆ. — POEZYZA.

DOYLE CONAN: Z przygód Sherlocka Holmesa. Tom. z angielskiego Bronisławy Neufeldówny. Warszawa, 1908. Bibliot. Dzieł Wybor. Str. 159.

GAN WITOLD: Szkice liryczne. Poezye. Petersburg, 1908. Drukarnia Warszawska, Grochowa 12. Str. 159.

JANISZEWSKI TOMASZ D-R.: Opieka nad chorobami gruźliczymi (Le dispensaire antituberculeux) i walka z gruźlicą w Galicyi. Kraków, nakładem S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie. Broszura str. 58.

JAROSZYŃSKI TADEUSZ: Dwie Nowele. Warszawa, 1908. Biblioteka Dzieł Wyborowych. Str. 133.

JEŻ TEOD. TOM.: Zarnica. Powieść bułgarska. Trzy tomy, po 136 str. Warszawa, 1908. Biblioteka Dzieł Wyborowych.

KOMOROWSKI I. ST.: Bajka o szczęściu. W 2 żywych obrazkach. Warszawa, 1908. Str. 31.

MINKOWICZ WYSOCZAŃSKI BRONISŁAW: Dzikie gęśior. Nowele. Lwów, 1908. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 160.

MOŚCICKI HENRYK: Sprawa włościańska na Litwie w pierwszej ćwierci XIX stulecia. Odbitka z Biblioteki Warszawskiej. Nakładem Gebethnera i Wolffa, tamże do nabycia. Warszawa, 1908. Str. 38.

NIEDŹWIECKI ZYGMUNT: Jego Królewska Mość Boa Dusiciel. Fraszki. Kraków. Nakładem Drukarni Związkowej A. Szyjewskiego. Str. 267.

NORWID CYPRIAN: Wybór Poezyj. Zebrał i objaśnieniami zaopatrzył Roman Zrębiewicz. Okładka według akwaforty Cypriana Norwida. Portret poety według akwaf. Fr. Siedleckiego. Lwów, 1908. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 143.

PRZERWA-TETMAJER K.: Z wielkiego domu. Z portretem autora. Wydawnictwo Nowości Literackich. Warszawa, 1908. Księgarnia St. Sadowskiego. Str. 101.

SOBESKI MICHAŁ: Żeromskiego „Dzieje Grzechu.“ Warszawa, 1908. Księgarnia E. Wende i S-ka. Str. 51.

STAFF LEOPOLD: Gałąź Kwitnąca. Poezya. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 144.

SUSZCZYŃSKA ALEKSANDRA: Inaczej. Nowele. Warszawa, 1908. Biblioteka Dzieł Wyborowych. Str. 138.

WOLSKI WACŁAW: Ballady Tatrzańskie. Poezye. Serya trzecia. Kraków, 1908. Księgarnia G. Gebethnera i S-ki. Str. 44.

— Powieść Tajemna. Poezye. Serya druga. Kraków 1908. Księgarnia G. Gebethnera i S-ki. Str. 163.

WÓJCICKA-CHYLEWSKA ZOFIA: Listy do Pana Boga. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Lwów, 1908. Warszawa, E. Wende i S-ka. Stronic 176.

WZDULSKI KONSTANTY: Czem jest Bóg? Badania metafizyczne. Warszawa, 1908. Księgarnia Gebethnera i Wolffa. Str. 30.

HISTORIA. — FILOZOFIA. — SZTUKA I LITERATURA.

BELMONT LEO: Socjalizm i Sprawiedliwość. Studium etyko-ekonomiczne. Warszawa, 1908. Księgarnia Gebethnera i Wolffa. Str. 179.

BOGUSŁAWSKI EDWARD: Trzy recenzje prac Niederlego w przedmiocie Starożytności Słowiańskich. Warszawa, 1908. Księg. E. Wende i S-ka. Str. 31.

EBREM: Co się działo na świecie od najdawniejszych do teraźniejszych czasów. Dzieje Powszechne. Warszawa, 1908. Księgarnia M. Szczepkowskiego. Str. 271.

FELDMAN WILHELM: Współczesna Literatura Polska 1880—1904. Warszawa, 1908. Księgarnia E. Wende i S-ka.

GAJSLER JUSTYN FELIKS: Przeszłość Chorwatów. Część II-ga. Wydawnictwo Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym, imienia D-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1908. Księg. E. Wende i S-ka. Str. 65.

GOŚCICKI JERZY: Rolnictwo, polityka agrarna i samorząd w Anglii. Odbitka z „Ekonomisty.“ Warszawa, 1908. Księg. E. Wende i S-ka. Str. 86.

GRAETZ H., PROF. D-R: Historia Żydów (mniejsza). Z niemieckiego przełożył St. Szenhak. Tom drugi. Od powtórnego zburzenia Jerozolimy, do czasów przymusowego nawracania Żydów w Hiszpanii. Warszawa, 1908. Księgarnia G. Centnerszvera i Sp. Str. 296.

KIELLAND ALEKSANDER L.: Napoleon i jego ludzie. Przekład Maryi Kreczowskiej. Dwa tomy po 156 str. Warszawa, 1908. Biblioteka dzieł wyborowych.

KLINGER MAK: Malarstwo i rysunek. Przełożył Ignacy Dreksler. Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. Nakład Tłómacza. Lwów, 1908. Księgarnia Polska B. Połonieckiego. Warszawa. Księgarnia E. Wende i S-ka. Str. 38.

SPRAWOZDANIE z działalności „Ligi Pomocy Przemysłowej“ za czas od 15 września 1907, do 15 sierpnia 1908 r., t. j. za czwarty rok istnienia. Lwów, 1908. Nakładem Ligi Pomocy Przemysłowej. Str. 173.

SPRAWOZDANIE z Zarządu Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu za rok 1907. Paryż 1908. Str. 86.



SPIS RZECZY
ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM
z roku 1908.

ANTROPOLOGIA.

	<i>Str.</i>
EOLITY,—przez <i>K. Stołyhucę</i>	151

HISTORIA.

Z DZIEJÓW AGRARNYCH POLSKI,—przez <i>d-ra Ign. T. Baranowskiego</i> 238 i 542	
WSPOMNIENIA UŁANA,—podał <i>Alexander Kraushar</i>	314

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

ZARYS POGLĄDÓW DEMOKRACJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ WE FRAN- CYI,—przez <i>Ks. d-ra Antoniego Szymańskiego</i>	49
NIEMCY W KRÓLESTWIE POLSKIM,—przez <i>H. Wiercieńskiego</i>	209
Z LUDEM—DLA LUDU,—przez <i>Z. Dębickiego</i>	417

LITERATURA.

LUNA (powieść), —przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	1 i 273
PAN BALCER W BRAZYLII,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	223
HANKA (powieść),—przez <i>Ory Jelską</i>	458

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

	<i>Str.</i>
MICKIEWICZ I DOMEJKO,—przez <i>prof. Józefa Tretiaka</i>	24
RUCH UMYSŁOWY W NIEMCZECH,—przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	69
KONIEC „WIELKIEGO SEZONU,“—przez <i>W. Bogusławskiego</i>	110
„BARD POLSKI,“—przez <i>Karola Kwiecińskiego</i>	134
RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	293
WYSTAWY SALONÓW PARYSKICH,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	354
IDEE REWOLUCYJNE WE WSPÓŁCZESNEJ POWIEŚCI ROSYJSKIEJ,—przez <i>d-ra Stanisława Zdziarskiego</i>	487
OBECNY STAN NIEMIECKIEJ LITERATURY,—przez <i>d-ra J. Flacha</i>	519
JÓZEF CONRAD,—przez <i>Maryę Rakowską</i>	558
GENEZA I ROZWÓJ HISTORII SZTUKI,—przez <i>ks. Wł. Górzyńskiego</i>	569

K R Y T Y K A.

STEFAN ŻEROMSKI: <i>Dzieje grzechu</i> ,—przez <i>Józefa Weysenhoffa</i>	174
<i>Dzieje Akademii duchownej rzymsko-katolickiej warszawskiej. Ze źródeł urzędowych i wspomnień jej wychowawców zebrane przez ks. Adolfa Pleszczyńskiego przy współudziale kolegów akademickich, mianowicie: ks. Teofila Matuszewskiego, ks. Antoniego Chmielowskiego,—przez Ludwika Janowskiego</i>	378
HENRYK MOŚCICKI: <i>Wilno i Warszawa, w „Dziadach“ Mickiewicza</i> ; — SIEROSZEWSKI WACŁAW: <i>Ol-Soni-Kisań. Powieść</i> ; — RACZYŃSKA MARYA: <i>Tancerka z Xoïs</i> , —przez <i>Henryka Gallego</i>	381
TEODOR WIERZBOWSKI PROF.: <i>Vade mecum. Podręcznik do studyów archiwalnych dla historyków i prawników polskich</i> ; — WIKTOR WITYG: <i>Wypisy heraldyczne z ksiąg pobożnych województwa Podolskiego z lat 1563 — 1565</i> ; — GEORG CLEINOW: <i>Die Zukunft Polens</i> ; — ROMAN DMOWSKI: <i>Niemcy, Rosya i kwestya polska</i> ; — ALEKSANDER JABŁONOWSKI: <i>Źródła dziejowe</i> ,—przez <i>Fr. Pułaskiego</i>	387
NAUKA I SZTUKA, t. II. <i>Dante. Napisał Edward Porębowicz</i> ,—przez <i>H. R.</i>	588
ANTONI EUZEBIUSZ BALICKI: <i>Dla ludzi. Powieść (luźne kartki współczesnego rękopisu)</i> ,—przez <i>d-ra H. Reinholda</i>	592

KRONIKA MIESIĘCZNA.

LIPIEC:

<i>Kwestya jubileuszu Słowackiego. — Organizacya opieki nad dziećmi opuszczonemi.—Drewnica i Karolin</i>	184
--	-----

SIERPIEŃ:

- Wyniki konferencji słowiańskiej w Pradze. — Nowy moment w stosunkach polsko-czeskich. — Muzeum w Rapperswylu. — Obszar gruntów w Królestwie Polskiem w r. 1906. — Okólnik p. kuratora warszawskiego Okręgu naukowego. 393

WRZESIEŃ:

- Dwudziestopięciolecie J. E. arcybiskupa warszawskiego, Chościak-Popiela. — Ton w polemikach dziennikarskich. — Z chwili obecnej. — Skarga na barbarzyństwo. — Historia i geografia w szkołach początkowych. — Kasy Raiffeisena w Galicyi 594

WSPOMNIENIA POZGONNE.

- Ś. p. Konrad Prószyński (Kazimierz Promyk), — przez *M. G.* 195
 Ś. p. Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), — przez *Z. D.* 608

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

- LIPIEC 199
 SIERPIEŃ 404
 WRZESIEŃ 611

DODATEK „PRACA.“

- PRZY ZESZYTACH LIPCOWYM (№ 6) i SIERPNIOWYM (№ 7): „Z dni burzliwych w Warszawie“ — przez *d-ra K. Niedzielskiego.*